

ZATRUTE PIÓRA

ANTOLOGIA KRYMINAŁU



Replika

Spis treści

- Karta tytułowa
- Słowo od wydawcy
- Anna Klejzerowicz [ZATRUTA KREW]
- Krzysztof Koziołek [RECEPTA]
- Romuald Pawlak [WAKACJUSZ]
- Agnieszka Lingas- Łoniewska [SPRAWIEDLIWOŚĆ I ZEMSTA]
- Gaja Grzegorzewska [ZABAWY PRZY TORACH]
- Marcin Piliś [TRANSAKCJA]
- Robert Ostaszewski [OSTATNIA KOŁYSANKA]
- Joanna Jodełka [KREW JEST OSOBLIWYM SOKIEM]
- Jacek Skowroński [EFEKT DOMINA]
- Agnieszka Krawczyk [MEMENTO]
- Lucyna Olejniczak [SPOKOJNIE, KOCHANIE...]



POLSKIE OPOWIADANIA KRYMINALNE

AUTORZY:

Romułd Pawlak, Jacek Skowroński, Agnieszka Krawczyk, Joanna Jodełka, Gaja Grzegorzewska, Robert Ostaszewski, Lucyna Olejniczak, Agnieszka Lingas-Łoniewska, Anna Klejzerowicz, Marcin Piliś, Krzysztof Koziółek.



2012

Słowo od wydawcy

Oddajemy w Wasze ręce antologię tekstów kryminalnych stworzoną przez grupę zaprzyjaźnionych ze sobą autorów. Chcemy zarazić Czytelnika naszą pasją do krótkiej formy, zwłaszcza w literaturze kryminalnej, w której precyzja i dyscyplina wypowiedzi są szczególnie pożądane. Ten typ literatury zapoczątkowały właśnie opowiadania, a my postanowiliśmy kontynuować tę tradycję, wychodząc z założenia, że opowiadanie bądź nowela kryminalna to intryga w pigułce.

Naszym zamiarem było pokazanie różnorodności współczesnej polskiej prozy kryminalnej. Nowele i opowiadania zawarte w tym zbiorze zostały napisane głównie przez doświadczonych autorów, z których większość to zdeklarowani „kryminaliści”, lecz znaleźli się wśród nich także pisarze – znani pisarze – którzy „debiutują” na literackim polu zbrodni. Mam na myśli Lucynę Olejniczak – autorkę obyczajowych powieści z wątkiem historycznym - oraz Romualda Pawlaka, który co prawda ma już na koncie opowieść detektywistyczną dla młodzieży, zatytułowaną „Czapka Holmesa”, lecz do naszej antologii napisał pierwszy w swoim dorobku rasowy kryminał adresowany dla dorosłych. I to z jakim skutkiem! Mamy nadzieję, że oboje nasi „debiutanci” nie zrezygnują z kryminalnej twórczości.

W antologii znajdziemy najróżniejsze podgatunki kryminału: społeczny, obyczajowy, gangsterski, z wątkiem historycznym, kryminał z przymrużeniem oka, a nawet dreszczowiec w stylu Alfreda Hitchcocka. Namawiamy do lektury – oczywiście codziennej! – przynajmniej jednego opowiadania (do poduszki przed snem) i liczymy, że się nie zanudzicie.

Anna Klejzerowicz

ZATRUTA KREW

Huk, krew, krzyk, lament. Strach, paraliżujący ciało i myśli. Koszmar wciąż na nowo powracający w snach...

Rok wcześniej

Pośrodku nocy krótki, urwany jakby w połowie dźwięk dzwonka u drzwi spowodował, że stary człowiek drgnął i odłożył czytana właśnie książkę na zavalone stertami papierów biurko. Zdjął okulary i zaczął nasłuchiwać. Kogo licha niesie o takiej godzinie? Może to pomyłka?... Tak, na pewno pomyłka. Pewnie sąsiad z góry, jak zwykle pijany, pomylił piętra. Zaraz sobie pójdzie. Dźwięk jednak powtórzył się po chwili, jeszcze krótszy, jeszcze bardziej nerwowy. W nocnej ciszy brzmiał jak wystrzał. Starzec wstał, z ociąganiem opuścił pokój pełen książek i starych gazet. Nie lubił, kiedy przeszkadzano mu w pracy. O tej porze każdy ma prawo do świętego spokoju we własnym domu. Ale może to Amelia?...

Podszedł do drzwi, zawahał się. Wyrzał przez wizjer, jednak bez okularów nie dostrzegł niczego poza zarysem czyjejś postaci.

– Kto tam? – zapytał w końcu.

– Policja – usłyszał z drugiej strony drzwi.

Zesztywniał. Policja? Znowu? Co się mogło stać? Czyżby Roman coś... Trzęsącymi dłońmi przekreślił klucz w zamku i nacisnął klamkę.

Reszta była mrokiem.

Tydzień wcześniej

Strzelisty masyw skalny, ciemny i ponury zupełnie jak mury prehistorycznej zrujnowanej twierdzy. Czuje dreszcz przebiegający po plecach. Warkot helikoptera, śnieg sypie nieprzerwanie gęstymi płatami, wokół uwijają się sylwetki w żółtych skafandrach, nosze, nawoływania. W de dostrzega ledwie czytelną sylwetkę Mnicha, czuje, jak panika chwyta ją za gardło. Nie rozpoznaje twarzy, twarze są zamazane. Któryś z ratowników mówi coś do kamery, mówi o jednym martwym alpinistcie, o drugim, że wyczerpany, ale żyje, a tymczasem ona nie rozpoznaje twarzy, są zamazane...

Koniec migawki, prezenterka o lalkowatej urodzie przeskakuje z tematu na temat, już wszyscy przed telewizorami zapomnieli o akcji ratunkowej w Tatrach

Wysokich, tylko ona nie może sobie miejsca znaleźć. Jeden alpinista przeżył. Drugi zginął. Oby to nie był on, modli się w duchu, oby to tylko nie był on.

Oby to tylko nie był on, powtarzałam to sobie jak mantrę, jak zaklęcie, zanim skontaktowali się ze mną i z Iwoną. Może, kiedy będę tak sobie mówiła, to się spełni. Słowo ma podobno wielką moc. Słowo to magia. Jest cieniem czynu, tak mawiali starożytni.

Może coś w tym jest.

Wrócił Rafał, mój mąż. Z lekkimi odmrożeniami, ale cały i zdrowy. Jerzy zginął. Nadal nie mogę w to uwierzyć. Lecz kiedy ktoś wspina się zimą w górach, choćby to były Tatry, musi liczyć się z wypadkiem. Z najgorszym. Musi. Nigdy nie potrafiłam tego zrozumieć. Takiego igrania ze śmiercią. Iwona rozumiała, przynajmniej tak twierdziła. Nie oponowałam, bo i tak nie miałoby to sensu. Od lat tam jeździli. Zawsze razem. Zanim jeszcze spotkałam ich obu na swojej drodze.

Poznałam Rafała zaledwie pięć lat temu. Byłam już po czterdziestce i do głowy by mi nie przyszło, że jeszcze znajdę sobie męża. A raczej, że to on mnie znajdzie. Poderwał mnie na deptaku w Sopocie. Przysiadłam na kawę w kafejce pod parasolem, który nie tylko chronił mnie od słońca, lecz dawał też poczucie izolacji od tłumów kłębiących się dookoła. Żłudne poczucie, jak się okazało, bo właśnie pod tym parasolem mnie wypatrzył. Przystojny, opalony, muskularny mężczyzna w moim wieku, sportowiec, alpinista, żeglarz, w dodatku maniak książkowy jak ja – pod pachą trzymał książki zakupione przed chwilą w księgarni naprzeciwko, taki sam stosik leżał przede mną na stoliku obok cappuccino – nic dziwnego, że nie protestowałam, kiedy się przysiadł. Nie szukałam faceta, po dwóch nieudanych związkach cieszyłam się stabilnością emocjonalną i materialną. Miałam dom po rodzicach - dziesięć lat temu oboje zginęli w wypadku samochodowym - stary, ale solidny i okazały, no i pod samym Gdańskiem. Kiedyś, jeszcze ze dwadzieścia, trzydzieści lat temu, była to typowa wieś, dziś już w zasadzie przedmieście. Miałam pracę, wymarzoną, bo w bibliotece; maleńkiej, prowincjonalnej, ale zawsze wśród książek.

I cóż, on też był po przejściach, ale z optymizmem patrzył w przyszłość, dobrze się rozumieliśmy. Wpadłam jak śliwka w kompot pod tym parasolem i dopiero wtedy zrozumiałam, ile tracę. Pobraliśmy się po dwóch miesiącach. Na naszym ślubie poznałam Jerzego. I Iwonę, żonę Jerzego, a także ich jedyne go syna, dziewiętnastoletniego obecnie Maćka. Rafał z Jurkiem znali się z czasów licealnych, przyjaźnili od lat, dzielili pasje, choć ich drogi zawodowe się rozeszły; Jerzy został gliną, a Rafał instruktorem sportowym. Odtąd przyjaźniliśmy się we

czworo. Wspólne święta, weekendy, urlopy. Jak jedna rodzina — klosz, pod którym zbudowaliśmy nasz świat. Teraz ten świat pękł na kawałki.

I to nawet bardziej niż sądziła.

— Jak to się stało? — zapytała.

Długo milczał.

— Właściwie to nie chciałem ci tego opowiadać. — Rafał zawahał się. — Zastanawiałem się nad tym jeszcze w szpitalu, no i sam nie wiem, czy... Nikomu nic nie mówiłem. Ale ty chyba jednak powinnaś wiedzieć. Tylko, proszę cię, Iwone ani słowa. Nie zniosłaby tego. Co się stało, już się nie odstanie, więc...

— Ale, o co chodzi? — zaniepokoiła się, jakby przeszłość nie została już zamknięta, jakby to, co miał jej do powiedzenia, mogło jeszcze cokolwiek zmienić. — Dziwnie to jakoś zabrzmiało. No mówże dalej!

— To nie do końca był wypadek — wyznał. — Albo raczej — nie przypadek. W Jerzego coś wstąpiło. Sam wiem, że głupio to brzmi, ale chyba najlepiej oddaje obraz sytuacji. Może to zmęczenie albo.. nie wiem, w końcu nie pierwszy raz poszliśmy w góry. Warunki w każdym razie nie były dobre, to fakt. Zerwał się silny wiatr, temperatura spadła, skała zaladzona. Szliśmy niezwiązani liną, tylko z poręczówką. To mi uratowało życie. Bo inaczej zginęlibyśmy obaj. On... rzucił się na mnie. Znienacka. Dyszał, przeklinał. W oczach miał szaleństwo. Nienawiść. Dusił mnie i usiłował zepchnąć w przepaść. Przeraziłem się. Usiłowałem coś mu klarować, uspokoić go, ale co można zrobić przy trzydziestu stopniach mrozu, z czyimiś dłońmi zaciśniętymi na twojej szyi, na skraju urwiska? Zacząłem się bronić, usiłowałem oderwać te jego ręce w podwójnych rękawicach, jak z żelaza, od swojej krtani, i utrzymać równowagę. Mocowaliśmy się, zaparłem się nogami, przytuliłem do skały... On znalazł się na krawędzi przepaści. No i stało się. Potknął się, zatoczył, zleciał. Mało brakowało, a poleciałbym za nim, ale raki utrzymały mnie na twardym śniegu. Wszystko trwało ułamek sekundy. Chyba nigdy nie zapomnę tego wyrazu zdumienia w jego oczach, bo gogle spadły mu wcześniej w trakcie szarpaniny... Krótki krzyk i koniec.

Gdy ochłonałem, wezwałem pomoc. Trząśłem się cały. Próbowałem schodzić do niego na własną rękę, mimo że zdawałem sobie sprawę, że nie mam szans. Zerwała się wichura, śnieżycą opóźniła akcję ratunkową o kilka godzin. Utknąłem na grani, tam nabawiłem się odmrożeń. Na szczęście lekkich. Bałem się, że nie przetrwam, o ile pomoc szybko nie nadejdzie. Schroniłem się w załomie skały, wykopałem niewielką jamę w śniegu. Stamtąd mnie przejęli...

Teraz ona milczała, wstrząśnięta.

— Nic z tego nie rozumiem — odezwała się w końcu cicho. — Co mu się stało?..

Pokręcił głową.

– Nic mam pojęcia. Sam zastanawiam się nad tym, odkąd... odkąd to się zdarzyło. Może... może powinienem powiedzieć o tym komuś... Policji? W końcu, niechcący przyczyniłem się do jego śmierci...

– Zwariowałaś! – oburzyła się. – Jeszcze tego brakowało! Przecież to nie ty rzuciłeś się na niego.

- Ale ja żyję. A jego już nie ma.

- Daj spokój. Niczego nie zmienisz. Po co to roztrząsać? To był wypadek! Pomyśl o Iwonie, o Maćku. Oni i tak przeżywają koszmar – powiedziała stanowczo, czując łzy pod powiekami. Jak niewiele brakowało, myślała, jak niewiele brakowałoby...

Jak niewiele brakowałoby wszystko, co udało mi się zbudować przez ostatnie lata, przysło jak bańka mydlana, ot tak, pyk i nie ma, klosz rozbity w drobny mak. Czy ja bym jeszcze potrafiła żyć bez klosza?

To mi przypomniało Iwonę i „małego” Maćka, więc zadzwoniłam do niej, ale nikt nie odbierał telefonu. Okej, jest krótko po pogrzebie, rozumiałam to, rozumiałam, że nie mają ochoty z nikim gadać. Nawet z nami. Okej. Wszystko wróci do normy, wróci, wróci – znowu zaklinałam los. Choć jednocześnie wiedziałam, że nic nie wróci, że nic już nie będzie, nie może być, takie jak dawniej.

A jednak po kilku dniach Iwona objawiła się sama: ktoś zadzwonił do drzwi, wyjrzałam, więc przez okno od sypialni i najpierw zobaczyłam jej samochód na podjeździe, a zaraz potem ją samą przy furtce. Zdziwiłam się, bo do tej pory Jerzy, Iwona, a także Maciek wchodzili od razu na podwórko i stukali w kuchenną szybę, a myśmy wiedzieli, że to oni. Lecz tym razem czekała pod bramą, jak ktoś obcy. Wysłałam po nią i sprawdziłam, czy furtka nie jest przypadkiem zamknięta na klucz – nie była. Prawie nigdy jej nie zamykamy, bo i po co, złodziej i tak wejdzie, jeśli zechce, a zresztą kraść u nas nie ma czego. Iwona wyglądała strasznie, blada i wymizerowana, z podkrążonymi oczyma, jakby od dłuższego czasu nie sypiała. Poczułam się głupio, jakieś irracjonalne napięcie zawisło pomiędzy nami.

– Ja tylko na sekundę – oświadczyła i dalej stała jak przymurowana.

– Wchodzisz czy nie? – zniecierpliwiłam się w końcu.

Nie zamierzałam być opryskliwa, chciałam tylko rozpaczliwie, by wszystko było tak, jak... przedtem.

Weszła, choć jakby z wahaniem. Usiadła w kuchni, nie zdejmując płaszcza.

– O co chodzi? Napijesz się kawy, herbaty?

– Nie, nie, dziękuję – upierała się. – Muszę zaraz wracać. Wpadłam tylko, żeby... Coś dla was przywiozłam...

Do kuchni wszedł Rafał, który do tej chwili robił coś w ogrodzie, lecz wrócił do

domu, słysząc nasze głosy.

– Co przywiozłaś? – podchwycił.

Wygrzebała z torby kopertę i podała mi ją. Zdziwiona zajrzałam do środka i wyjęłam niewielki kartonik, odbitkę jakiegoś starego zdjęcia. Przyglądałam się jej zdezorientowana. Fotografia przedstawiała grupę dzieci, chłopców. Jednego z nich, stojącego w pierwszym rzędzie pośrodku, oznaczono czerwonym odblaskowym flamastrem. Mały wyglądał na jakieś dziesięć lat, miał jasne włosy ostrzyżone krótko przy skórze, tak samo jak pozostałe dzieci. Ubrany był – również identycznie jak reszta grupy – w krótkie spodenki i podkolanówki. Na odwrocie zdjęcia widniało imię i nazwisko: Helmut Krahl, 1946.

– To dla nas? – upewniłam się. – A kto to jest?

Iwona wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia. Robiłam porządki w rzeczach Jerzego. Znalazłam to na biurku. Oddałabym razem z innymi papierami na komisariat, gdyby nie to, że... Leżało w teczce, podpisanej twoim imieniem i nazwiskiem. Więc pomyślałam, że należy do was albo z jakiegoś powodu Jurek chciał wam to dać.

- Pokaż – poprosił Rafał.

Podaliśmy mu zdjęcie, wciąż nie rozumiejąc, o co w tym chodzi. Po co Jerzy miałby dawać nam zdjęcie jakiegoś obcego dziecka, które teraz jest już pewnie starcem, a może w ogóle nie żyje?

Rafał przyglądał mu się równie zaintrygowany.

– Wiesz, co to za dzieciak? – zapytał mnie.

- Nie. A ty?

- Ja? Skąd?... Iwona, nie domyślasz się? Jerzy nic ci nie wspominał?...

– Nie, nic. Jerzy w ogóle niewiele ze mną ostatnio rozmawiał, był... zapracowany. Dlatego tak ucieszyłam się, że jedziecie w te góry... – głos jej zadrżał.

– To zdjęcie zobaczyłam po raz pierwszy wczoraj wieczorem i od razu postanowiłam wam je przywieźć, wracając z pracy. Myślałam, że będziecie wiedzieć, o co chodzi.

Czy mi się zdawało, czy w jej głosie zabrzmiało też coś w rodzaju urazy? Nie wiem, ale dziwnie mnie to zabolowało. Napięcie wciąż wisiało w powietrzu i nie miało nic wspólnego z tym dziwnym zdjęciem.

– Na pewno nie napijesz się kawy? – zapytałam dla formalności.

– Na pewno – powiedziała Iwona i podniosła się.

– Muszę już jechać. Nie chcę zostawiać Maćka samego... On... on bardzo przeżywa śmierć ojca, to przecież... praktycznie jeszcze dziecko, prawda?

– A ty jak się trzymasz? - zapytał z troską Rafał.

Zachnęła się:

– A jak mam się trzymać? Jak myślisz? Jakoś trwam, jak widzisz.

– Iwona – nie wytrzymałam – to nie wina Rafała, że przeżył.

Zesztywniała. Zaczerwieniła się, raptownie wciągnęła powietrze, jakby z trudem zdusiła szloch.

– Wiem. Przepraszam. Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało. Polecę już.

– Pozdrów Maćka.

– Jasne.

– A co z tym zdjęciem? - wtrącił Rafał. - Mamy je zatrzymać?

– Zróbcie z nim, co chcecie. To pewnie nic ważnego, może w ogóle przypadkowo znalazło się w tej teczce. No to... cześć.

I już wiedziałam, że nasz kłosz pękł nieodwracalnie, że nie ma czego sklejać. Nigdy się tak naprawdę nie przyjaźniłyśmy. To osoba Jurka nas łączyła, a teraz, gdy jego zabrakło – zabrakło spoiwa.

– Niepotrzebnie jej to mówiłaś – odezwał się Rafał z wyrzutem, gdy już sobie poszła. – Po co? To rozumiałe, że ma żal do losu...

– Do losu, ale czemu boczy się na nas, myśli, że dla ciebie to pestka?!

– Jest w szoku. Nie ma co tego drażnić.

– Co z tym zdjęciem?

– Nic. Schowam je. Może sprawa się kiedyś sama wyjaśni.

Jakiś czas później

Drrryń!

Drrryń!

Otwiera oczy, ciemna noc, tylko światełko telefonu pulsuje czerwonym blaskiem, a jego wysoki dźwięk świdruje mózg. Dziwne, za dnia wcale nie wydaje się taki przenikliwy. Strach podchodzi jej do gardła. Telefon, o tej godzinie? Mąż dalej śpi, pewnie nawet wybuch bomby nie wyrwałby go ze snu.

– Rafał! – woła, delikatnie trącając jego ramię. – Rafał, słyszysz?...

On tylko mruczy coś pod nosem i odwraca się na drugi bok, jak zwykle. Ona pomału uspokaja bicie serca, stara się wyrównać jego rytm, w końcu to tylko telefon i choć nie przestaje dzwonić, przecież niczego złego nie może oznaczać, bo niby co: dzieci nie mają, rodziców także nie. Pewnie to tylko pomyłka.

Lecz serce dalej tłucze się w jej piersi jak oszalałe, a każdy oddech przychodzi z trudem. Podnosi słuchawkę:

– Słucham?

Nikt nie odpowiada. Słyszy w niej tylko swój własny chrapliwy oddech. Swój? Nie, nie swój! To ktoś po drugiej stronie tak samo dyszy.

Rzuca słuchawką, jakby ją sparzyła, i szarpie męża za ramię. Tym razem robi to gwałtownie, z całej siły. Mężczyzna broni się, mruczy coś, zaciska powieki. Ona jednak nie daje za wygraną.

- Obudź się, Rafał, błagam, obudź się!!!

— C... co się dzieje? — Mruga oczami, wpatrując się w nią ze zdziwieniem.

— Ktoś dzwonił... znowu... Już drugi raz. W dzień też dzwonił...

— Ale kto?

Nadal jest zaspany, wygląda na to, że niewiele do niego dociera.

— Nie wiem. Nie odzywał się!

— No to może... pomyłka? Spijmy, dobrze?

— Dyszał...

- Co?

— Dyszał!

— Daj spokój, pewnie jakiś pijany. Spij już.

Ale ona nie może spać. On pochrapuje u jej boku, a ona wpatruje się w światelko telefonu. Ma wrażenie, że wszystko się w jej życiu pomieszało. Wszystko.

Tydzień później

— Wszystko się u nas pomieszało, Dosiu - zwierzam się koleżance przez telefon, odpowiadając na jej jakże naturalne w tej sytuacji pytanie, czyli: jak się miewamy po tym wszystkim? Po to dziś zadzwoniła, pierwszy raz od tamtego wypadku. Z pewnością chciała usłyszeć ode mnie coś uspokajającego, coś pocieszającego, jakiś racjonalny, budujący banał, z tych, jakie zwykle wypowiadamy w odpowiedzi na czysto grzecznościowe pytania. Ale ja nie chcę, nie mogę jej tego dać, muszę się wygadać. — Wszystko — powtarzam.

— Czuję, że się sypie...

— Ale co się dzieje, Joanna, proszę cię... — odpowiada Dorota i słyszę w jej tonie pobłażliwość.

Odruch obronny przed cudzymi kłopotami. Denerwuje mnie jej protekcyjny ton. Nie jestem histeryczką, nigdy nie byłam. Mam ochotę rzucić słuchawką, lecz powstrzymuję się. Rozmowa jest mi teraz potrzebna, a Dorota to bliska koleżanka, znamy się jeszcze ze studiów.

— Słuchaj, nie potrafię ci tego wyjaśnić. Po prostu od śmierci Jerzego nic już nie

jest takie samo. A może to ja nie jestem taka sama. Nie wiem.

– O czym ty mówisz? Przecież to był tylko...

– Tylko przyjaciel?

– Nie to miałam na myśli, sorry. Próbuję zrozumieć.

– No dobrze, powiem ci więcej – waham się, lecz brnę w to dalej. – Coś się dzieje. Od pewnego czasu mamy głuche telefony. Ktoś dyszy w słuchawkę. I... jest coś jeszcze. Ktoś chodzi dookoła domu. Kilka razy wyraźnie słyszałam kroki, jakies szuranie na podwórku. Rafał też słyszał. Nawet zauważył czyjś cień. Już przestał się z tego śmiać. Raz wybiegł, ale... nikogo tam nie było.

– Chyba nie wierzysz w duchy?

– Czekaj. To jeszcze nie wszystko. Czuję, jakby ktoś mnie śledził. Czuję się obserwowana. Rafał próbuje mnie uspokoić, ale wiem, że się martwi. Boję się, Dośka!

Dorota milczy, odzywa się dopiero po chwili:

– Moim zdaniem to są nerwy.

Kręcę gwałtownie głową, choć ona nie może tego zobaczyć.

– Mylisz się. Owszem, oboje bardzo przeżyliśmy śmierć Jerzego. Nie sypiam, mam lęki, musiałam zwiększyć dawkę leku na nadciśnienie. Rafał tak samo, jest na granicy wyczerpania nerwowego. Ale nerwy nie są przyczyną, tylko skutkiem! Rozumiesz?

– Coś jeszcze się wydarzyło? – pyta.

– Tak... – waham się po raz kolejny – nie wiem, czy to ma związek, ale... ktoś napadł Rafała, kiedy wyszedł z pracy i szedł do samochodu.

– Napadł?

– Na szczęście Rafał jest wysportowany.

Trzy dni wcześniej

Usłyszała trzaśnięcie drzwi wejściowych, ale nic więcej, żadnego: „To ja!”, „Już jestem” albo „Cześć, kochanie”.

Odłożyła książkę i nasłuchiwała. Dziwnie się poczuła; jeszcze nieprzestraszona, lecz niepokój zakradł się już cichcem do jej umysłu, powodując przyspieszone bicie serca.

Zbyt często się to ostatnio zdarzało.

Jakby stuknęły drzwi łazienki.

– To ty, Rafał?... Rafał?!

Nie było odpowiedzi, jednak zdawało jej się, że słyszy odgłos wody płynącej z

kranu. Podniosła się z wersalki i wyjrzała przez okno. Odetchnęła z ulgą, bo ich samochód stał na swoim miejscu pod domem. Czyli Rafał wrócił i widocznie musiał szybko skorzystać z toalety. A jej, głupiej, jakieś strachy w głowie.

Nastawiła wodę na herbatę i właśnie nalewała esencji do szklanki, gdy wyszedł z łazienki.

– Cześć... – zaczęła, i urwała.

Niepokój ogarnął ją ponownie. Mąż nie zachowywał się jak zawsze; nie zagadał do niej, nawet na nią nie spojrzał, tylko dziwnie odwracał twarz, kryjąc się w mroku korytarza.

– Coś się stało?!

– Nie, nic takiego – odparł, udając, że wygładza płaszcz na wieszaku, lecz jego przytłumiony głos też nie brzmiał normalnie. – Tylko się nie zdenerwuj, nic mi nie jest. Ktoś na mnie napadł.

– Napadł?...

Nadal stał w przedpokoju.

– Nooo... przynajmniej próbował. Mam tylko parę siniaków i rozciętą brew – mruknął niepewnie.

– Pokaż!

W świetle kuchennej lampy jego twarz wyglądała naprawdę upiornie. Była blada, pod okiem widniał rozległy żółtofioletowy siniak, a z rozciętej brwi wciąż sączyła się krew, choć najwyraźniej usiłował zatamować ją w łazience przy pomocy zimnej wody, zanim w ogóle pokazał się żonie na oczy. Przytknął do czoła chusteczkę higieniczną, która już zdążyła nabrać czerwonej barwy.

– Matko boska, kto, gdzie, kiedy... dlaczego?! – wyrzuciła z siebie te pytania jak z karabinu maszynowego. - Jezu... może ty powinienes pojechać na pogotowie?

Usiadł ciężko przy stole, popijając gorącą herbatę. Ręka mu drżała.

– Kiedy wyszedłem z pracy – wyjaśnił zmęczonym głosem. – Ktoś czał się na parkingu za samochodem. Nie widziałem go, było już ciemno, rzucił się na mnie, ale miał gnojek pecha, nie trafił na słabeusza. Też dostał łomot. Wyrwał mi się i zwiął, zanim zdążyłem mu się przyjrzeć. Na pogotowie? Bez przesady! Mówiłem ci, że nic mi nie jest, to tylko głupie rozcięcie...

– Ale wciąż krwawisz!

– To nic. Zaraz przestanie. Wezmę ze dwa dni wolnego, żeby w pracy tym sińcem nie świecić. Daj mi tylko coś do zdezynfekowania.

Rzeczywiście! Zerwała się z miejsca i wyjęła z szafki jodynę.

– Zgłosiłeś na policję? – zapytała, przemywając ranę. Roześmiał się niewesoło.

– Na policję? Dajże spokój! Takie głupstwo? I co ty myślisz, że by go złapali?

Olaliby to, mają co dzień tysiące podobnych spraw. Szkoda zachodu. Gdyby jeszcze Jerzy... Nieważne. Jerzego już nie ma.

– Lekceważysz to - zaprotestowała - a jeśli to ma związek z... no wiesz, z tymi nocnymi telefonami?

– Z telefonami? Nie fantazuj! - Z wysiłkiem wstał z krzesła i wszedł do sypialni, by przebrać się w swój ulubiony wygodny dres, w którym zawsze chodził po domu.

– To był zwyczajny gówniarski napad rabunkowy, nic więcej.

– Jesteś pewny? A jeśli... ktoś obserwuje nas, nasz dom?

– Ale po co? - pokręcił głową. - Bogaczami żadnymi nie jesteśmy. Niczego cennego nie mamy. Nie ma co dramatyzować. Pewnie jakiś naćpany szczeniak chciał mi buchnąć portfel albo telefon komórkowy. Nie udało mu się. Koniec kropka.

– A ty uważasz, że to nie był zwykły napad rabunkowy? — domyśla się Dorota.

– Nie wiem, co uważam! — wściekam się. — Po prostu ci mówię, jak było!

– Dobra, dobra!... Uspokój się... Przecież tylko pytam. Ale nie wykluczałabym, że on ma rację. Teraz takie rzeczy zdarzają się na każdym kroku, trzeba uważać. Stawiam na zbieg okoliczności.

– Nic wierzę w zbiegi okoliczności.

– Rozumiem cię, kochana. Nie wpadnij tylko w manię prześladowczą. Było coś jeszcze, co cię niepokoi?

W pierwszej chwili chcę zaprzeczyć, lecz nagle przypominam sobie o zdjęciu. Bez sensu, to na pewno nie ma związku, ale... skoro zapytała..

Z kolei Dorotę akurat to zainteresowało. Nic dziwnego, od lat pracuje w archiwum miejskim, jest fanatyczką swojej pracy. Po bibliotekoznawstwie skończyła zaocznie historię, a prywatnie pasjonuje się genealogią.

– Przejrzyj stare rodzinne albumy — radzi. — Może na coś wpadniesz, może znajdziesz podobne dziecko. Myślę, że to nie przypadek, Jerzy musiał mieć jakiś powód. A przynajmniej zajmiesz czymś umysł.

Dwa dni później

Gdy tego dnia wraca z pracy, zapada wieczór. Musiała zostać dłużej, skatalogować nowe nabytki. Idzie pieszo, ma niedaleko. Już z ulicy widzi stojący na podwórku samochód. Czyli Rafał jest w domu. Tak, pali się światło w kuchni. Czuje się rażniej. Przyjemniej wracać do domu, w którym ktoś czeka, krząta się, parzy kawę. Za chwilę dociera do furki, lecz... Coś dziwnego dzieje się na podjeździe,

tam, gdzie stoi auto. Joanna widzi cień, słyszy jakieś szelesty.

– Rafał? To ty?... – pyta w przestrzeń.

Usiłuje wypatrzeć coś w mroku przed sobą. Oświetlenie zewnętrzne nie działa, jedynie niska poświata, padająca z kuchennego okna, rozjaśnia teren wokół domu.

Nikt się nie odzywa.

Po chwili jednak znowu słyszy szelest. W krzakach po prawej.. ktoś tam jest. Kryje się? Czyha na nią?

Cofa się, po omacku szuka w torebce latarki – powinna być tu taka mała zapalniczka z latarką - oraz telefonu komórkowego, by zadzwonić po męża. W tym samym momencie słyszy tupot nóg, po czym jakaś ciemna postać przeskakuje ogrodzenie i ucieka w stronę ulicy. Joanna nie ma czasu krzyknąć, za to odruchowo oświetla oddalającą się sylwetkę latarką, którą w tej sekundzie wymacała na dnie torby. Głowę by dała, że...

– Maciek?! – woła. – Maciek!!!

Lecz uciekający człowiek nie zwalnia, nie odwraca się, znika za zakrętem uliczki. Dopiero teraz zapala się lampa na podwórzu, drzwi otwierają się gwałtownie, z domu wybiega mąż. Joanna mruży oczy, nagły blask dodaje otuchy, lecz i razi oczy.

– Co tu się działo? – pyta Rafał, jest zdezorientowany, rozgląda się niepewnie. - To ty krzyczałaś?

Po chwili rozlega się z oddali warkot motocykla. Młody jeździ motorem.

– Dlaczego nie paliło się światło?

Joanna sama nie wie, czemu to pytanie jako pierwsze, niczym wymówka, cisnie jej się na usta.

– Przepraszam – mąż wzrusza ramionami. - Widocznie zapomniałem włączyć. Co się właściwie stało?

– To był Maciek...

– Maciek? Ale po co...

Rafał urywa, wpatruje się w samochód. Wzrok Joanny biegnie za jego spojrzeniem.

Wszystkie opony są przedziurawione.

Wszystkie cztery opony! Ale dlaczego? Po co?

– To nie mógł być Maciek! – upiera się Rafał. – Musiało ci się wydawać. Po co miałby zrobić nam coś takiego?

– Nie wiem. Ale to był on. Mówię ci.

– Zadzwonię do Iwony.

Rafał idzie do sypialni, gdzie stoi stacjonarny telefon. Słyszy, jak wystukuje numer. Idzie do łazienki. Myje ręce szczotkuje włosy, nawet skrapia się

perfumami. Wszystko dla zachowania pozorów normalności. Tęskni do niej. Gdy wraca, Rafał parzy już w kuchni kawę.

– I co?

– Nikt nie odbiera.

Przez najbliższe dni także nikt nie odbierał. Było w tym czasie parę kolejnych głuchych telefonów, aż wreszcie skończyły się nagle, co wcale nie znaczy, że odzyskałam spokój.

W końcu dodzwoniłam się do Iwony na komórkę. Najpierw zapytała, czy jestem pewna, że to był Maciek, a potem rozplakała się.

– Przepraszam cię – jęknęła. – Wierzę ci. Coś się z nim dzieje. Nienawidzi całego świata, wszystkich obwinia o wypadek Jerzego...

– Nas obwinia?...

– Nawet mnie. Ale... on ma dopiero dziewiętnaście lat. Pogubił się. Wybacz, proszę. Naprawdę mi przykro. Oczywiście pokryję wszystkie koszty.

Powiedziałam jej, że mniejsza o koszty, ale żeby porozmawiała z synem, może nawet potrzebna mu będzie pomoc psychologa. Odparła, że oczywiście, że pomyśli o tym – i szybko zakończyła rozmowę.

Przyznaję, trochę mi ulżyło. Rozmowa z Iwoną przypomniała mi też o zdjęciu. Tylko gdzie ono teraz może być? Przejrzałam wszystkie szafki i szuflady, lecz nigdzie go nie znalazłam. Po godzinie beznadziejnego szukania zadzwoniłam do męża i zapytałam, gdzie je schował. Zdziwił się.

– Po co ci ono?

– Dorota poradziła mi porównać je ze zdjęciami z albumów rodzinnych po dziadkach. Może to dobry pomysł, co mi szkodzi sprawdzić. Ono musi mieć przecież jakieś znaczenie. A przy okazji zajmę się czymś, bo wiesz...

– Tak, wiem. Rozumiem, oczywiście. Poszperać w albumach zawsze warto. Tylko nie mogę sobie przypomnieć, gdzie je schowałem. Zaraz... Wiesz co, a poszukaj może w książkach nad barkiem? Mogłem włożyć w którąś z nich, tak mi się jakoś kojarzy.

No tak, pomyślałam sobie, odkładając słuchawkę, łatwo powiedzieć. Mamy mnóstwo książek.

Znalazłam po kolejnej godzinie. Było wsunięte do atlasu świata, leżące w stercie na samej górze regału. Zaraz też wygrzebałam na strychu stare albumy fotograficzne. Było tego trochę, większość jeszcze po dziadkach, bo rodzice przywiązywali do zdjęć mniejszą wagę, zresztą ich zbiory od razu odłożyłam na bok: nie ta epoka.

Z zainteresowaniem oglądałam stare rodzinne fotografie w naturalnym kolorze

sepii: babcia i dziadek jako dzieci, w osobnych albumach, jeszcze z kresów. Potem już ich wspólne zdjęcia: ślubne, następnie z dziećmi - moją mamą i jej młodszym o rok braciszkiem, który umarł podczas wojny na zapalenie płuc. I nowsze fotki: dziadkowie już jako starsi ludzie, tacy, jakimi ich pamiętałam. Wiecznie zatroskam babcia, w swojej nieśmiertelnej chustce na głowie I dziadek: wysoki, chudy, ponury. Surowy stary człowiek z zasadami. Nie zdążyłam go ani dobrze poznać, ani tym bardziej pokochać; zmarł, kiedy byłam małą dziewczynką. Pamiętam, że mama wciąż miała o coś do dziadków pretensje; o ich wschodni akcent – nie znosiła tego charakterystycznego zaśpiewu – do babki o tę nieszczęsną chustkę, z dziadkiem natomiast prawie w ogóle nie rozmawiała. Cały czas utrzymywała dystans. Nawet kiedy już umarł, nie wyrażała się o nim zbyt ciepło. Nie znam powodów, ale myślę, że może trochę się ich wstydziła.

Stare dzieje.

Dziecka podobnego do chłopca z tajemniczej fotografii nie znalazłam. Za to, przyglądając się jej, zauważyłam na odwrocie coś, co wcześniej nam umknęło. Pieczętka. Słabo czytelna, odbita jakby resztką tuszu, ale udało mi się rozszyfrować napis: prof. Antoni Zieliński, archiwum prywatne. Znałam to nazwisko, chyba z jakichś publikacji, choć nie byłam pewna. Wpisałam je w wyszukiwarkę internetową i znalazłam mnóstwo odnośników. Historyk, emerytowany profesor naszego uniwersytetu. Sporo prac naukowych oraz popularnonaukowych, większość dotycząca drugiej wojny światowej oraz czasów powojennych, a przede wszystkim historii Pomorza i regionu gdańskiego. Z pewnością część z nich mamy w naszej bibliotece, stąd kojarzyłam nazwisko.

Dzwonię do sekretariatu Instytutu Historii. Tłumaczę, że pracuję w bibliotece, przypadkiem jestem w posiadaniu materiałów z prywatnego archiwum profesora i chciałabym mu je zwrócić. Słyszę wahanie w głosie sekretarki, po czym wyjaśnia mi, że profesor Zieliński nie żyje od roku. Może ewentualnie podać mi numer telefonu komórkowego jego córki, do czego jest upoważniona. A decyzja w sprawie mienia po profesorze i tak należeć będzie do spadkobierców. Notuję numer i natychmiast dzwonię. W słuchawce słyszę miły spokojny głos. Umawiamy się za półtorej godziny w kafeterii w pobliżu uniwerku. Mam niewiele czasu. Samochód jak zwykle zabrał Rafał, ponieważ to on dojeżdża nim do pracy, pędzę więc do autobusu. Dojadę do centrum Gdańska, a dalej już kolejką. Może w drodze powrotnej uda mi się złapać Rafała, to przynajmniej wrócimy razem.

– Więc pani nic nie wie... – Wysoka blondynka w okularach podniosła do ust

filizankę z kawą, przyglądając mi się badawczo. — Ojciec zginął tragicznie, nie zdążył zamknąć swoich spraw. Został zamordowany.

Serce biło mi szybko.

— Zamordowany?...

Pokiwała głową, a choć po jej twarzy przebiegł szybki skurcz, nie straciła kontroli nad sobą, zachowała spokój. Poczułam instynktowną sympatię do tej powściągliwej kobiety. I ogromne współczucie.

— Tak — powiedziała. — A sprawę prowadził właśnie komisarz Jerzy Dębski. Pani przyjaciel.

— Który też już nie żyje...

— Właśnie. Jakby jakieś fatum, prawda? — Obejrzała zdjęcie z jednej i drugiej strony. — Ale ta fotografia nic mi niestety nie mówi. Wiem tylko, że ojciec pracował nad czymś, co pochłaniało go bez reszty. Nie chciał nam niczego przedwcześnie zdradzić, żeby nie zapeszyć. Był przesądny. — Uśmiechnęła się ze smutkiem. — No i już nie zdążył. Znalaziono go martwego we własnym mieszkaniu. Przyjęto, że było to zabójstwo na tle rabunkowym, choć nie wiadomo, czy coś zginęło. Nigdy nie potrafiliśmy rozeznaczyć się w tych stosach papierzysk, które tata trzymał u siebie w domu...

Głos tylko lekko jej zadrżał.

- Przepraszam — wtrąciłam — nie chciałabym być natrętna, ale powiedziała pani „nam”. Czy!.. czy profesor miał jeszcze inną rodzinę, może żonę?

- Syna. — Wzrok jej spochmurniał, przestraszyłam się nawet, że może jednak poczuła się obrażona. — Mam starszego brata. Ale jego nic w zasadzie nie obchodzi. To... taki typ człowieka.

- Aha... - Kiwnęłam głową, choć nic z tego nie rozumiałam.

Po chwili zdeterminowana zebrałam się na odwagę. W końcu po to tu przyjechałam:

- Czy pani mieszka w mieszkaniu ojca? To znaczy, czy mogłabym...

- Nie! — Energicznie pokręciła głową. — Niestety, przykro mi. To już powiem pani wszystko, bo inaczej pani tego nie pojmie. Mieszkanie po ojcu należy teraz do mojego brata. A to nie jest zbyt sympatyczny człowiek. Nie sądzę, by chciała pani z nim rozmawiać. Zresztą pewnie i tak by pani nie wpuścił. O ile w ogóle tam mieszka. Sama nigdy nie wiem, gdzie on w danej chwili przebywa... czy przypadkiem nie w areszcie. Szczerze mówiąc, ojciec miał z nim krzyż pański i kto wie, czy to właśnie nie brudne sprawy mojego brata wpędziły go do grobu. Dosłownie, nie w przenośni. Ten wątek także brano pod uwagę w trakcie śledztwa. Przepraszam, że mówię pani takie okropne rzeczy, to sprawy rodzinne, ale...

proszę się nie gniewać. Mój braciszek, Roman, to czarna owca. A raczej, mówiąc wprost: niebieski ptak.

– Przykro mi...

– Ale nie ma czego żałować, w mieszkaniu po ojcu nic prócz kilku sztuk mebli nie zostało. Całe archiwum taty, gdy już wróciło z policji, przekazałam bibliotece uniwersyteckiej. Pani jest bibliotekarką, więc dotrze pani do tych materiałów bez kłopotu. Zresztą jutro z rana, bo dziś już za późno, zadzwonię tam i uprzedzę, żeby je dla pani przygotowali. A to zdjęcie proszę sobie zatrzymać. Nikomu chyba od tego nie ubędzie, zresztą tata robił zawsze kilka kopii wszystkich dokumentów, nad którymi pracował...

Wychodząc z kafeterii, byłam tak skołowana, że zderzyłam się w drzwiach z młodą czarnowłosą kobietą, która obrzuciła mnie zniesmaczonym spojrzeniem.

Trudno.

Wracając do domu razem z Rafałem – bo udało mu się zgarnąć mnie po drodze - obgadaliśmy w samochodzie całą tę rozmowę. Byłam podniecona, on trochę mnie gasił:

– Przecież właściwie niczego konkretnego się nie dowiedziałaś. Babka wyprała tylko przed tobą brudy rodzinne.

– Ale może dowiem się czegoś jutro z tych materiałów. – Nie traciłam zapału. – No i wiemy już, że profesor został zamordowany. Okropność. Nic o tym wcześniej nie słyszałam, ale tyle teraz tej przemocy dookoła, że zbrodnia stała się chlebem powszednim. Mam tylko nadzieję, że to bez związku z naszą sprawą..

Żachnął się.

– Kochanie, z jaką sprawą? Nawet nie wiemy, czy w ogóle jest jakaś sprawa, którą w dodatku można by nazwać „naszą”. A profesora załatwił pewnie jego syneczek kryminalista. Jeśli nie on osobiście, to jego kumple. Założę się, że dla forsy.

– Nie wiem. Już by go przecież zgarnęli, gdyby to było takie oczywiste. No i jedno nie daje mi spokoju: co w tym wszystkim robił Jerzy?

- Jak to co? - Rafał obruszył się za przyjaciela. – Przecież słyszałaś: prowadził śledztwo! Jerzy był gliną. Co cię tak dziwi?

– I dlatego zdjęcie z prywatnego archiwum profesora znalazło się w jego posiadaniu? I co ono ma wspólnego z nami? Czyli jednak musi być jakiś związek..

Rafał nie był przekonany.

– To może być czysty przypadek. Nie obiecuj sobie zbyt wiele. No, jesteśmy w domu... Teraz prysznic, kawa, kolacja, uff, jak dobrze!

Grzebałam w torebce w poszukiwaniu kluczy, kiedy...

– A to co znowu? – usłyszałam zdziwiony głos męża.

- Co?

Na parapecie kuchennego okna leżała czerwona róża. Koniec łodygi owinięty był w wygniecioną kartkę z notesu, na której nabazgrano wielkimi, niezgrabnymi kulfonami: Od Maćka.

Rafał brał prysznic, a ja siedziałam w sypialni przed telewizorem, kiedy usłyszałam kroki za oknem. Zobaczyłam też krótkie, żółtawe rozbłyski światła, jakby ktoś ukradkiem przyświecał sobie latarką.

– Rafał! – zawołałam zduszonym głosem, stukając w drzwi łazienki. – Znowu!

Wyskoczył migiem, owinięty tylko ręcznikiem kąpielowym.

– Go jest?!

– Ktoś tu chodzi! Świeci latarką!

– Kur... – warknął wściekły, w pośpiechu zakładając spodnie. – Jeśli to znowu ten cholerny gówniarz, to jak ja go wreszcie dorwę, to mu nogi z dupy powyrywam!

Różę już wcześniej połamał i wyrzucił, wrzeszcząc, że lepiej by koszty szkody pokryli, zamiast głupie kwiatki podrzucać.

Tymczasem za oknem znowu usłyszeliśmy szuranie.

– Czeka! Nie zapalaj światła! - syknął Rafał, gdy odruchowo sięgnęłam do kuchennego wyłącznika. - Niech myśli, że śpimy albo że nas nie ma. Już ja go dopadnę!

Uzbrojony w pogrzebacz, szarpnął gwałtownie drzwi i wypadł na podwórze. Dobiegł mnie tupot i za chwilę zduszone okrzyki. Nie mogłam beczynnie czekać, złapałam latarkę i wyleciałam za nim. Za rogiem domu, obok bramy, zobaczyłam dwie kotłujące się w mroku sylwetki.

– Co pan tu robi, do cholery?! – usłyszałam zdyszany głos męża.

– Jo chciał ino sprawdzić, bo tu ktoś ciągle łązi koło was, jednego gnojka to jo już dzisiaj pognał, a tera zdawało mnie się, że znowu łąził..

– Kto tam? – włączyłam się.

– Sąsiad – odpowiedział mi Rafał, puszczając intruza.

– Jo ino chciał pomóc - upierał się tamten, sapiąc głośno.

Już wiedziałam, który to sąsiad. Niemiec na niego mówili. Jeden z nielicznych autochtonów, jak ich tu nazywaliśmy. Jego rodzina, jak wiele innych, trafiła zaraz po wojnie do sowieckiego łagru, wrócili w latach pięćdziesiątych i udało im się osiąść na powrót na starych śmieciach. Dziwny był z niego człowiek, ponury, milczący, trzymający się zawsze na uboczu. Osobiście nic do niego nie miałam, ale moja babka oraz rodzice nie lubili tej rodziny, zresztą mało kto ich tutaj lubił. W

każdym razie nie ufałam mu.

Niedobrze czułam się teraz we własnym domu. Dom - magiczne miejsce, gdzie człowiek ma się czuć bezpiecznie. Jak w kokonie. Jak pod kloszem. A ja już straciłam to kojące poczucie bezpieczeństwa, szczególnie, kiedy zostawałam sama. Nie mieliśmy psa ani kota, które zapewne dodałyby mi otuchy podczas nieobecności męża. Rafał nie przepadał za dziećmi i zwierzakami. Uważał, że stanowią zbyt duże moralne obciążenie, a my mamy prawo do spokojnego życia, bez odpowiedzialności za innych. I – choć nie podzielałam jego zdania – szanowałam je.

Dlatego też z ulgą wyszłam z domu, by pojechać do biblioteki uniwersyteckiej, gdzie czekały na mnie przygotowane materiały. Jednak Rafał miał rację, doradzając, bym nie obiecywała sobie po nich zbyt wiele. Choć same w sobie ciekawe, nie znalazłam w nich nic, co pomogłoby mi wyjaśnić zagadkę dziecka z tajemniczej fotografii. Czułam narastającą frustrację, brakowało mi pomysłów. Wpatrywałam się bezmyślnie w zdjęcie, w chmurną chłopięcą buzię, jakbym siłą woli mogła zmusić go, by przemówił. Kim jesteś, dziecko? Co masz mi do przekazania?

I nagle mnie olśniło. Dorota! Archiwum państwowe! Zakładając, że rzecz dotyczy naszego regionu, a wszystko na to wskazuje, to gdzież, jeśli nie tam, może kryć się odpowiedź na moje pytania? Mam przecież nazwisko...

Pospiesznie wystukałam numer Doroty.

Parę godzin później

Gdy nareszcie wyszła z archiwum, na jej bladej twarzy malowała się konsternacja, a może nawet oszołomienie. Drżała. Szczelniej otuliła się płaszczem, jakby raptem zrobiło się zimniej. Już wiedziała. Nawet jeśli jeszcze nie ogarniała tego umysłem – wiedziała. To tylko kwestia czasu, zanim wszystko zrozumie.

Głęboko zamyślona, szła w stronę dworca autobusowego. Nie wiedziała, że ktoś śledzi każdy jej krok.

Nie rozumiałam. Nie, niczego nie rozumiałam, to przecież jakiś złośliwy żart, absurd, jakiś koszmar, i co to ma wspólnego ze mną, co z tym robić, co ja mam teraz zrobić, to kompletny absurd, kompletny...

W zatłoczonym autobusie emocje trochę ze mnie opadły; w tłumie ludzi, rozgrzanych, sennych, rozmawiających przez telefony komórkowe, wszystko, co odkryłam, wydało mi się nierealne, pozbawione sensu i logiki. Świat jest przecież zwyczajny, ludzie żyją normalnie, każdy ma swoje sprawy, wszyscy podobnie; dom,

szkoła, praca, wypłata, zakupy.

Idąc od przystanku, już z ulicy dojrzałam na podwórku samochód oraz światło w kuchennym oknie. Czyli Rafał jest w domu. To dobrze.

– Dawno wróciłeś?

– Dość dawno. - Krzątał się w kuchni, parzył herbatę wycierał filiżanki, wszystko jak zwykle, wszystko normalnie: zwyczajne życie. Reszta to absurd, totalny absurd.

– I jak ci poszło?

– Z czym?

– Dowiedziałaś się, kim jest dzieciak ze zdjęcia?

Zesztywniałam.

– Tak. Dowiedziałam się.

Odstawił filiżanki na blat i wytarł ręce w kuchenny ręcznik zanim za mnie spojrzął. Jego wzrok nie wyrażał niczego.

– Więc?

– Chłopiec ze zdjęcia, Helmut Krahl, zmienił nazwisko w 1954 roku. Potem nazywał się... nazywał się... przyjął nowe nazwisko. Polskie. Moje. To znaczy nasze... Twoje nazwisko, Rafał.

Huk, krew, krzyk, lament. Strach, paraliżujący ciało i myśli. Koszmar wciąż na nowo powracający w snach...

Nienawiść.

– I jakie wyciągnęłaś wnioski?

– Nie wiem. Ty mi powiedz - odparła, mierząc go chłodnym spojrzeniem. – Powiedz, o co w tym wszystkim chodzi.

– Nie domyślasz się?

– Może i tak. Ale chcę, żebyś sam mi wszystko powiedział. Jesteś mi to winien, jesteś mi winien wyjaśnienie!

– Wyjaśnienie. Chcesz wyjaśnienia? Dostaniesz je. Owszem, należy ci się. Zanim zakończę sprawę tak, jak to sobie zaplanowałem... - powiedział i zamilkł na chwilę. – To się zaczęło dawno temu. Pod koniec wojny. Na te tereny napływała wówczas ludność cywilna, przede wszystkim ta wysiedlona z kresów. Potrzebowali domów, miejsca do nowego życia. Zwożono ich całymi grupami. Wiesz o tym, bo między innymi dotyczy to twojej rodziny...

Różni przybywali: ciemni i wykształceni, dobrzy i źli, wśród nich także szumowiny, kryminaliści, najróżniejsza swolocz. Ale w większości byli to po prostu zwyczajni ludzie, tyle, że oglupieni przez propagandę. Łatwo było w tamtych czasach oglupić ludzi, dać im broń do ręki i wsączyć jad w serca. A przy

okazji cudzymi rękami załatwić niewygodną sprawę. Podarowano im więc bezkarność. Wówczas, na jedną chwilę, stali się bogami, panami życia i śmierci...

Przerwał, by opanować wzburzenie. Wziął głęboki wdech i kontynuował:

– Z drugiej strony na wsiach pozostała jeszcze spora część ludności autochtonicznej: niemieckiej i kaszubskiej. To była ta niewygodna sprawa. Całe rodziny, które niczemu przecież winne, chciały pozostać w swoich domach. Byli to głównie starcy, kobiety i dzieci, bo mężczyzn, wcielonych przymusowo do Wehrmachtu, wybito na wojnie lub zatrzymano w obozach jenieckich. Z miast już się Niemców pozbyto, większość sama zdążyła uciec. Na wsi sytuacja była inna. I wcale nie dotyczyła wyłącznie Niemców. Nawet rodziny kaszubskie, które od wieków identyfikowały się z Polską i walczyły o polskość tych terenów, nie były bezpieczne, jeśli nosiły niemiecko brzmiące nazwiska. - Spojrzał na nią zimno. - Ale ty przecież znasz te sprawy? Wykształcona jesteś, czytana. Twoja przyjaciółka z archiwum, pani historyk, także musiała cię uświadomić, kiedy rozszyfrowałyście tożsamość dziecka z fotografii. Kiedy dostałem od ciebie SMS-a, że jedziesz do archiwum, od razu wiedziałem, że wszystko zrozumiesz. Przejdę więc teraz do mojej osobistej historii. Do historii mojego domu i mojej rodziny.

Huk, krew, krzyk, lament. Strach, paraliżujący ciało i myśli. Koszmar wciąż na nowo powracający w snach...

Kolbami karabinu wyganiają ich z własnego domu, biją, szydzą, wyzywają. Matka osłania swoje jedyne dziecko, starzec, jej ojciec, usiłuje osłonić ich oboje. Dostaje kopniaka prosto w brzuch, zwija się z bólu u stóp córki. A oni dalej go kopią. Won, swółocz germanische schweine, słyszą szydercze okrzyki, po których następują głośne wybuchy śmiechu. Napastnicy śmierzdzą samogonem i potem, w ich ochach widać tylko okrucieństwo i nienawiść. A przecież to zwykli ludzie, są wśród nich i kobiety, i nawet dzieci. Mała dziewczynka patrzy na wszystko ochami jak spodki, lecz po chwili ona też zaczyna się śmiać. Widocznie dla niej to zabawa, skoro dorośli się cieszą. Niemka prosi o litość, ale... prosi po niemiecku, co tylko rozjusza przeciwnika, młodego mężczyznę w brudnej wojskowej kurtce, zdartej pewnie z jakiegoś trupa. Kobieta otrzymuje kopniaka w twarz, ociera krew z ust, w jej oczach błyska determinacja. Rzuca się na mężczyznę z gołymi pięściami. Ten odpycha ją, wymierza kolejnego kopniaka, ona zatacza się do tyłu... mein Gott, mein Gott, błaga niebo o pomoc, lecz niebo jest puste; on odbezpieczą rabin...

Dziewczynka przestaje się wreszcie śmiać, jej oczy robią się coraz większe, krzywi buzię w podkówkę. Towarzyszka mężczyzny łapie go za rękaw kurtki, coś mu klaruje, lecz on odpycha także ją- To nie ludzie, to bandyci, szkopscy bandyci, krzyczy i...

I strzela...

Huk, krew, krzyk, lament.

Dwa ciała nieruchomieją w kałuży krwi.

Z niemieckiej rodziny tylko dziecko ocalało, bo w panującym zamieszaniu wyrwało się i uciekło do lasu. Mały chłopiec...

– Twój ojciec – powiedziała.

– Tak. Mój ojciec.

– Niewiele mi o nim opowiadałeś.

– Niewiele było do opowiadania. - Wzruszył ramionami. – A prawdy, ze zrozumiałych względów, nie mogłem ci wyjawić. Złamano mu życie. Miał tylko dziesięć lat. Złapali go w tym lesie, trafił do polskiego sierocińca. Tam też nie oszczędzano „niemieckiego bachora”. Nawet nie mówił po polsku. Możesz sobie wyobrazić, przez co przeszedł, jak traktowali go inni wychowankowie. Opuścił sierociniec w wieku osiemnastu lat, ze skrzywionym charakterem. Zmienił nazwisko na polskie, żeby móc tutaj żyć. I mścić się. Nie zdążył, bo zgnił w więzieniu. Ale, na szczęście czy nieszczęście, zdążył spłodzić syna.

– Zatrul ci umysł.

– To ty masz... zatrutą krew.

– Ja? A co ja mam do tego?

– Jeszcze się nie domyślasz? Czy nie chcesz się domyślić? Ten młody mężczyzna, strzelający do bezbronych ludzi, to był twój rodzony dziadek. Śmiejąca się dziewczynka to twoja matka. Ten dom, to tamten dom. Mój dom.

– Nie, to nieprawda!

– To jest prawda. I ty o tym wiesz.

Zakręciło jej się w głowie. Przymknęła na chwilę oczy. Wiedziała.

Tak, teraz już wiedziała.

- Nie myśmy zaczęli tę wojnę. Powinieneś spojrzeć na całokształt, a nie wyłącznie na wyrwane z kontekstu fragmenty historii. To Polacy byli jej ofiarami, nie Niemcy! – odezwała się w końcu, siląc się na spokój.

- Możliwe. Ale mnie to gównu obchodzi – odparł, a dziwny grymas na jego twarzy naprawdę ją wystraszył.

- I co teraz? Chcesz mnie zabić?

To miał być gorzki żart. W tamtym momencie jeszcze w to nie wierzyła. Dopóki... dopóki nie usłyszała odpowiedzi:

- Od dziecka. To był plan mojego życia. Nienawidziłem cię. Obserwowałem latami, jak cieszysz się moim domem, dobrze odżywiona krwią moich najbliższych. Podczas gdy ja tułałem się po przytułkach, tak samo jak mój ojciec.

Który niczemu nie był winien, bo był wtedy dzieckiem! Tylko dzieckiem! - mówiąc to, krążył wokół kuchni, raz po raz mocno uderzając pięściami o meble.

- Więc po co... - urwała.

- Po co się z tobą związałem? To cię najbardziej gryzie, co? Pomyśl! Rusz głową. Nie jesteś chyba totalną idiotką?

Nie była.

- Kto cię wtedy napadł? — zapytała.

Sama nie wiedziała, dlaczego właśnie to przyszło jej teraz do głowy. Ale chciała wiedzieć.

Wzruszył ramionami, lekko zdezorientowany.

- Napadł? Aha, wtedy! — zachichotał. — A nikt. Całkowitym przypadkiem wyrznięłem o kant szafki w szatni i postanowiłem ten niemiły fakt wykorzystać na twój użytek. Udało mi się?

- Zabiłeś Jerzego? I profesora? Weszli ci w paradę?

— A jak myślisz? Sądzisz, że w tej sytuacji zależało mi na rozgłosie?

Uśmiechnął się. To był przerażająco zimny uśmiech.

Zmroził jej serce.

Zmroził mi serce, dlatego przeżyłam.

Kiedy rzucił się na mnie, uciekłam na górę, na podest, z którego wchodzi się na strych. Planowaliśmy jego adaptację, ale... już nie będzie adaptacji. Zamierzałam zaryglować wejście i uciekać przez okno poddasza. Prowadziło na dach ganku, stamtąd byłoby już łatwo zeskoczyć. Nie zdążyłam, był szybszy ode mnie. A może po prostu przewidział mój krok?

Nie wiem.

Na tym podeście stoczyłam swoją walkę na śmierć i życie. Człowiek, którego kochałam, któremu ufałam najbardziej na świecie, usiłował zepchnąć mnie ze schodów. Schody są stare, wysokie i strome. Broniałam się, jak umiałam, wczepiona w poręcz kopałam i gryzłam. On śmiał się.

— Jak cię znam, to najpierw zejdiesz na serce, zanim zlecisz z tych schodów i złamiesz sobie kark, ty dziwko z za Buga — szeptał mi szyderczo do ucha.

Wiedział, że od dziecka choruję na niewydolność serca. Lecz przeliczył się. Moje serce było zmrożone, zmieniło się w lodowy sople. Niczego nie czułam, poza wolą przetrwania. On nie może wygrać. Nie jestem niczemu winna. Nie ja strzelałam do tamtych ludzi. Nie ja ponoszę za o odpowiedzialność.

Zaczęłam krzyczeć. Ile sił w płucach.

I nagle...

Nagle usłyszał brzęk tłuczonego szkła. Drgnął, odruchowo odwrócił się, kątem

oka dostrzegł czyjąś sylwetkę wbiegającą do holu. I wtedy poczuł silny cios w pachwinę, Zakręciło mu się w głowie. Jęknął, lecz jego umysł już tego nie zarejestrował, gdyż w tym samym momencie stracił równowagę i poleciał jak kamień, koziołkując w dół schodów.

Zanim kopnęłam go w krocze, nie dotarło do mnie jeszcze, komu zawdzięczam ratunek. Dopiero po chwili rozpoznałam swojego wybawcę. To był sąsiad. Ten, za którego nie dałabym złamanego grosza: Niemiec.

— Pani cała? — wysapał. — Szczęście, zem was obserwował. Tak mi się zdało, że kto na sąsiadki życie dybie. Alem na to nie wpadł, że to będzie on. Jakaś zdzira jemu pomagała. Zmówieni być musieli. Młoda, czarna. Łaziła tu w kole domu nie jeden raz...

Zdzira? Młoda? Pewnie jedna z tych jego sportsmenek, które trenował. Przypomniały mi się od razu wszystkie głuche telefony i inne dziwne zdarzenia. Rzeczywiście, musiał mieć współnika. Czyli współniczkę, która z oddaniem dyszała mi w słuchawkę. I zapewne miała tu z nim zamieszkać po mojej tragicznej śmierci.

Opadłam z sił, usiadłam ciężko na schodach.

— Co z nim?

Stary pochylił się nad nieruchomym ciałem i trącił je nogą.

— Denat — odparł z satysfakcją.

Po wszystkim

Już wtedy postanowiłam, że sprzedam ten przeklęty dom. I tak straciłam wszystko, co miałam: rodzinę, przeszłość, wspomnienia. Szlag to wszystko trafił. Nie mogę udawać, że nic się nie stało. Dom cuchnął krwią, a całe moje dotychczasowe życie okazało się iluzją. Czasem się zastanawiam, czy śmierć moich rodziców to rzeczywiście był wypadek. Dość! Dość tego! Chcę się odciąć. Sprzedam tę przeklętą chałupę, choćby za bezcen, bo oddać nie mam komu, i zacznę życie od nowa, wyłącznie na własny rachunek. Mówi się: co nas nie zabije, to nas wzmocni.

Mnie nie zabiło...

Mnie nie zabiło, pomyślała, pakując do bagażnika parę walizek z resztkami swojego poprzedniego życia. Po raz ostatni spojrzała w okna domu, który tak naprawdę nigdy nie należał do niej.

— Koniec — powiedziała, zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Od autorki:

Opisane wydarzenia oraz postacie są całkowicie fikcyjne. Opowieść ta ma jednak swoje źródło we wspomnieniach starszych mieszkańców Pomorza Gdańskiego, gdzie koleje ludzkich losów splątały się w szczególny sposób, a echo dawnych wydarzeń wciąż nie do końca wybrzmiało.

Styczeń 2012

Krzysztof Koziółek

RECEPTA

Trzej mędracy

Wysoki stopień podekscytowania w sali konferencyjnej biurowca Narodowego Funduszu Zdrowia dałoby się zmierzyć bez żadnego specjalnego detektora. Wystarczyło spojrzeć na krzątających się urzędników: jedni po raz trzeci przedstawiali bukiety wielkich czerwonych róż – takich, jakie minister zdrowia Jonasz Barłózek lubił najbardziej – inni zaś gorączkowo rozkładali na krzesłach materiały prasowe dla licznie zaproszonych dziennikarzy. Do rozpoczęcia briefingu pozostał niespełna kwadrans i pierwsi operatorzy kamer rozstawiali już sprzęt, sprawdzając oświetlenie. Jeden z nich, wyga z lokalnego oddziału telewizji publicznej – taki, co to już niejedno w życiu sfilmował, włącznie z pijackim ształem niedoszłego premiera z lewicy – bez ceregieli podszedł do okna, wdrapał się na marmurowy parapet i zwolnił blokadę żaluzji, po czym zwinnie zaciągnął je na całe okno.

Starszy inspektorskim stopniem, doświadczeniem i uposażeniem urzędnik już miał wypowiedzieć strofujące słowa, przypominając o zakazie dotykania budżetowego mienia, ale w porę się powstrzymał. To był najważniejszy dzień w historii biurowca i wszystkich jego pracowników - od dyrektora lubuskiego oddziału NFZ Krzysztofa Pawełły, przez naczelników, personel średniego szczebla, do stażystów, sprzątaczek i ochroniarzy. Tego właśnie dnia miano podpisać umowę o powołaniu nowego kierunku na Uniwersytecie Ziemi Lubuskiej: medycyny. Jakakolwiek pyskówka z dziennikarzami mogła zakłócić odświeżoną atmosferę, a – co najgorsze – wpłynąć na medialne relacje, które miały się ukazać nie tylko w prasie i telewizji lokalnej, ale i na szczeblu centralnym.

- Na szczeblu centralnym!

Słowa dyrektora Pawełły, wykrzywane podczas porannej odprawy w tej samej sali, tłukły się w głowie urzędnika. Tak, nie było sensu zwracać uwagi, a nawet jeśli żaluzje miałyby się zepsuć, co zdarzało się nader często, był to drobiazg w porównaniu z relacjami na ogólnopolskich antenach. Relacjami, w których być może pojawiłby się on sam, szeregowy pracownik funduszu, ponieważ to jemu

przypadł w udziale zaszczyt podania trzech teczek oprawionych w prawdziwą skórę.

Urzędnik spojrzął na zegar ścienny wiszący nad stołem prezydialnym, zaklął cicho pod nosem, widząc niewielki przechył w prawą stronę. Zerknął ukradkiem na kamerzystów dokonujących ostatnich korekt niezwykle drogiego sprzętu. Nie wyglądali na takich, co to interesują się detalami wystroju wnętrza. Pozory mogły jednak mylić, a w głowie urzędnika równie głośno krzyczały słowa dyrektora: Tylko pamiętajcie, każdy z tych pismaków, jacy zjawią się na dzisiejszej wiekopomnej konferencji, tylko czyha na najdrobniejszy nasz błąd, który potem rozdmucha do wymiarów niewyobrażalnej afery!

Urzędnik raz jeszcze obrzucił kamerzystów błyskawicznym spojrzeniem, ale sytuacja nie zmieniła się, nadal byli zajęci sobą. W takim razie kwestię zegara można było uznać za nieistotną. Ważne, że wskazywał minutę przed jedenastą.

W tym momencie drzwi służbowe do sąsiedniego pokoju otworzyły się z hukiem, a ułamek sekundy później pojawiła się w nich filigranowa postać rzecznika lubuskiego oddziału NFZ Rafała Kowalskiego, który uchylił skrzydło, niemal zamiatając dłońmi podłogę, jakby w ten sposób chciał usunąć ostatnie, niewidoczne już pyłki z pastowanej dwukrotnie posadzki. A wszystko to przed samym ministrem zdrowia Jonaszem Barłożkiem, za którego dumną postacią maszerował nie mniej dumny rektor Uniwersytetu Ziemi Lubuskiej, profesor Grzegorz Święczkiewicz. Pochód trzech mędrców - w przyпіływie dobrego humoru przeciętnego nawet reżysera mogliby bez problemu wygrać casting na Trzech Króli - zamykał pan i władca na „funduszowskich” włościach: Krzysztof Pawełło, dyrektor lubuskiego enefzetu od niespełna trzech lat.

Po przydługim przywitaniu, i wymienieniu wszystkich zasług trzech mędrców, samo parafowanie umowy przy pomocy prawdziwych wiecznych piór odbyło się już znacznie sprawniej. Następnie przyszedł czas na pytania. O dziwo, dziennikarze zadali tylko cztery dotyczące powołania nowego kierunku, a potem wrócili do kwestii niedawnego zamieszania | lekami refundowanymi.

- Jaka afera? - oburzył się minister zdrowia Jonasz Barłożek. - Tę wielką aferę z listą leków refundowanych rozbuchaliście wy i wasi koledzy i koleżanki po fachu! — Satysfakcja była z każdego słowa wypływającego z ust ministra. — Tyle lamentów było nad lekarzami, którzy mieli być karani za nieprawidłowo wypisane recepty, tyle się użalaliście nad aptekarzami, nad pacjentami. A wszystko skończyło się tak pięknie, j! — Uśmiechnął się diabolicznie. - Ja wiem, że był taki czas, gdy pacjenci biegali od apteki do lekarza i z powrotem, aby poprawiać błędnie wystawione recepty, ale przy wprowadzaniu tak dużej reformy ofiary są

nieuniknione. — Wstrzymał głos, sycąc się w duszy retorycznym zagranem. — Ale powtórzę: to wszystko z wielką korzyścią dla pacjenta!

- Dla którego konkretnie, panie ministrze?

Męski tubalny głos złamał atmosferę ministerialnego triumfu. Mimo że jego właściciel nie korzystał z mikrofonu — rzecznik Rafał Kowalski dbał o to, aby nie trafiał on w ręce nieznanym mu osób — słycać go było wyraźnie.

Kilku dziennikarzy z zainteresowaniem odwróciło głowy, jednak kamery wciąż skierowane były na twarz ministra. Właśnie tak, jak spodziewał się mężczyzna.

- Czas na kolejne pytania przyjdzie później. — Rzecznik Kowalski zareagował z małym opóźnieniem. — Pan minister jeszcze nie skończył odpowiadać na poprzednie...

- Nie szkodzi - minister Jonasz Barłożek machnął ręką, uśmiechając się przy tym w typowy dla siebie sposób, który równie dobrze można było odczytywać jako wyraz sympatii, jak i kpiny z rozmówcy. — Które medium pan reprezentuje?

— Głos ludu — odparł mężczyzna bez zastanowienia.

— Proszę odpowiedzieć na pytanie: dla którego konkretnie pacjenta reforma odbyła się z wielką korzyścią?

- Wie pan... - minister Jonasz Barłożek udał, że nad czymś intensywnie myśli - postawił pan pytanie w taki sposób, że trudno na nie odpowiedzieć, nie wiedząc, co też panu chodzi po głowie.

Sala zgodnie zareagowała śmiechem.

- Państwa to śmiesz, i To nie było pytanie, tylko stwierdzenie. — Was może to śmieszyć, ale nie tych, których reforma kosztowała nie tylko dodatkowe pieniądze wyciągnięte z biednego portfela, ale i stracone zdrowie - mówił dalej mężczyzna. — Niejednokrotnie zdrowie stracone bezpowrotnie — w jego głosie pojawił się dziwny tembr, który wprawnego psychiatrę klinicznego zaalarmowałby w ułamku sekundy.

Nagle dziennikarze zobaczyli grymas przerażenia na twarzy ministra Jonasza Barłożka, chwilę później dało się słyszeć charakterystyczne ni to splunięcie, ni to kasznięcie, potem kolejne, i jeszcze jedno. Niemal w tym samym momencie niebieska koszula ministra pociemniała, a on osunął się na podłogę. Chwilę potem runął w dół dyrektor Paweł, wcześniej uderzając bezwładną już głową w kant stołu.

— Nie odwracać się! — Ton głosu mężczyzny nie pozostawiał złudzeń, kto jest panem sytuacji. - Wyłączyć nagrywanie kamer! Skierować obiektywy w dół! - wyrzucał komendy z prędkością karabinu maszynowego. - Nie odwracać się!

Kamerzyści w absolutnym milczeniu wykonywali polecenia. Reflektory jednak

nadal świeciły w twarze trzech mędrców, dzięki czemu mężczyzna pozostawał dla innych niewidoczny.

- Rektor do mnie podejdzie – rozkazywał dalej. - Spuści pan głowę w dół i wbije wzrok w podłogę. A teraz powolutku do mnie... Tak... Dobrze...

Rektor, drobiąc krokami, podszedł do mężczyzny, wpatrzony w czubki własnych butów. Ten w jedną dłoń wcisnął mu aktówkę, w drugą dwie małe kartki, następnie obrócił nim o 180 stopni i lekko pchnął.

- Teraz pan wróci do stołu i postawi na nim torbę. A karteczki proszę położyć na ciałach - rozkazywał dalej mężczyzna. – Ale bez odwracania się!

Rektor, ocierając pot z czoła rękawem koszuli, podszedł do stołu, postawił na nim aktówkę, rozciągnął się na blacie jak długi i sięgając ręką za stół, położył karteczki na ciałach.

- W torbie jest bomba, która reaguje na najmniejszy ruch - rzekł mężczyzna, gdy tylko rektor powrócił do normalnej pozycji. - Gdy będę przy drzwiach, zostanie aktywowana. Jeśli ktokolwiek przesunie się choćby o centymetr, to będą was musieli pochować w zbiorowej mogile, bo nie dojdą, która ręka do kogo należy.

Gdyby w sali konferencyjnej była teraz choć jedna mucha, jej bzyczenie byłoby najgłośniejszym dźwiękiem. Ponieważ sala była wysprzątana perfekcyjnie, zapadła tylko głucha cisza.

Sekretarka

Pół godziny później te same drzwi, którymi wcześniej weszli trzej mędrzy, ponownie otworzyły się z hukiem i pojawiła się w nich postać sekretarki. Gdy kobieta dostrzegła zalane krwią ciała, nie zdążyła nawet krzyknąć; zemdlała, padając wprost na stół.

Po jej upadku kamerzysta z lokalnego oddziału telewizji publicznej uśmiechnął się triumfalnie: miał rację, twierdząc od samego początku, że w torbie nie ma żadnej bomby. Jednak pytania, dlaczego w takim razie nie zaryzykował wcześniej sprawdzenia tego osobiście, już sobie nie zadał.

Policja zjawiała się po dziesięciu minutach. Po sprawnej, ale spokojnej ewakuacji – bomba w aktówce mogła się jednak znajdować, mógł po prostu szwankować detonator – do pomieszczenia weszli saperzy. Dopiero gdy oni ostatecznie potwierdzili, że torba jest pusta, na sali pojawił się lekarz sądowy, który stwierdził zgon ministra i dyrektora.

Mimo że dziennikarzy nie dopuszczono do ciał, godzinę później w mediach pojawiła się informacja, że owymi karteczkami, które sprawca za pośrednictwem

rektora zielonogórskiej uczelni złożył na zwłokach, były recepty, każda z pieczątką: „Refundacja do decyzji NFZ”. Zamachowca okrzyknięto „receptowym mordercą”.

Specgrupa

Kwadrans później Rajmund Piaskowski, komendant wojewódzki policji w Gorzowie Wielkopolskim, rozpoczął odprawę dopiero co powołanej specgrupy, składającej się z osiemnastu funkcjonariuszy z różnych pionów.

W tym samym czasie swoją specgrupę - tyle że dużo mniejszą liczebnie - powołał komendant miejski policji w Zielonej Górze, Andrzej Rubik, niedawno awansowany z komendy w Nowej Soli. Teoretycznie nie było takiej potrzeby, gdyż specgrupa wojewódzka miała wszelkie uprawnienia i dużo większe możliwości. Rubik chciał jednak uprzedzić Piaskowskiego, z którym rywalizował o względy przełożonych od czasów pierwszego egzaminu w szkole policyjnej w Pile. Fakt, że rywal dochrapał się stołka wojewódzkiego, był dla Rubika nie lada zadrą, którą chciał jak najszybciej usunąć ze swoich policyjnych czterech liter. Dlatego też nie przebierał w słowach, tłumacząc nadkomisarzowi Miłoszowi Bartoszowi Kleemannowi i komisarzowi Ryszardowi Grodzkiemu z wydziału kryminalnego, jak ważne zadanie przypadło im w udziale.

Kleemann, swoim zwyczajem, nie pokusił się nawet o słowo komentarza. Grodzki, wpatrzony w starszego stopniem i stażem kolegę, również milczał, za to w jego głowie I kłębiły się takie myśli: wojewódzka specgrupa liczy osiem- i nastu ludzi ze wszystkich pionów, nas jest dwóch. Mało brakowało, a Grodzki wyłamałby palce, aby sobie plastycznie zobrazować dysproporcję. Więc o jakiej, kurwa!, specgrupie może tu być mowa? Patrzył z powagą na komendanta, nie mrugnawszy nawet okiem. Kutas mógł nam dać do pomocy jakiegoś krawężnika, wtedy można by nas nazwać „spectrumem”, ironizował w myślach.

Zielonogórska specgrupa miała tyły liczebne, za to była na miejscu, tak więc to Kleemann z Grodzkim, jako pierwsi rozpoczęli przesłuchania dziennikarzy. Po szóstej z kolei osobie Kleemann wyszedł z pokoju i zaczął kopać w saturator.

– Gówno – orzekł Grodzki, który pojawił się za plecami nadkomisarza.

– Ja rozumiem, że w takiej sytuacji można się zesrać w gacie ze strachu. – Kleemann poczuł ból w prawej kostce, przestał więc wyładowywać frustrację na urządzeniu.

– Człowiek może zapomnieć, jak się nazywa i gdzie mieszka. Ale żeby, do jasnej cholery, nie zarejestrować żadnego cennego faktu?! Żadnej cennej informacji?

– Kazał im się nie odwracać. – Grodzki ziewnął szeroko.

– No i co z tego? – warknął szef. – Jak trzeba znaleźć aferę w szklance wódki, to pismaki mają nosa lepszego od psa celników. Ale jak mają zapamiętać tembr głosu, odbicie postaci w szybie, to się zachowują jak przedszkolaki w wesołym miasteczku: kompletnie tracą głowy.

– Gównu – skonstatował Grodzki ponownie.

– Powiem twojej starej, żeby ci pod choinkę kupiła słownik synonimów. – Kleemann obdarzył komisarza spojrzeniem pełnym politowania. – Wracamy na salę.

Dalsze przesłuchania nie przyniosły przełomu. Podawane przez dziennikarzy opisy zamachowca tak się od siebie różniły, że grafik miał ogromne problemy z przygotowaniem sensownego portretu pamięciowego. Jak się okazało, nikt z obecnych na konferencji nie zamienił z mężczyzną nawet słowa.

– Nikt faceta nie kojarzył, ktoś tam nawet próbował podpytywać znajomych, kto zacz, ale śledztwa dziennikarskiego nikt w tej sprawie nie przeprowadzał – stwierdził jeden z przesłuchiwanym.

Kleemann z Grodzkim skończyli z przedstawicielami mediów tuż przed przyjazdem specgrupy z Gorzowa. Następnie udali się do budynku NFZ przy ulicy Podgórznej, przywitali się z posterunkowym strzegącym wejścia i od razu skierowali do centrali monitoringu, gdzie czekał na nich leciwy ochroniarz.

Najpierw obejrzel nagranie. Mężczyzna wszedł do budynku razem z innymi dziennikarzami, a tuż przed wejściem odwrócił głowę w bok. Potem niby wpatrywał się w tablicę informacyjną, a w rzeczywistości nadal unikał czujnego oka kamery. O ile jego sylwetka się zarejestrowała, to szczegóły twarzy, czy choćby ich zarysy, już nie. Później skierował się do toalety, gdzie się przebrał. Kolejne nagranie, wykonane niespełna godzinę później, też nic nie wносиło do sprawy. Mężczyzna, wychodząc z budynku ponownie odwrócił głowę.

Podczas seansu Kleemann z Grodzkim naprzemiennie kłęli. Ochroniarz, którego z premedytacją trzymali w tym samym pomieszczeniu, już tylko z powodu tego drżał na samą myśl o przesłuchaniu.

- No, panie – Grodzki szybkim spojrzeniem zlustrował dowód osobisty leżący obok klawiatury komputera.

– Smuda, przepuszcza pan każdego, kto ucieka przed kamerą?

– Jakbym miał patrzeć kto, w którą stronę spogląda, to bym chyba oczopląsu dostał – odpowiedział Smuda.

- Jaki rezolutny – zaśmiał się Kleemann sztucznie.

– To, że nie zwrócił pan większej uwagi na zamachowca, gdy ten wchodził

razem z tłumem dziennikarzy, chociaż zachowywał się nadzwyczaj podejrzanie, to już wiemy...

Ochroniarz milczał, zastanawiając się, czy aby nie uciekło mu dziesięć lat życia, podczas którego przepisy prawa zmieniły się na tyle, że teraz każdy, kto potrafi ruszać głową, jest nadzwyczaj podejrzany.

– Umie pan mówić? – rzucił Grodzki na pozór przymilnie.

– Mhm – potwierdził ochroniarz.

– A gdy wychodził? – mówił dalej Kleemann. – Zauważył go pan? Wtedy już był sam, bez tłumy pismaków.

Smuda cmoknął cicho.

– Zadałem pytanie – powtórzył Kleemann, wolno cedząc słowa.

– Byłem w ubikacji – odparł Smuda po dłuższej chwili.

– Mam problemy z prostatą...

Kleemann spojrzał błagalnie na Grodzkiego, ten tylko wymownie pokiwał głową. Kolejny ważny świadek i nawet cienia informacji.

– Wracamy do fabryki? – spytał Grodzki, gdy tylko wyszli z budynku NFZ.

– I co powiemy staremu? – Kleemann nawet nie próbował ukrywać parszywego nastroju. – Kupimy coś do żarcia i walniemy się na chwilę na ławeczce koło palmiarni. Coś musimy wymyślić...

Zjedli po dwie bułki, dwie parówki (Grodzki odtłuszczone, bo walczył z galopującą nadwagą) i po jednym pomidorze, popili sokiem z czarnej porzeczki.

– Mam śmiałą hipotezę – szepnął nagle Grodzki.

– Tylko żeby śmieszna nie była – westchnął Kleemann, patrząc w dal i próbując policzyć wieżowce na Ptasiej, poczynając od pierwszego z charakterystyczną anteną na dachu. Doliczył się czterech, a wiedział, że powinno ich tam być o jeden więcej. Czas wybrać się do okulisty.

– To była zemsta za śmierć w rodzinie z powodu niewykupienia recepty. – Komisarz dopił resztę soku.

– Równie dobrze mógł to być jakiś aptekarz.

- Jeśli tak, to szukamy igły w stogu siana. – Grodzki beknął głośno. - W kraju mamy ponad trzysta tysięcy aptek.

– A gospodarstw domowych mniej? – skrzywił się Kleemann.

– Idąc twoim tokiem rozumowania, to mógł być równie dobrze lekarz...

– Tylko w Porozumieniu Zielonogórskim jest trzysta tysięcy medyków. A są jeszcze inne organizacje...

– Dajmy sobie spokój z tymi liczbami, bo będę musiał skoczyć po pół litra. – Grodzki próbował być zabawny, ale wyszło kiepsko.

– Nie chodziło o otwarcie medycyny na naszej uczelni, bo wtedy zastrzeliby także rektora – Kleemann zmienił wątek. – Ale jeżeli chodziło o ustawę o lekach refundowanych, to dlaczego zastrzelił dyrektora Pawełę, skoro gość tylko wykonywał polecenia centrali?

– No właśnie, dlaczego? – błyskotliwe pytanie Grodzkiego przecięło przestrzeń.

– Może Paweło załaził zamachowcowi za skórę z innego powodu? – dywagował dalej nadkomisarz.

– Fakt! – Podwładny nie zareagował na ironiczny ton w pytaniu. – Może dyrektora też chciał za coś ukarać?

– Za co? – Kleemann w jednej chwili spoważniał. – Lekarz, który przegrał konkurs na prowadzenie praktyki?

– Albo aptekarz, który podpadł urzędasom.

– Jeżeli załatwił Pawełę, to znaczy, że to ktoś z naszego województwa!

– Na bank. – Grodzki potaknął. – Może to i psychol zrobił, ale działał sprawnie. Nie sądzę, żeby obrał na cel tylko ministra, a dyrektora zabił w przypływie gniewu. Równie dobrze mógłby wtedy zastrzelić rektora, rzecznika, czy któregoś z dziennikarzy. A ponieważ tego nie zrobił, to znaczy, że zabił tylko tych, których chciał zabić i których morderstwo zaplanował wcześniej. Pamiętaj, że miał tylko dwie recepty... Błąd! Mógł mieć więcej recept, a tylko dwóch użył..

– Źle myślimy. – Kleemann skrzywił się kwaśno. - Żaden lekarz ani aptekarz nie zaryzykuje ciepłej posadki i sporych pensyjek i nie zamieni ich na więzienny wikt. Nie zabija się dwóch ważnych person tylko dlatego, że ktoś ci kontrolę nastął albo nie podpisał z tobą kontraktu. Jak medyk nie dostanie umowy z funduszem, to przyjmuje prywatnie, a na swoje i tak wyjdzie.

– Rację masz – przyznał Grodzki, ale jakoś tak mało chętnie.

– Ja bym, Rysiu, stawiał na czyjegoes męża lub ojca, który stracił bliską osobę w związku z perturbacjami wynikłymi po wprowadzeniu ustawy refundacyjnej.

– Perturbacjami, piękne słowo. – Twarz Grodzkiego rozjaśnił błogi uśmiech. - Ale to była moja koncepcja - przypomniał.

– Ale nawet jeśli to nie jest lekarz ani aptekarz, tylko zwyczajny człowiek, to też stąd. – Kleemann przemilczał uwagę. – Z lubuskiego - sprecyzował niepotrzebnie.

– Zgadza się - rzekł, nadal szeroko uśmiechnięty komisarz. - Załatwił dyrektora, więc jest stąd.

– Wracamy do firmy.

Lekarz lub farmaceuta

Dziesiątki godzin nudnej policyjnej roboty i litry wściekle paskudnej i zimnej kawy wypite przez kilkanaście osób, które Rubik oddelegował Kleemannowi i Grodzkiemu do pomocy, przyniosły mizerne efekty.

Na początku obdzwonili szpitale w całym województwie, pytając dyrekcje, czy były przypadki śmierci pacjentów, które mogły mieć związek z niewydaniem leku na receptę. Kiedy to nie przyniosło rezultatu, dzwonili raz jeszcze, ale już nie do dyrekcji, tylko na każdy oddział z osobna. Gdy i to nie posunęło sprawy do przodu, Grodzki w przyływie geniuszu wpadł na myśl, że morderca mógł być co prawda z lubuskiego, ale bliska mu osoba mogła się leczyć poza granicami województwa.

Zaczęli więc dzwonić do szpitali i klinik w zachodniopomorskim, dolnośląskim i wielkopolskim.

– Idziemy dalej? – Grodzki spojrzał badawczo na Kleemanna, przecierając zmęczoną twarz.

– Cały kraj obdzwonimy i gówno to da! – Kleemann walnął pięścią w stół, aż notatki posypały się na podłogę.

– Myśl, geniuszu!

- Już raz wymyśliłem – udał obruszonego.

– No, już raz wymyśliłeś! Właśnie wydzwoniliśmy limit minut całej komendy na najbliższe dwa lata i nadal jesteśmy w czarnej dupie!

Grodzki jednym uchem słuchał nadkomisarza, drugim radia, rejestrując, czy zaczął się już konkurs, w którym można było wygrać sto dwadzieścia tysięcy złotych za jednog° głupiego° SMS- a. Co prawda w momencie odebrania telefonu od prowadzącego trzeba było odpowiedzieć obowiązującym tego dnia hasłem – co dziwne, dziewięciu na dziesięciu słuchaczy zwykle witało się zwykłym „słucham”, tracąc bezpowrotnie szansę na nagłe wzbogacenie się - ale czego się nie robi dla puli równej kilkuletniej policyjnej emeryturze?

– Mówię do ciebie! – Kleemann warczał jeszcze bardziej. – Wyłącz to pudło.

– Chwila! – Komisarz słuchał nadal, czekając, aż skończy się reklama i padnie komenda: „Konkurs rozpoczęty”.

– Przed użyciem zapoznaj się z treścią ulotki dołączonej do opakowania bądź skonsultuj się z lekarzem lub farmaceutą, gdyż każdy lek niewłaściwie stosowany zagraża twojemu życiu...

– Miłosz! – Grodzki bezwiednie użył znienawidzonego imienia kolegi. – A jeśli to jednak był lekarz lub farmaceuta, a nie zwykły obywatel?

Kleemann – który nie znosił żadnego z dwóch imion nadanych mu przez rodziców: ani Miłosza, ani Bartosza, dlatego koledzy wołali do niego po nazwisku – spojrzał groźnie na Grodzkiego, jednak chwilę później oblicze nadkomisarza

przybrało o wiele bardziej przyjazny wyraz.

Zmienili plan. Przestali obdzwaniać szpitale i kliniki, postanowili skoncentrować się na okręgowych radach lekarskich i aptekarskich. Wiedząc jednak, że mogą napotkać mur wybudowany przez źle pojętą zawodową solidarność, nie ograniczyli się tylko do tego, ale skontaktowali się też z wszystkimi komendami wojewódzkimi, prosząc o przestanie okólnika o szczebel niżej. Grodzki, w kolejnym przypiływie geniuszu, zaproponował, aby – skoro już wykonują taką mrówczą pracę - nie ograniczali się do pytania o podejrzanych lekarzy i farmaceutów, ale podjęli również wątek śmierci z powodu niewydania leku.

Kiedy skończyli dzwonić, faksować i mailować, dochodziła 18.30 drugiego dnia po morderstwie. Teraz przyszło czekać na ewentualne sygnały zwrotne.

Kleemann zarządził przerwę w pracy do następnego ranka.

Euzebiak Stanisława

Dochodziła północ, Kleemannowi śniła się właśnie Miss Świata Parowozów Wolsztyn 2011, gdy konwersację przerwał natarczywy dźwięk komórki.

- Nadkomisarz Kleemann, słucham – rzekł ledwie żywy do słuchawki, odwracając się tyłem do żony.

– Sierżant Grzęski, dzielnicowy z Włocławka.

- Tak? - Nadkomisarz próbował sobie przypomnieć, czy prowadzi jakąś sprawę mającą związek z tym miastem, ale w głowie tłukła się tylko głucha cisza.

– Na okólniku jest podane, żeby dzwonić bezpośrednio do pana.

– Okólniku?... Tak, okólniku! – W jednej chwili oprzytomniał. – Niech pan mówi.

- Wczoraj miałem obchód na Michelinie i na jednej takiej melinie - dzielnicowemu niechcący się zrymowało - wszedłem w posiadanie informacji, jakoby Euzebiak Stanisława, lat 87, zamieszkała we Włocławku, ulica Kapitulna, zmarła w wyniku niewykupienia leków na nadciśnienie. Na okólniku pisze, żeby informować natychmiast, dlatego ja... o tej porze..

Ja pierdołę! – Kleemann zaklął w myślach. To ja tu 1 misską... Ale jak chłop chce, to niech ma, westchnął, i na głos powiedział:

– Sierżancie Grzęski, to wszystkie informacje?

– Na chwilę obecną tak.

– W takim razie proszę zweryfikować źródło i dowiedzieć się o sprawie jak najwięcej. Da się zrobić?

– Jasne! – Dzielnicowy oczami wyobraźni widział już nagrodę, a kto wie, może

nawet zbliżał się od dawna wyczekiwany awans?

– Oczywiście mój komendant skontaktuje się z pańskim komendantem, żeby zachować drogę służbową.

– Nie będę czekał na papierki, z rana zabieram się do roboty!

Nie minął kwadrans, odkąd Kleemann zreferował Grodzkiemu przebieg nocnej rozmowy – o Miss Świata Parowozów oczywiście nie wspominał – gdy sierżant Grzęski zadzwonił ponownie, tym razem by sprostować informację: Euzebiak Stanisława, lat 87, nie zmarła z powodu niezajęcia leków na nadciśnienie, tylko przeciwwskrzepowych. To był szczegół kompletnie nieistotny dla spraw; za to fakt, że śledztwo wszczęła już wrocławska prokuratura, był o wiele bardziej godny uwagi.

Jednak z wybuchem radości postanowili poczekać do rozmowy z prokuratorem prowadzącym, który miał wrócić z wokandy po 12.00.

Wiceminister zdrowia, przewodniczący klubu parlamentarnego Platformy Wszystkich Obywateli, rzecznik partii, w końcu sam premier; wszyscy powtarzali jak mantrę: ustawa refundacyjna została wprowadzona w życie dla dobra pacjentów.

- Tylko jakoś tych zadowolonych pacjentów nie widać – skomentował kwaśno Grodzki, oglądając kolejny serwis informacyjny.

- Czekasz, aż pokażą wywiad z naszym człowiekiem i wtedy pojedziesz wręczyć mu wezwanie do stawienia się na prokuraturze? - spytał cierpko Kleemann, sięgając po pilota. - Koniec podziwiania PR-owskich zabiegów partii jaśnie nam rządzącej! - warknął. - A może przełączyć panu komisarzowi na Kosmica TV? Zadzwoni pan komisarz do wróżbity Macieja, nie zdąży pan komisarz nawet zadać pytania, a on już udzieli odpowiedzi! I jeszcze podziękuje za uznanie!

- Kpij, kpij – odburknął Grodzki. – A Kosmica TV jest emitowana dopiero wieczorem, panie wszystkowiedzący – uśmiechnął się z satysfakcją.

- Urlop sobie w godzinach pracy zrobiliście?! – Drzwi otworzyły się z hukiem, stanął w nich komendant miejski Andrzej Rubik. – Dupy w troki i do roboty, bo mi tu komenda główna policji wierci dziurę w brzuchu co pół godziny. Ko- men- da głów- na! – przesyłabizował na wszelki wypadek, gdyby podwładni mieli jakieś wątpliwości, co do wagi śledztwa prowadzonego w iście ślimaczym tempie.

- Chyba główna - mruknął Grodzki pod nosem.

- Pan coś mówił, komisarzu? – wycodził wolno Rubik.

- Nie? - spytał, widząc milczące spojrzenie Grodzkiego.

– To do pracy, chłopaki, do pracy! – Zatarł ręce. – Teraz musimy być lepsi od wojewódzkiej! Wiecie, rozumiecie?

- Panie komendancie, pracujemy na okrągło - zapewnił solennie Grodzki. – Mamy nawet nową hipotezę...

– Tak?! – zainteresował się z miejsca komendant Rubik. – Jaka? – Spojrzał z wyczekiwaniem.

Wyczekiwanie na twarzy Kleemanna skierowane w stronę komisarza było równie wielkie.

– Więc... – Grodzki poczuł, jak robi mu się na przemian gorąco i zimno.

– Więc co to za hipoteza? – ryknął nagle komendant Rubik. – Chyba nie jest tak tajna, że nawet pan komisarz o niej nie wie?

– Związek ze sprawą może mieć Euzebiak Stanisława, lat 87... – Grodzki chwycił się ostatniej deski ratunku.

– Zmarła z powodu niezażycia leków przeciwwzakrzepowych. Śledztwo w tej sprawie wszczęła już prokuratura we Wrocławiu.

– Włocławku – syknął Kleemann.

– We Włocławku - poprawił się Grodzki.

– Moment... – komendant Rubik sięgnął do kieszeni po wibrującą komórkę.

Słuchał krótko, a podczas tego słuchania jego twarz zmieniała kolor jak kameleon; od niemal bordowego, przez czerwony, biały, po zielonkawy.

– Euzebiak Stanisława, tak? – wycedził, gdy tylko odłożył telefon. – Lat 87, tak?... Ja wam kurwa, dam Euzebiak Stanisławę, lat 87! Specgrupa z Gorzowa namierzyła już sprawcę. I wiecie, gdzie? We Wschowie, a nie w żadnym pieprzonym Włocławku!

Dochodziła 10.00, minęło niemal pół godziny od eksplozji komendanta Rubika, a Kleemann z Grodzkim wciąż nie potrafili otrząsnąć się po przegranej. Dla uspokojenia nerwów skołatanych ciężką policyjną robotą, która, jak to często bywa, nie dała rezultatu, rozstawili partyjkę szachów.

Chwilę potem otworzyły się drzwi, ale już bez huk. Stał w nich Andrzej Sokół, były dziennikarz „Nowego Głosu Lubuskiego”, który niedawno razem z Kleemannem i Grodzkim wyjaśnił sprawę morderstwa wiceprezydenta Zielonej Góry, znalezionej martwego z kłosem winogron w ustach.

Sokół złapał rękoma za futrynę, wsadził głowę do środka, po czym wycofał się za drzwi, by po pięciu sekundach wrócić do pokoju.

– Sprawdzalem, czy to wciąż pion kryminalny, czy może czasem sekcja szachowa – wyjaśnił Sokół naprędce, widząc zdziwione spojrzenie Grodzkiego.

– Bardzo śmieszne – rzucił Kleemann grobowym głosem. – Bardzo.

Ile razy was odwiedzam w tym przybytku, tyle razy marnotrawicie publiczne pieniądze – kpił dalej Sokół.

– Chociaż, nie powiem, szachy uczą logicznego myślenia, co w waszej branży...
– Przy partyjce szaszków naprawdę lepiej mi się myśli.
– Kleemann obdarzył Sokoła spojrzeniem pełnym koleżeńskiej nienawiści.
– Akurat! Lepiej mu się myśli... – Grodzki prychnął lekceważąco. – Na wkurwie jest i tyle.
– Z jakiegoś konkretnego powodu, czy ma okres jak zawsze? – Sokół mrugnął porozumiewawczo w stronę Grodzkiego tak, aby nadkomisarz niczego nie zauważył.
– Znaleźli receptowego mordercę – Grodzki sięgnął po gońca.
– Grupa do spraw specjalnego poruczenia? - upewnił się Sokół. – Gorzowiaki byli lepsi od was, wiecznie niedocenianych diamentów zielonogórskiej policji?!
Zacięty wyraz twarzy Kleemanna wystarczył za odpowiedź.
– Gdzie go znaleźli? - pytał dalej Sokół.
– Takie pytania to my, a nie nam - parsknął Grodzki, dokonując ostatecznego ataku więź.
– Tajemnica. - Kleemann pstryknął królem, poddając partię. – Jutro go będą kosić – skłamał gładko.
– Bładym świtem - podłapał Grodzki natychmiast. - Jak za starych dobrych czasów - uśmiechnął się chytrze.
– Jak za starych dobrych czasów? – zdziwił się Sokół.
– Rysiu, przecież ty za młody jesteś, żeby pamiętać czasy esbecji!
– Jaldej tam znowu esbecji - zaperzył się Grodzki. - Jeszcze parę lat temu, za jedynego sprawiedliwego ministra, to przestępcy bali się policjantów, a nie my ich - zacisnął zęby.
– Rysiu! – warknął Kleemann. – Polityki w tym pokoju nie uprawiamy.
– A maryskę, jak poseł od wibratora? – zaciekawił się Sokół.
– Śmiech na sali – skrzywił się Kleemann. – Facet jest poważny? Najpierw zapowiada, że zapali skręta w sejmie, | gdy go straszą prokuraturą, to kończy na kadzidełku. Dupa wołowa, nie poseł.
– Osioł – Grodzki wtrącił swoje trzy grosze.
Sokół poczuł pragnienie, bez słowa ruszył więc do zlewu, aby nalać wody do czajnika i zalać herbatę. Od razu sięgnął po szklankę, ale ta aż lepiła się od brudu.
– W szafce są czyste – Grodzki pospieszył z pomocą.
Sokół otworzył drzwiczki. „Czyste” w mniemaniu policjantów oznaczało najwyraźniej szklanki oblepione brudem tylko do połowy. Optymiści!
– Do podstawówki chodziliście? – spytał Sokół, szukając wzrokiem płynu do mycia naczyń.

Grodzki potakująco kiwnął głową.

– Zajęcia praktyczno- techniczne mieliście?

Kolejne potaknięcie komisarza.

– A mycia szklanek nikt was nie nauczył... – Sokół westchnął głęboko. – Sprzedajcie mi coś związanego z receptowym mordercą - błyskawicznie zmienił temat. - To ja też wam coś sprzedam.

– A co ty możesz wiedzieć? – zdziwił się Kleemann.

– Dużo - odciął się Sokół. - Więcej niż byś się spodziewał.

– Przecież już nie pracujesz w „Głosie” – wtrącił Grodzki. – Chyba, że coś się zmieniło od naszego ostatniego spotkania?

– Na zachodzie bez zmian – odpowiedział natychmiast Sokół. - Teraz jestem wolnym strzelcem, piszę tekst dla tego tygodnika - z tylnej kieszeni spodni wyjął gazetę zwiniętą w rulon.

– Jestem pod wrażeniem – Grodzki zagwizdał z uznaniem.

– No to mówcie – Sokół konfidencjonalnie ściszył głos.

– Nic nie powiem! - burknął Kleemann. - Tak będę leżał!

Grodzki milczał.

– Chłopaki... – Sokół zmarszczył brwi, myśląc o czymś intensywnie. - Więc mówicie, że wojewódzka jutro będzie kroić receptowego mordercę... A pewni jesteście?

– Jasne, że wojewódzka, bo nie my - odrzekł kwaśno Grodzki.

– Nie o to pytam - Sokół spojrzał na policjantów badawczo. – Czy wasi koledzy z wojewódzkiej będą kroić tego mordercę czasem aby nie we Wschowie?

Kleemann i Grodzki nic nie odpowiedzieli. Nie musieli, Sokół czytał z ich twarzy jak z otwartej książki.

– No – Sokół rzekł z satysfakcją. – To niech kroją, nie przejmujcie się.

– Awans przeszedł nam koło nosa, komendant obrobił nam dupę tak, że jeszcze mnie boli, a ja mam się nie przejmować? – Kleemann nie krył rozgoryczenia.

– Jak ci mówię, że masz się nie przejmować, to masz się nie przejmować. – Sokół zaprezentował uśmiech szeroki jak największe zakola Odry.

Obława

Policyjne samochody znajdowały się na ulicy Obrońców Warszawy, gdy funkcjonariuszom ukazał się piękny widok wschowskich murów obronnych, jednak ich wzrok szybko przyciągnęły górujące nad drzewami i dachami domów strzeliste wieże dwóch kościołów: świętego Józefa Oblubieńca oraz fara świętego

Stanisława Biskupa Męczennika. Nie mieli jednak czasu ani ochoty na podziwianie zabytków, za minutę mieli być u celu.

Kierowca pierwszego samochodu wjechał na małe rondo, objechał je całe, po czym skręcił w prawo, by Ratuszową dojechać na rynek, druga ekipa dostała się tam Łazienną, jadąc pod prąd.

Auta stanęły naprzeciwko południowo- zachodniej elewacji ratusza, po czym z obu sprawnie wyskoczyli antyterrorysty w pełnym oprzyrządowaniu. Dowódca akcji wskazał palcem okno nad apteką, która mieściła się w dawnej siedzibie miejskiej biblioteki.

Dwie minuty później antyterrorysty, przy huku wystrzałów z broni ostrej - nie bawili się ani otwieraniem zamków wytrychami, ani używaniem tarana — weszli do środka. Jedna grupa wpadła od razu do kuchni, wrzeszcząc: „Policja! Na ziemię!”, a w tym czasie dwie pozostałe zajęły się zabezpieczeniem sypialni i pokoju dziennego. W tym ostatnim mało nie doszło do tragedii, bo na krzyki policjantów kilkuletnie dziecko zareagowało tak, jak nikt się nie spodziewał: ruszyło w stronę drzwi balkonowych. Spotkało się to z instynktowną reakcją jednego z policjantów, który nacisnął spust swojego karabinu, na szczęście jednak drugi funkcjonariusz zdążył podbić mu broń.

Widząc to, dowódca akcji otarł z nosa niewidoczną kroplę potu.

— Gdzie jest obiekt? — rzucił pytanie do mikrofonu wystającego spod kominiarki.

— W kuchni, zabezpieczony! — padło w słuchawkach wszystkich antyterrorystów.

Dowódca skierował się do kuchni, a gdy tam wszedł, stanął jak rażony piorunem.

— Co panowie tutaj robią? — Ton głosu właściciela apteki był spokojny, biorąc pod uwagę, że jego małżonkę do kafelków na podłodze przyciskało kolano stukilogramowego policjanta, do tego trzymającego w rękach długą broń.

Dowódca akcji spojrział na niego, czując pot zalewający plecy.

— Zadałem pytanie — właściciel apteki nie podniósł głosu ani o ton. — Gdzie są moje dzieci?

— W tamtym pokoju. — Dowódca bezwiednie wskazał palcem na pokój dzienny. - Nic im nie jest. - Ani myślał zająknąć się o sytuacji sprzed chwili, miał bowiem wystarczająco dużo problemów na głowie, a ten największy właśnie przygiął go ciężarem do samej ziemi.

— Po co to wszystko? — pytał dalej właściciel apteki, wyciągając palec wskazujący lewej dłoni w kierunku małżonki.

— Tutaj mogła być gdzieś schowana broń... - próbował tłumaczyć.

– Pancerfaust w zmywarce? – kpił mężczyzna. – A może wóz bojowy za lodówką?

– Takie mamy procedury – dowódca akcji dalej brnął w ślepy zaułek, nie mogąc przy tym oderwać wzroku od kikuta prawej ręki, kończącego się tuż przed miejscem, w którym kiedyś był łokieć. – Puść panią...

– Co panowie tutaj robią? – Gospodarz powtórzył pytanie, pomagając żonie wstać z podłogi.

– Chyba zaszła pomyłka... – wyjąkał dowódca akcji.

– Jaja sobie robisz? – Grodzki nie mógł uwierzyć w opowieść Sokoła.

– A wyglądam? – Sokół skontrował błyskawicznie.

– Wy się tu śmiejecie, a sobie pomyślcie o biednych kolegach: jutro rano będą się wpatrywać w swojego głównego podejrzanego, który nie ma prawej ręki. Tej samej, z której zastrzelono ministra i dyrektora.

– To się już dzieje. – Grodzki nie mógł powstrzymać śmiechu. – Skłamaliśmy, że go będą kroić rano...

– Koniec gadania o pierdołach - Kleemann podjął decyzję w ułamku sekundy. – Sprawdzamy Euzebiak Stanisławę.

– A kto to jest? – spytał Sokół.

– W szystkiego dowiesz się w drodze – uciał Kleemann.

Mariusz Klin

Gdy tylko Kleemann zameldował komendantowi Rubikowi, że chcą jechać do Włocławka, ten rozkazał im lecieć policyjnym śmigłowcem. Dzięki temu na miejscu byli jeszcze przed zapadnięciem zmroku. Więcej czasu niż lot z Zielonej Góry zajęło im namierzenie prokuratora prowadzącego sprawę Stanisławy Euzebiak. Grodzki zaczął się użalać nad niedolą policjantów, którymi gardzą nawet podrzędni prokuratorzy. Kiedy już się z nim spotkali, a ten profesjonalnie przedstawił sprawę, komisarz zmienił zdanie.

Podejrzany nazywał się Mariusz Klin, prowadził sieć kilkunastu aptek na terenie dawnego województwa włocławskiego. Ostatnia kontrola NFZ wykazała błędy przy rozliczaniu recept, po czym Klinowi nałożono horrendalną karę dwustu siedemdziesięciu ośmiu tysięcy złotych. Jakby tego było mało, 3 stycznia Klin osobiście odmówił wydania leku Euzebiak Stanisławie, lat 87. Kobieta zjawiała się tuż po 13.00, akurat w trakcie tej godziny, która była czasem protestu wielu aptek w całym kraju. Mężczyzna twierdził, że staruszka była schorowana, mówiła niewyraźnie i nie zrozumiał, że potrzebowała leków przeciwwakrzepowych.

Zapewniał, że gdyby nie to, wydałby jej lekarstwa bez względu na strajk.

Babinka nie awanturowała się, tylko postanowiła godzinę poczekać. W tym czasie poszła na zakupy na pobliski targ, tam straciła przytomność i już jej nie odzyskała. Sekcja zwłok wykazała zakrzep, który dotarł do mózgu. Zgodnie z kalendarzem znalezionym w domu denatki ustalono, że kolejną dawkę leku przeciwzakrzepowego powinna przyjąć o 12.30. Znaleziono też puste pudełko, a w torbie przy zwłokach wypisaną receptę. Lekarz rodzinny zeznał, że wypisał ją tuż po 12.00, nakazując natychmiastowy zakup i przyjęcie dawki leku.

— Wystarczy — zawyrokował Kleemann. — Wobec podejrzanego zastosowano jakieś środki zapobiegawcze?

— Żadnych — odparł prokurator. — Nie było takiej potrzeby.

— Kojarzy pan, w której aptece może się teraz znajdować?

— Chwileczkę. — Prawnik sięgnął do akt. — Siedziba firmy jest tutaj — stuknął palcem w mapę miasta wiszącą na ścianie. — Pięć minut stąd.

— Zwijamy go! — Kleemann sięgnął po telefon, by powiadomić łącznika z lokalną policją i kurtuazyjnie poprosić o wsparcie.

— Słucham? — zdziwił się prokurator.

— Mamy powody przypuszczać, że Mariusz Klin jest receptowym mordercą — wyjaśnił usłużnie Grodzki.

Prokurator zbladł.

Sokołowi kazali czekać za rogiem budynku, prokuratora nie udało im się przekonać, uparł się, że pójdzie z nimi.

— Nie czekacie na posiłki? — spytał Sokół kąśliwie.

— Ptaszek mógłby nam w tym czasie wyfrunąć z gniazdka — obrazował Grodzki.

- Koniec dyskusji, idziemy! - ponaglił Kleemann.

Minutę później weszli do apteki, osiem minut przed zamknięciem. W środku nie było nikogo, nie licząc jednej farmaceutki i Klina, którego prokurator rozpoznał od razu.

- O, pan prokurator. — Klin udał, że się uśmiecha.

— A panowie to pewnie z policji?

- Aż tak to widać? — Kleemann też próbował się uśmiechnąć, ale z równie mizernym skutkiem, skrzywił się tylko tak, jakby pomarańcza okazała się grejpfrutem, a on, nieopatrznie, włożył cały owoc do ust i nie miał już odwrotu.

- Spodziewałem się panów — rzucił sucho Klin. - Pani Zosiu, pani zamknie drzwi na klucz i powiesi kartkę, że jest nieczynne - polecił pracownicy. — Może już pani iść do domu.

- Kasa jeszcze nierozliczona... — zaprotestowała kobieta.

- Później się tym zajmę – uspokoił ją.

Pani Zosia otworzyła drzwi ukryte w długiej ladzie, wykonała polecenie właściciela apteki, po czym wróciła tą samą drogą, zamykając za sobą drzwiczki, a chwilę później zniknęła w długim korytarzu.

- Nadkomisarz Kleemann z Wydziału Kryminalnego Komendy Miejskiej Policji w Zielonej Górze – Kleemann machnął legitymacją z daleka, jakby z tej odległości można było cokolwiek przeczytać.

- Komisarz Ryszard Grodzki, ta sama jednostka. - Grodzkiemu nie chciało się nawet sięgnąć do kieszeni.

– Prokuratora Wojtasa pan zna... .

- Skoro się pan nas spodziewał, to pan wie, w jakiej sprawie przyszliśmy. – Kleemann wpatrywał się badawczo w mężczyznę, rejestrując jego reakcje.

– Wiem, ale chyba powinien pan być bardziej oficjalny.

– Klin nerwowo przygryzł wargę.

– Nadkomisarz Kleemann woli rozmowy mniej oficjalne – rzekł Grodzki, nie patrząc ani na farmaceutę, ani na kolegę, ani na prokuratora, przyglądał się za to cenom preparatów wspomagających męskość, udając przy tym, że interesują go odżywki do włosów.

– Ta kobieta nie była niczemu winna, rozumie pan?

– rzekł nagle Klin. Wbił spojrzenie w Kleemanna niczym świder wgrzający się w ziemię, w której jego operator spodziewa się znaleźć wodę, ropę lub cenny gaz. - Przyszła do apteki...

– głos zaczął mu się łamać. - Przyszła do mnie, jak setki innych klientów, po lekarstwa. A ja odesłałem ją z kwitkiem!

– Przecież w nagłych przypadkach farmaceuci realizowali recepty – wtrącił nieśmiało Grodzki.

– Ale to była staruszka, która nie potrafiła skleić składnie zdania – odpowiedział natychmiast Klin. - Nie zrozumiałem, o co jej chodzi... Gdybym wziął od niej receptę i spojrzał na druk... – zaczął szlochać.

– Dlaczego pan tego nie zrobił? – Kleemann spytał bardziej jako człowiek niż jako policjant.

– Bo dzień wcześniej odebrałem bardzo nieprzyjemny telefon z okręgowej rady. – Klin otarł dłońmi łzy ciekące po policzkach. - Usłyszałem w słuchawce, że albo podporządkuję się woli większości i będę ściśle przestrzegać zasad strajku, albo to się źle skończy dla mnie i dla całej mojej sieci aptek.

– Co panu mogli zrobić? - Grodzki zbliżał się do drzwiczek w ladzie.

– Co mogli mi zrobić? - Klin odpowiedział pytaniem.

- Zacytuję panu jeden z artykułów ustawy o radach aptekarskich: „Jeżeli okręgowa rada aptekarska stwierdzi, że istnieje uzasadnione podejrzenie niezdolności farmaceuty do wykonywania zawodu farmaceuty lub wykonywania ściśle określonych czynności ze względu na stan zdrowia, powołuje komisję złożoną z lekarzy specjalistów z odpowiednich dziedzin medycyny, która wydaje orzeczenie o stanie zdrowia farmaceuty”. Już pan rozumie, co mogli mi zrobić?

— Mogli pana załatwić na cacy — Grodzki dopowiedział niedopowiedziane.

— Ale nie odmówiłby pan zrealizowania recepty tej kobiecie, gdyby nie fakt, że nie potrafiła poinformować o pilności sprawy? — Kleemann zignorował mało profesjonalną uwagę komisarza.

— Proszę pana, gdyby ta babinka miała tyle czelności, ile ma co druga młódka wyklócająca się w opiece społecznej o to, co się jej zgodnie z konstytucją należy, wziąłbym ten pierdolony papier do ręki, spojrział na niego i bez chwili zwłoki zrealizował.

— Klin wyrzucił z siebie jednym tchem.

— A kobieta by żyła — skomentował Grodzki.

— A kobieta by żyła — powtórzył cicho Klin.

— Pójdzie pan z nami — rzekł Kleemann po dłuższej chwili ciszy.

— Nie — odparł Klin krótko.

— Pójdzie pan z nami, jest pan zatrzymany do wyjaśnienia. - Kleemann zrobił krok naprzód.

— Nie nadaję się do więzienia. - Klin skrzywił usta w smutnym grymasie.

— Trzeba było myśleć o tym wcześniej - skwitował Grodzki, będąc już przy ladzie.

— Pomyślałem. — Klin sięgnął do szuflady, nie zważając na słowny zakaz nadkomisarza.

W tym samym momencie Grodzki przeskoczył przez ladę, od mężczyzny dzieliło go jednak trzy i pół metra.

To w zupełności wystarczyło, aby z szuflady wyciągnąć broń, odbezpieczyć ją, włożyć lufę do ust i pociągnąć za spust.

Wystrzałowi towarzyszył ogromny huk, spotęgowany dodatkowo małą przestrzenią. Słyszając go, Kleemann oczami wyobraźni zobaczył szelmowski uśmiech na twarzy ministra Jonasza Barłóżka, ściągniętej nagle paroksyzmem bólu, a potem brunatną plamę rozlewającą się na niebieskiej koszuli.

Kuzyn

Media błyskawicznie odtrąbiły sukces zielonogórskiej policji, a Kleemann i Grodzki awansowali o jeden stopień.

Sokół, wbrew tradycji (wcale nie nowej świeckiej), która w takich przypadkach – kiedy wszystko było już jasne, a ostatni z puzzli trafiał na właściwe miejsce – kazała drążyć temat i szukać dziury w całym, tym razem odtrąbił sukces razem z kolegami. W myślach sam sobie pogratulował, że w końcu potrafił zagłuszyć głos, który zwykle w takich sytuacjach nie dawał mu spokoju, bo uważał, że rozwiązanie wciskające się w ręce jest podejrzane i należy szukać innych, mniej prawdopodobnych. W końcu tę swoistą osobistą paranoję mógł zignorować. Do Zielonej Góry jednak nie wrócił, został na miejscu, aby zebrać dodatkowe informacje do artykułu.

Pierwszym rozmówcą był sąsiad Mariusza Klina mieszkający dwa domy dalej.

– Tamta babcia?... On się nią przejął? – Mężczyzna zmarszczył brwi tak, że zlały się w jedną. – Przecież Klin to największy kawał skurwiela w tej części Europy. Gdyby mógł, sprzedałby własną matkę. – Zacisnął wymownie usta.

– Nie wierzę w jego nagłe nawrócenie. Tego skurwysyna nie przekonałby sam Bóg, o ile nie zapłaciłby mu wcześniej w ciężkiej gotówce.

Sokół na marginesie zeszytu zanotował: Metamorfozą człowieka, mocno zaakcentować w tekście.

Drugim rozmówcą był szef hurtowni leków, w której Klin zaopatrywał sieć aptek. Wtedy na gładkiej tafli szkła pojawiła się druga, już zdecydowanie wyraźniejsza rysa. Okazało się, że firma Klina miała milionowe długi, bo jego były wspólnik pozaciągał zobowiązania, wybrał pieniądze i konta bankowego i uciekł z kraju.

– U nas Klin miał szlaban na leki. Od trzech miesięcy nie sprzedaliśmy mu nawet blistra paracetamolu – słowa szefa hurtowni leków tłukły się w głowie Sokoła.

Zupełnie przypadkiem, tuż przed odjazdem, Sokół dowiedział się, że zamachowiec miał kuzyna, który nosi dokładnie takie samo imię i nazwisko, Mariusz Klin, i mieszka po drugiej stronie miasta. Nie namyślając się wiele, dziennikarz wziął taksówkę i pojechał tam. Chwilę trwało, zanim udało mu się przekonać kuzyna do rozmowy, ale gdy to się stało, padła propozycja drugiego śniadania przy herbacie i dzikiej róży i placku drożdżowym. Takich ofert Sokół nigdy nie odrzucał.

– Panie, ile ja z tego powodu mam teraz problemów!

– Mariusz Klin, kuzyn, niemal rwał włosy z głowy. - Wszyscy nas mylą...

– Niech pan coś o nim opowie... - Sokół próbował skierować myśli kuzyna na

inne tory.

– W sumie, to mu współczuję - rzekł po chwili. - Nie dość, że firma, na którą jego rodzina harowała przez całe życie, praktycznie już padła, to jeszcze ten rak...

– Rak? – podchwycił momentalnie.

– Miał niechirurgiczną postać raka trzustki. Pół roku temu lekarze dali mu trzy miesiące życia. Nawet wykupił polisę dla rodziny na wypadek swojej śmierci...

– Ale nic nie dostaną, bo strzelił sobie w głowę...

– I tu pan się myli. – Mariusz Klin, kuzyn, zamieszał łyżeczką w szklance herbaty, starając się zamoczyć ostatnie dwa ziarenka cukru, z powodzeniem. – Wykupił taką polisę, co to nie wyklucza samobójstwa. Wiem, bo mi się chwalił kilka tygodni temu.

Sokół zanotował to skrzętnie w notesie, po czym wręczył Mariuszowi Klinowi, kuzynowi, wizytówkę: - Gdyby się panu coś przypomniało, proszę o telefon.

- Ja też mam coś takiego. - Uśmiechnął się, wziął wizytówkę od Sokola, podał mu swoją.

– Mariusz Klin - przeczytał. - Wygląda niemal identycznie jak wizytówka pańskiego kuzyna, którą znaleźliśmy w aptece.

– Bo jest – zaśmiał się gardłowo. – To był jego pomysł, żebyśmy sobie zrobili takie same wizytówki. Zresztą, nawet zapłacił za moje.

– Musiał mieć specyficzne poczucie humoru..

– Jeśli to, co miał, można w ogóle określić mianem poczucia humoru, to tak – Mariusz Klin, kuzyn, zamyślił się nagle. – Najczęściej ta zbieżność była powodem śmiesznych sytuacji, ale przecież to nie nasza wina, że rodzice tak nam dali na imię...

– Śmieszne sytuacje? – Sokola nagle coś tknęło. – A w ostatnim czasie jakies takie się zdarzyły?

– No... – Gospodarz zaczął dłubać palcem w uchu.

– Śmieszna i dziwna zarazem...

– Niech mnie pan nie trzyma w niepewności!

– To było dzień po tym, kiedy Mariusz się zastrzelił...

- zawiesił na chwilę głos. – Akurat dawałem wywiad do naszej telewizji, tej, której redakcja mieści się na wylocie z rynku, wie pan, która?

Sokół potaknął, chociaż nie miał pojęcia, o jakiej telewizji facet mówi.

– Więc dawałem im wywiad, mówiłem o tym, jak żeśmy razem z kuzynem dorastali, jak nas babcia wychowywała, takie tam wspominki z rodzinnej przeszłości... – kuzyn znów zrobił pauzę.

Sokół słuchał cierpliwie, chociaż rozmówca mówił nie na temat, on wiedział, że

należy pozwolić mu się wygadać, bo przerwanie może spowodować, że nagle zamknie się w sobie.

– I gdy już kończyliśmy, zajechał taki wypasiony wóz terenowy, taki, co to sobie kupują panowie pod pięćdziesiątkę, którzy już tego... nie mogą... Jeśli wie pan, co mam.

Sokół wiedział.

– Począł, aż telewizja się spakowała i odjechała, i gdy już byłem przed drzwiami, podszedł do mnie i spytał się o imię i nazwisko - Mariusz Klin westchnął głęboko. - Kiedy się przedstawiłem, wręczył mi kopertę.

– Co w niej było?! – Sokół nie wytrzymał nerwowo.

– Tylko jakiś numer, ale jaki, to pojęcia nie mam.

– Ma pan jeszcze kopertę i kartkę z numerem?

– Gdzieś powinna być... - Wstał z krzesła. - Pan chwilę poczeka.

Zlecenie

Od razu po rozmowie z Mariuszem Klinem, kuzynem, Sokół zamierzał zadzwonić do Kleemanna, ale najpierw postanowił odwiedzić redakcję lokalnej kablówki. Przedstawił się, chwilę porozmawiał o wszystkim i o niczym, po czym przeszedł do sedna. Redaktor naczelna, bo z nią bezpośrednio się spotkał, chętnie udostępniła nagranie, pomogła nawet wyostrzyć kadr na tyle, aby spisać numer rejestracyjny auta, które podjechało pod dom kuzyna. Wyposażony w takie rewelacje, Sokół mógł wykonać telefon.

– Jest sprawa – rzekł cicho Sokół, sprawdzając na rozkładzie godzinę odjazdu najbliższego pociągu w kierunku Poznania.

– Znam ten ton – wycedził Kleemann. - On mi się bardzo nie podoba.

Sokół odpowiedział milczeniem.

– Mów – ponaglił Kleemann po dłuższej chwili.

– Zostałeś podinspektorem chyba nieco na wyrost...

– A ja? - wtrącił się Grodzki, trzymając w dłoni słuchawkę drugiego aparatu.

– Ty, Rysiu, dostałeś awans jeszcze bardziej na wyrost.

- Sokół nie bawił się w dyplomację. – Sprawdźcie dwa numery - podyktował ciągi liczb. - Będę w Zielonej za pięć godzin.

Pociąg InterRegio dojeżdżał do Kutna, gdy zabręczała komórka. Dzwonił Grodzki, by przekazać, że wypasione auto było zarejestrowane na mężczyznę wykonującego czarną robotę dla znanej warszawskiej kancelarii prawniczej Ośko, Kardel, Madzianowski, Banach, Wyciszkievicz, Spółko i Wspólnicy. Co ciekawe,

owa kancelaria, oprócz szeregu spraw znanych korporacji, prowadziła też sprawy pewnego stowarzyszenia powiązanego z firmami farmaceutycznymi działającymi na terenie Polski. Grodzki nie byłby sobą, gdyby nie pokusił się o ironiczną uwagę, że w nazwie kancelarii brakowało jeszcze nazwisk pozostałych szesnastu pracowników.

Od razu po rozmowie z Grodzkim, Sokół zadzwonił do byłego kolegi z redakcji, który niegdyś, przy czwartym bodajże piwie, wspomniał, że w dużej firmie farmaceutycznej ma wysoko postawionego znajomego, który kiedyś tam, przy dużej wódce, skarżył mu się, że dopadają go wyrzuty sumienia związane z tym, iż jego pracodawca kroi horrendalne pieniądze na ciężko chorych.

Znajomy chciał rozmawiać. Mieszkał w Toruniu, mógł się spotkać natychmiast.

Sokół wysiadł więc w Poznaniu, by przesiąść się na pociąg do grodu Kopernika.

Tuż przed Toruniem komórka ponownie o sobie przypomniła. Tym razem dzwonił Kleemann. Do przekazania miał wstrząsającą informację.

Spotkali się w przytulnej naleśnikarni na toruńskim rynku, zajęli miejsce w rogu, dzięki czemu odsunęli się nieco od wszechobecnego w lokalu hałasu. Ceny może i do najniższych nie należały, za to do wyboru było kilkadziesiąt potraw.

– Zaczniemy od tego, że tej rozmowy nie było, a my się nie znamy – mężczyzna starannie otarł usta serwetką.

– Zaczyna się obiecująco – odparł Sokół z pełnymi ustami, zamówił bowiem dwa naleśniki więcej, a i tempo miał zdecydowanie wolniejsze.

– Mariusz Klin miał chody w pewnej dużej firmie farmaceutycznej. – Mężczyzna napisał na serwetce nazwę Cataliis Pharmaceuticals Poland. – Zawdzięczał je temu, że zamiast polecać tańsze specyfiki konkurencji tysiącom klientów wciskał drogie badziewie z CFP. Kiedy lekarze wykryli u niego raka, CFP udostępniła mu za darmo niebotycznie drogą terapię lekami będącymi dopiero w fazie badań laboratoryjnych, nawet jeszcze nie klinicznych. Nie udało się zwalczyć raka, ale Klin i tak czuł wobec firmy wdzięczność.

– Aż mnie korci, żeby pana spytać, skąd ta wiedza...

– Niech pan powstrzyma rumaka - odciął się natychmiast rozmówca Sokoła.

– Podzielę się z panem pewną informacją, a pan mi powie, co o tym wszystkim myśli...

– Wal pan - mężczyzna obejrzał się nerwowo za siebie, na widok kelnerki uśmiechnął się blado.

Sokół złożył elementy układanki: przypomniał o powiązaniach Mariusza Klina z firmą farmaceutyczną, o długach jego sieci aptek będącej praktycznie na krawędzi bankructwa, o śmiertelnej chorobie. Kiedy mężczyźni wydawało się, że

dziennikarz już kończy, ten podał jeszcze jedną informację: w szwajcarskim banku na koncie należącym do Mariusza Klina zdeponowano pięć milionów euro, a dostęp do konta miały również żona i córka zmarłego.

– Pan chwilę poczeka – mężczyzna wstał, skierował się do toalety, wrócił dopiero po kwadransie.

– Coś czuję, że dzisiejszy dzień będzie pełen niespodzianek.

– Sokół przywitał go wyczekującym spojrzeniem.

– Nie powiem na głos tego, co by pan chciał usłyszeć – zaczął. – Sam pan to zrobi. Ja mogę powiedzieć tylko tyle, że w ostatnich tygodniach z funduszy reprezentacyjnych największych polskich firm farmaceutycznych wypłynęło w sumie ponad pięć milionów euro. Resztę pan sobie sam dopowie. Zegnam. – Nie wyciągnął nawet ręki, wyszedł z lokalu.

– Reszta jest milczeniem – rzucił filozoficznie Sokół, patrząc na znikające plecy rozmówcy. – Reszta jest milczeniem.

29 lutego

Teoria przedstawiona przez Sokoła spowodowała, że w gabinecie komendanta Rubika zrobiło się zimno jak w Suwałkach w środku stycznia, i to mimo obecności komendanta wojewódzkiego Rajmunda Piaskowskiego.

Hipoteza była prosta: Mariuszowi Klinowi, gdy już było wiadomo, że umrze w ciągu najbliższych tygodni, zaproponowano zabójstwo ministra zdrowia. Zrobiły to te same firmy farmaceutyczne, których zyski minister ściął niczym drwale drzewa podczas wyřębu. Firmy zrobiły zbiórkę, każda z funduszu reprezentacyjnego przelała sporą kwotę na konto stowarzyszenia, a to pchnęło kasę dalej, do Szwajcarii. Dzięki niedawnej kontroli NFZ i horrendalnie wysokiej karze, która postawiła jego sieć na krawędzi bankructwa, Klin był idealnym kandydatem: nikt rozsądny nie powiązałby go z firmami farmaceutycznymi, na pierwszy rzut oka dokonał zwykłej, przeciętnej zemsty. No i jeszcze na dokładkę dochodziła Euzebiak Stanisława, lat 87...

– Ale dlaczego numer konta dostarczyli dopiero po samobójstwie? – Grodzki zadał na głos pytanie, które nurtowało wszystkich zgromadzonych.

– Bo mamy 2012 rok. – Umysł Sokoła wyrabiał nadgodziny.

– No tak, mamy 2012 rok. – Grodzki zaklaskał kpiąco trzy razy. – W Polsce odbędą się Mistrzostwa Europy w piłce nożnej. To wszystko wyjaśnia!

– Mów! – Kleemann nawet nie spojrzał na nadkomisarza, wpatrywał się badawczo w Sokoła.

– Bieżący rok jest przestępny i luty ma dwadzieścia dziewięć dni – zaczął tłumaczyć Sokół. - Mariusz Klin ma... miał urodziny 29 lutego. Może był przesądny i liczył na to, że w takim dniu łatwiej przyjdzie mu pociągnąć za spust?

– Dostałby kartkę z numerem konta, przekazał żonie, pożegnał się z nią, po czym strzeliłby sobie w łeb? - podłapał Kleemann. - A my popsuliśmy mu szyki i facet musiał samobójstwo popełnić dzień wcześniej...

– Ale to jest chore, żeby sobie strzelać w łeb w dniu urodzin! – zaprotestował Grodzki.

– Dokładnie! – potwierdził Sokół. – Tym samym Klin idealnie wpisałby się w profil szaleńca, nieprawdaż?

– Przecież mogli wysłać numer konta pocztą albo mailem. – Grodzki wciąż nie był przekonany.

– Twój awans zdecydowanie był przedwczesny – spointował Sokół kwaśno. – Ślady, Rysiu! Zostawiliby po sobie ślady! A kopertę i kartkę z numerem konta żona Mariusza Klina miała spalić natychmiast po zapamiętaniu ciągu cyferek.

– Tylko że koperta trafiła nie do tego Mariusza Klina, co trzeba. – Kleemann machinalnie oblizał usta. – I w ten sposób zostawili ślad, dzięki któremu ich udupimy. – Oblicze podinspektora rozjaśnił szeroki uśmiech.

– Ale nie powiążemy z tym żadnej konkretnej firmy farmaceutycznej – zauważył komendant wojewódzki Rajmund Piaskowski.

– Nie – przyznał Sokół bez chwili wahania. – Ale możemy podzielić się swoimi mocno uzasadnionymi podejrzeniami – zrobił krótką pauzę – i to wystarczy.

– Wystarczy?

– Po co stowarzyszenie reprezentujące interesy firm farmaceutycznych zapłaciło pięć milionów euro mordercy ministra? – tłumaczył Sokół. – Tego samego ministra, który zmienił mechanizmy refundacji leków do tego stopnia, że pozbawił potentatów farmaceutycznych jeszcze większych milionów? Wystarczy tych kilka retorycznych pytań zadać na sali sądowej, a opinia publiczna sama sobie udzieli odpowiedzi...

Epilog

Dwa dni później

– ...dzięki Andrzejowi Sokołowi, który kolejny raz przyszedł w sukurs lubuskiej policji. - Komendant wojewódzki policji, Rajmund Piaskowski, wczuł się w rolę tak bardzo, że był bliski płaczu. – W imieniu komendanta głównego na pańskie ręce składam wyrazy podziękowania.

- Wręczył Sokołowi pamiątkowy dyplom. - Jest jednak pewna sprawa... – chrząknął znacząco.

Sokół doskonale wiedział, co gryzie komendanta, ale z wielką przyjemnością grał przysłowiowego „głupa”.

– Chcielibyśmy nieco usystematyzować oficjalną wersję wydarzeń... – Piaskowski zaczął się jękać. – Powiedzmy tak: mimo samobójczej śmierci zamachowca, lubuska policja nadal badała sprawę, a śledztwo zamknięto tylko po to, aby nie płoszyć zleceniodawców... - zrobił pauzę.

– Czeka pan na moją zgodę? - spytał Sokół, uśmiechając się pod nosem. – Zgodzę się, ale nie ma nic za darmo.

Piaskowski spojrzał na niego pytająco.

– Jeżeli kiedyś będę potrzebował informacji, to je dostanę od ręki. – Sokół wbił spojrzenie w komendanta.

– Nigdy nie ma nic za darmo. – Piaskowski wyszczerzył zęby. – Umowa stoi.

Od autora:

Wszystkie wydarzenia opisane w tym opowiadaniu są co prawda fikcyjne, ale w każdej chwili mogą się wydarzyć...

Romuald Pawlak

WAKACJUSZ

Popatrzyła na mnie i zacisnęła dłonie charakterystycznym dla siebie ruchem, jakby kogoś dusiła albo zgniatała w dłoni pustą skorupę małża. Jej wąska, nieruchoma twarz nie wyrażała niczego, jedynie z oczu, powiększonych pod wielkimi okularami, wzywał przenikliwy chłód. Intuicja podpowiadała mi, że coś jest nie tak. Znałem Morlińską, wiedziałem, że w jej własnym mniemaniu taka postawa ma nadać jej słowom odpowiedni ciężar gatunkowy.

— Już wynajęłam siódemkę.

Spróbujcie to sobie wyobrazić: stoję tam jak dureń, wciąż z ważącym ze dwadzieścia pięć kilo plecakiem na ramionach, bo jeśli go zdejmę, ciężko będzie zarzucić z powrotem na plecy. Przy nodze poniewiera się podróżny jamnik w pozycji „waruj”. Morlińska, bezpiecznie ukryta za obronnym murem recepcyjnej lady, poprawia znużonym gestem okulary i dodaje:

— Będzie pan musiał poszukać czegoś innego, ale pogoda słaba, wolnych miejsc nie brakuje.

— A ósemka?

Z trudem powstrzymałem wściekły odruch kopnięcia leżącej na ziemi torby. Od kilku lat razem z Hanką rezerwowaliśmy zawsze ten sam pokój, siódemkę, ze względu na okna wychodzące na port.

„Rybitwa” była niewielkim, przerobionym z dużej willi pensjonatem, oficjalnie położonym na głównej ulicy miasta czyli Mickiewicza. Aby jednak do niego dotrzeć, trzeba było wejść w podwórko, gdyż od ulicy zasłaniał go jeszcze jeden budynek. Dziesięć pokoi, w których dołożono starań, żeby zamaskować ich pierwotny charakter — domu dla dużej rodziny. Tylko siódemka i ósemka, położone naprzeciwko siebie w korytarzu na piętrze, były dwójkami, reszta to trójki i czwórki, na które nie było mnie stać. Tym bardziej, kiedy miałem mieszkać sam.

— Wszystko zajęte — chrząknęła Morlińska, szurając jakimś papierem na ladzie.
- Wie pan, obłożenie musi być pełne, a pan...

Gniewnie zacisnąłem zęby, wyczuwając nieco ukruszoną plombę w górnej lewej trójce. Kiedy w kwietniu ustaliliśmy z Hanką, że trzeba skorzystać z rezerwacji i to ja mam jechać, uprzedziłem gospodynię telefonicznie, że pokój biorę, ale przyjadę

sam. Spytała, czy Hance coś się stało, a ja bezmyślnie wydusiłem, że niedawno się rozstaliśmy. To teraz mam za swoje. W pracy umiałem trzymać jęzor za zębami, ale odejście Hanki to świeża rana, nie powstrzymałem się. Morlińska spisała mnie na straty, po prostu. Albo poczuła solidarność jajników. Cóż, jeszcze jedna porażka.

- Wie pani, że to nie w porządku?

Milczała. Starzy ludzie umieją to robić w taki sposób, że człowiekowi wydaje się, iż mogliby skamienieć, zanim wyduszą z siebie pierwsze słowo.

- Kwater pełno - mruknęła wreszcie i, tracąc zainteresowanie rozmową, czujnie zerknęła przez okno na ogródek z kolorowym parasolem i kilkoma plastikowymi krzesłami.

Nie sposób było odmówić jej słuszności. Czerwiec był deszczowy i chociaż wakacje dopiero się zaczęły, co zwykle oznaczało pierwszą falę wyjazdów i gęsty tłum na ulicach Jastarni, wędrując do pensjonatu, widziałem po drodze wywieszane na płotach tabliczki „Wolne kwatery”. Coś znajdę, nie w tym rzecz. Po prostu człowiek przyzwyczaja się do miejsc, do ludzi, nawet tak żółzowatych jak Morlińska, która zawsze wydawała mi się trochę zbyt wścibska i za bardzo zachłanna na pieniądze. Potrzebowałem poczucia bezpieczeństwa, niepotrzebne mi takie zmiany.

A może tylko się łudziłem?

Bez słowa podniosłem torbę i korytarzykiem ruszyłem w stronę wyjścia.

Tuż przed szklanymi drzwiami zbiegały z piętra drewniane kręcone schody. Usłyszałem tupot i niemal zderzyłem się z Raubem.

- Nooo, grabuła! — ucieszył się. Jego wielka dłoń otoczyła moją jak wielki zapaśnik drugiego, drobniejszego. Drugą ręką potarł lekko szpakowate, krótko obcięte włosy. - Już myśleliśmy, że nie przyjedziesz! A Hankę gdzie zgubiłeś?

Raub był wakacyjnym znajomym. Ten sam pensjonat, te same terminy. Jako jeden z niewielu wiedział, kim jestem, ale to dlatego, że staliśmy po tej samej stronie, choć działaliśmy w innych, jakby to rzecz, wymiarach.

- W życiu, w życiu zgubiłem. - Oparłem się o ścianę, bo plecak ciążył mi coraz bardziej. - Przyjechałem sam.

A Morlińska wystawiła mnie do wiatru, muszę sobie znaleźć inną kwaterę.

Nic przejął się moimi kłopotami.

— E tam, pokój znajdziesz, a na piwo możemy się umówić gdziekolwiek. - Klepnął mnie w ramię. — Namierzmy się, nara. — I ruszył do recepcji, skąd, słysząc naszą rozmowę, wyjrzała gospodyni.

W głębi podwórka zaczęła mnie Kreja, sąsiadka Morlińskiej, chyba jeszcze starsza od niej. Drobną, jakby zasuszona staruszka, tylko oczy błyskały żywo.

Często brałem od niej wędzone ryby, bo jej syn wypływał w morze i co złowił, sprzedawał potem turystom.

– To jednak pan przyjechał, panie Adamie? – zaczęła.

– Bo Staśka mówiła, że może nie. A na długo?

– Na kilka dni, ale tu nie ma miejsca, będę nocować gdzie indziej – wyjaśniłem, w duchu przeklinając Morlińską. No jasne, od razu musiała zacząć gadać, że skoro się rozwodzę, to pewno jednak nie przyjadę. – Rybki pani dalej sprzedaje?

Pokiwała głową.

– To zajrzę. Fląderki pani robi popisowe. – Zostawiwszy ją z uśmiechem zadowolenia, ruszyłem na poszukiwanie kwatery.

Jastarnia to specyficzne miasto. Tłumy turystów potrafiły zakorkować deptak, okolice portów, środek miasta, o plażach nie wspominając – ale wyczuwalne też było wrażenie, że tu się żyje nie tylko od święta, w wakacje. Lubiłem takie pomieszanie letniego luzu ze świadomością, że kiedy turyści odejdą i nadciągną jesienne sztormy też trzeba będzie pracować i żyć, że nie da się zamknąć wszystkich bud, zwinąć parasoli - i hibernować przynajmniej do maja, do długiego weekendu. Lubiłem to miasto także za jego przestępstwa, można było w nim liczyć na niemal wszystko, co zawiera w sobie Kodeks Karny. Bez problemu znalazłbym tu pracę dla siebie.

Mickiewicza zatkana była budami po obu stronach. Ryby, cepelia, zabawki dla dzieci i ze względu na pogodę niewielu turystów. Zawahałem się - w którą stronę iść? Może cofnąć się w stronę Kuźnicy? Tam, nieco dalej od centrum, powinno być sporo kwater. Tu, kiedy zrobi się pogoda, będzie jednak zbyt hałaśliwie.

Na razie było pochmurno. Kiedy po całej nocy w pociągu dotarłem rano do Jastarni, deszcz już nie padał, ale kałuże wciąż lśniły. To wyjaśniało, dlaczego wiele kwater stało pustych. Ludzie rezygnowali z rezerwacji, nie chcąc spędzać urlopu nad deszczowym Bałtykiem. Nie dla każdego chłodne i mało słoneczne wybrzeże jest atrakcją. Trzeba być wariatem takim jak ja, żeby bardziej cieszyć się z wichrów czy przelotnego deszczu niż ze słońca zsyłającego z nieba trzydziestostopniowy ukrop. Ja i Hanka uwielbialiśmy to... Moim marzeniem było spędzić jesień nad brzegiem i z jakiejś wydmy obserwować zimowe sztormy.

Ja i Hanka. Nie. Ja bez Hanki. Tamto się skończyło.

Dosyć, za dużo rozczulania się. Poczułem na policzkach wilgoć – ale to tylko znów zaczął padać deszcz. Drobne krople osiadały na twarzy jak płatki sadzy z płonącego domu.

Całkiem niedaleko portu, przytulony do rozstaju dróg, stał mały pensjonat, niewyglądający zbyt atrakcyjnie. Pewno dlatego na płocie wisiał metalowy baner

„Wolne pokoje, tanio”. W środku było w zasadzie tak samo jak w innych małych willach przerobionych na pensjonaty, niebudowanych z myślą o turystach. Kiedyś mieszkała tu duża rodzina teraz sześć pokoi wynajmowano. Tak bardzo przypominał „Rybitwę”, że mogłbym się pomylić, gdyby gospodarzem nie był starszy mężczyzna wyglądający jak rybak, któremu zdrowie nie pozwala już pływać. Jego ogorzała twarz i nieco wyblakłe oczy spoglądały na mnie jak na turystę: bez przesadnego zainteresowania moim życiem. Spisał mnie z dowodu, wziął z góry pieniądze za pierwsze dwie doby, dał klucz i zaprowadził na piętro.

W pokoju, rzuciwszy plecak i walizkę na podłogę, wyciągnąłem się na łożku. Kwatera jak kwatera, i tak nie zamierzałem spędzać tu zbyt wiele czasu w ciągu dnia, to miała być tylko sypialnia. Wyrząłem przez okno.

Widok miałem na kościół rybacki. Gdzieś tam zapewne wciąż stoi drewniany domek szumnie zwany muzeum rybactwa. Nigdy bym go nie zapamiętał, gdyby nie pocałunek pod siecią...

DOSYĆ!

Wyjąłem papierosa, a potem zacząłem go nerwowo obracać w kieszeni. Wreszcie wyszedłem na balkon i spoglądając na miasto, zapaliłem. Wolno wciągając dym, zastanawiałem się, co dalej. Nie chciało mi się spać, jak zawsze sen przyjdzie po obiedzie. Czułem znużenie, irytację świństwem Morlińskiej, jakiś wewnętrzny niesmak. Postanowiłem go splukać, przykryć wrażeniami z wizyty w porcie.

Port. Obejrzałem go i każdej strony, nawet z góry, latając nad Helem awionetką. Widziałem widoki ładniejsze, bardziej urozmaicone, ale ten miał w sobie coś magicznego, przyciągał. Wiele razy stawałem przy kapitanacie i patrzyłem w stronę zatoki. A potem, gdy już nasyciłem oczy tym widokiem, a w nozdrza uderzył zapach smarów, smażonych ryb i glonów – niepowtarzalna słodkawa woń, gdy uszy zalała gama dźwięków tak charakterystycznych dla tego miejsca – odnajdywałem drogę na falochron. I szedłem dalej, niby straceniec, choć niebezpieczeństwo było w istocie pozorne, co najwyżej wylądowałbym u podnóża betonowego wału, pośród glonów, kałuży smarów i nieodłącznych śmieci.

Nikomu nie byłem w stanie wytłumaczyć, co przyciągało mnie nad morze. Ludzie kochali słońce, smażenie się na plaży, niektórzy cały rok tęsknili za konkursami porównawczymi - czy moje bikini opina kształtne ciało ładniej niż sąsiadki z kocyka obok? Czy nasz plażowy namiocik jest ładniejszy, lepszej firmy? Czy naprawdę bawimy się w najmodniejszej knajpie w Jastarni? A może pojechać

do Juraty, bo Joanna z biura pojechała do Grecji. Ale my, kochanie, powiemy, że widzieliśmy w Juracie prezydenta... No, przecież tak mi się wczoraj wydawało...

Miałem to wszystko w nosie. Wolałem wiatr znad morza, światła zatoki w ciemnościach, deszcz, chmury... Mówiłem sobie: „Wszystko się kołysze”, była to moja mantra. Kiedy podążałem falochronem w stronę widocznej kilkadziesiąt metrów dalej żelaznej wieżyczki na końcu, a wiatr spychał mnie z szerokiej na trzydzieści centymetrów ścieżki, to czułem to kołysanie. Kołysało oczywiście nie betonową wstęgą, tylko mną – jak w życiu. Człowiek rzadko idzie całkiem prosto i nic go nie spycha na boki, żadne życiowe wydarzenia, wichry i zawieje.

Dlatego Hanka oddała mi ten wyjazd. Jej nie zależało, zamierzała w sierpniu pojechać do Tunezji.

Teraz stanąłem obok białego budynku kapitanatu i niewygodną ścieżką, obok budy nieomal ukrytej w krzakach, w której jakiś starszy mężczyzna wędził ryby na sprzedaż turystom – zapewne nielegalnie – ruszyłem ku falochronowi. A potem, krok za krokiem, szedłem betonową groblą. Hanka często robiła mi zdjęcia. Potem opatrywała je szyderczymi komentarzami, ale było to zabawne i miło mieć świadka takich wyczynów.

– Hej, panie, tu nie wolno chodzić! – usłyszałem nagle za plecami.

– Pilnuj pan swego interesu! – warknąłem, odwracając się do rybaka, którego minąłem przed chwilą. – Jasne?

Krótką utarczką, jak wymiana pojedynczych strzałów, zepsuła mi humor. Dotarłem do wieżyczki, przywarłem do niej, z jednej strony mając otwartą zatokę, z drugiej - wewnątrz portu zastawione na jednym nabrzeżu jachtami, na drugim – wycieczkowcami różnego rodzaju, a w głębi – kilkoma trawlerami. Kochałem ten widok, jednak dziś mi nie smakował tak, jak zwykle. Do portu wpływał właśnie duży kuter. Nawet nie starałem się go zapamiętać.

Gdy w powrotnej drodze mijałem rybaka, ten milczał. Ja także, choć obrzuciłem go nieuprzejmym spojrzeniem.

Kościół w Jastarni przywoływał piękne wspomnienia. Postanowiłem go odwiedzić, wejść na mały skwer przytulony do jednego z jego boków, na chwilę usiąść na ławce.

Wiatr wciąż niósł drobne krople, plażowicze poznikali, ale sporo ludzi kręciło się po ulicach, tyle że zakutanych w deszczowce czy sztormiaki. Nogi gołe, w klapkach, a powyżej sztormiak – tylko nad Bałtykiem takie obrazki są normalne.

I nagle go zobaczyłem. Mignął mi między dwiema budami. W jednej chłopcy grali na stole w elektronicznego cymbergaja, przy drugiej stała kolejka po lody. Czy to naprawdę on? Jego twarz widziałem tylko przez ułamek sekundy, ale przecież

wcześniej kilka razy spoglądała na mnie ze zdjęć, które miałem w ręku. Nowy, zakamuflowany członek bandy Karkoszki. Mówiło się, że to cyngiel, ale nikt go nigdy za rękę nie złapał, mieliśmy tylko poszlaki.

Odruchowo dotknąłem miejsca, gdzie zwykle nosiłem broń. Ale przecież służbową zdałem w lutym, a prywatnej nigdy nie chciałem, żeby nie kusiła.

Deszcz zaczął padać mocniej. A ja wciąż miałem przed oczyma wyglądającą spod kaptura twarz Opali.

Media kreowały obraz bandytów jako zakapiorów wyglądających nieomal jak neandertalczyki; czoło niskie, twarz wykrzywiona we wręcz komiksowym grymasie, usta wąskie i zacięte, jeśli szyja, to koniecznie „karczycho”, sylwetka ciężarowca albo boksera. Tymczasem ci najgroźniejsi to wcale nie mięśniaki, tylko ludzie na zimno, z wyrachowaniem robiący swoje, niczym się nie różniący od sąsiada czy kuzyna pracującego w sklepie komputerowym. Tacy, którzy po chłodnej kalkulacji wybrali złą stronę. Opala był jednym z nich i właściwie tylko dlatego, że nie udało się zebrać przeciw niemu dowodów, chodził jeszcze wolny. Wyglądał na intelektualistę, lennonki i ciemne włosy w lekkim nieładzie zdawały się to wrażenie podkreślać.

Próbowałem przerwać ten potok myśli. Byłem już zmęczony. Nocna podróż z Katowic mocno mnie wyczerpała. Nie umiem spać w pociągu, a po kilku godzinach patrzenie w okno staje się męką tylko trochę lżejszą od przyglądania się drzemiącym pasażerom. Żołądek też dopominał się o swoje.

Czy ja na pewno widziałem cyngla Karkoszki? A jeśli nawet, to co? To nie moje wysypisko śmieci, gdzie znam każdy kąt i mogę liczyć na wsparcie. A od lutego to właściwie jestem nigdzie. Zawieszony. Nawet jeśli rozpoznałem Opalę, co z tego? On się nie ukrywał. Być może, nawet jeśli ludzie Karkoszki mieli wtyczkę w wydziale, nie wiedział, że od jakiegoś czasu go rozpracowujemy.

Zacisnąłem zęby. Nie moja sprawa, ja tu jestem na wakacjach.

Usiadłem w najbliższej smażalni ryb, w której podawali turbota. Miałem ochotę na coś prawdziwie lokalnego, a właśnie turbota nie kupisz nigdzie indziej. Ta przedziwna ryba, wyglądająca jak potwór z głębin, nadzwyczajnie mi smakowała. A może smakowała dlatego, że wiązały się z nią dobre wspomnienia, sam nie wiem.

Jedząc, obserwowałem ulicę. Opala się nie pojawił, za to mignęło mi dwóch kieszonkowców bystrymi oczkami wyglądających okazji i kilku dresów – czyli wszystko w normie. Zamówiłem piwo i popijałem je małymi łyчками, kiedy w brezentowy dach leniwie stukał deszcz.

Wreszcie obiad i piwo zrobiły swoje, poczułem senność. Pora dowlec się do swojego matecznika i odespać podróż.

Kiedy odszedł sen, najpierw nalałem wody do kubka, bo po piwie zawsze mnie suszy.

Co tu robił Opala? Działał na Śląsku, tu byłby gościem | to nie jego rewiry. Nie znałem tutejszych stosunków i ludzi, ale schemat zawsze jest podobny, lepiej, jeśli cyngiel ma zgodę lokalnych bonzów. Czyżby ją uzyskał? O powiązaniach Karkoszki z tutejszymi nic nam nie było wiadomo, co nie oznacza, że ich nie było.

Tylko czy to na pewno on? Może tylko ktoś podobny?

Zbliżał się wieczór, do zachodu pozostały ze dwie godziny, postanowiłem więc przejść się na spacer, parę kilometrów plażą. Nie brałem żadnych przyborów, jedynie lornetkę. Było jeszcze dosyć ciepło, wiedziałem jednak, że skoro padał deszcz, to po zachodzie słońca zrobi się zimno. Przewiązałem więc w pasie cienką sztormową kurtkę.

Wybrałem stronę morską. W zatoce woda była cieplejsza, wieczorami ludzie siedzieli tam dłużej, a ja chciałem się przejść w spokoju, ciszy i trochę uspokoić wewnętrzny dygot szarpiący mną od lutego, od czasu tamtej strzelaniny.

Wydmę w tym miejscu zarastała wysoka trawa i sosny, po drugiej stronie ścieżki biegł niezbyt szeroki pas mieszanego lasu dosyć gęsto przeplecionego krzewami jeżyn i kępami dzikiej róży. Pachniało żywicą, ale pod nogami ścieliły się liście, zerwane przez wicher.

Ludzie nie lubią, kiedy ktoś wyciąga lornetkę i zaczyna przyglądać się czemuś w oddali. Od razu mają podejrzenia, że obserwatora interesują leżący na kocach, że liczy im piegi i zagłada w biustonosze. Dlatego wyciągnąłem lornetkę z kieszeni kurtki dopiero po wejściu na ścieżkę, z dala od deptaka i najgęściej obsadzonych wejść na plażę. Mimo mżącego deszczyku, nadal sporo osób siedziało na plaży.

W okularze lornetki morze staje się inne. Fale wybiegają skądś poza polem widzenia, dokądś biegną, a skrawki piany - dotąd rozsiane po całej płaszczyźnie, niesione na grzbietach, zrywane jak krople wody z otrząsanej po myciu szklanki - nagle przestają być anonimowe. Jakby wzięty na celownik, krzyk ptaka nagle daje się zlokalizować: o, to jest rybitwa, a tam chrapliwie skrzeczy łabędź. Widzę go przecież, jak otwiera dziób.

Nagle na plaży, daleko przed sobą, zobaczyłem dwóch mężczyzn. Wymachiwali rękoma, krzyczeli bezgłośnie, bo morze niskim, uporczywym pomrukiem zagłuszało wszystko.

Szybko przyłożyłem do oczu lornetkę. W szklach wydali się więksi, ale nadal nierozpoznani, chociaż jeden zdawał się wyglądać jak Opala, mimo że nie nosił okularów. Zaczęli się popychać, a potem ten drugi rzucił się do ucieczki. Podobny do Opali biegł za nim.

Zaciekawiony, przyspieszyłem kroku, niemal biegnąc ścieżką. Miałem do nich ze dwieście metrów. Gdzieś na wydmie przede mną huknął strzał. Zatrzymałem się, nabierając oddechu. Adam, daj spokój przemawiałem do siebie. Nie pchaj się w kłopoty. Strzał czy nie, to nie moja sprawa, w dodatku nie wiedziałem, kim są. A jeśli jest ich więcej? Może to zabawa, jakaś inscenizacja albo wygłupy nastolatków, którzy czasem na dziko rozbijali namiot w lesie czy na plaży. A może nie, i wtedy w ręce zamiast lornetki powinienem mieć służbowego gnata, a za plecami Krzyśka i Janusza – zamiast cherlawej brzoźki.

Zrobiłem krok do tyłu. A potem drugi.

W końcu, byłem tu tylko wczasowiczem.

– Strzał? Niemożliwe! – przekonywałem sam siebie, wracając do domu. - Prędzej gaźnik motocykla strzelił albo coś. Nikt normalny nie strzelałby w lesie, tak blisko ludzi. A nawet gdyby...

W pokoju usiadłem na tapczanie i z puszką piwa w dłoni obserwowałem chmury przesuwające się po nieboskłonie. Później wyszedłem na balkon. Znow spłynęła na mnie łaska wyciszenia.

Z morzem jak z górami: nie wygrasz z nim, musisz je zaakceptować. Taki żywioł. Górę możesz jeszcze rozkopać, poprzecinać drogami, ale morze? Nie wpuścisz go w kanał, a jeśli nawet, to zmiana będzie dla ludzkiego oka niezauważalna, jego poziom wcale się nie obniży. Kochałem morze za jego niezmiennność, utrzymaną w ryzach brzegów. Chmury wędrowały po niebie, układały się we wzory jak szkiełka w kalejdoskopie, choć nie tak regularne, ale kiedy się patrzyło na morze, to aż po horyzont tylko je było widać. Kiedy po wypadku rozmawiałem o tym z naszym psychologiem, powiedział, że taki sposób postrzegania to forma ucieczki. Być może. Ale była w tym magia.

Ze starym pokojem w „Rybitwie” byliśmy dobrymi przyjaciółmi, nawet z moim łóżkiem. Wiedziałem, ile kroków mogę przejść wzdłuż przekątnej pokoju, zanim nosem wyląduję na ścianie. Tu... dopiero się tego uczyłem. Rano czułem się trochę zamroczony i nie zapamiętałem, że ściana jest tak blisko, a po drodze jeszcze stolik. Niemal zrzuciłem kubek po kawie.

Kawa mi smakowała, papieros także. Pierwszy dzień nie był może zbyt udany, ale i tak zamierzałem odpocząć, trochę się zabawić, pospacerować. Dziesięć dni spokoju, zanim wrócę do ogromu spraw i problemów przysypanych jeszcze większymi kłopotami.

Cóż, pora iść na plażę, trochę się opalić.

Najpierw jednak stanąłem w kolejce po pieczywo. Zawsze kupowałem je w budce na rogu Mickiewicza i Krótkiej, codziennie świeże. Po chwili obok mnie

stanęła Morlińska. Niechętnie skinąłem jej głową.

– Pan się nie gniewa – mruknęła.

Widać trawiło ją jakieś, zaskakujące dla mnie, poczucie winy. Wzruszyłem ramionami, odrywając wzrok od młodej dziewczyny podającej pieczywo letnikom. Kiedy się pochylała, żeby wziąć bułkę czy chleb, jej jasne włosy opadały na ramię ruchem, który budził we mnie dreszcz.

– Znalazłem kwaterę gdzie indziej. A to i tak mój ostatni raz tutaj, więc nie ma problemu.

– Obraził się pan? – zdziwiła się.

Na jej twarz wypełził wyraz niedowierzania. Zapewne nie chciała czuć się winna, nosić w sobie poczucia, że jest moim katem.

Pokręciłem przecząco głową. Wciąż byłem na nią zły, ale nie chciałem kłamać, skoro już zdobyłem się na to gorzkie wyznanie.

– Bez żony to już nie to.

Teraz ona uśmiechnęła się niewesoło.

– Pan jeszcze młody. Ja bez męża dwadzieścia lat, morze go zabrało, wiem, co to samotność.

Pomilczałem. Tego o niej nie wiedziałem, chociaż zawsze była sama. Ale mężczyźni odchodzą z różnych powodów.

Wreszcie kupiłem bułki. A potem zamyśliłem się i ani się spostrzegłem, jak nogi zaniosły mnie pod „Rybitwę”. Rozejrzałem się, czy Morlińska znów nie podąża moim śladem, jednak wokół kręcili się tylko zwykli przechodnie. A ja doświadczyłem, co znaczą nawyki.

Było jeszcze wcześniej, ale w głębi ogródka zauważyłem Rauba siedzącego nad kubkiem kawy. Zastanawiałem się, co zrobić, gdy mi pomachał... kiedy nagle otworzyły się drzwi pensjonatu i ze środka wyszedł... Opala!

Tylko dzięki wewnętrznemu opanowaniu nie zareagowałem impulsywnie. Pozwoliłem mu minąć się spokojnie, choć kiedy znalazł się za moimi plecami, nie powstrzymałem się i, lekko przekręciwszy głowę, obserwowałem go kątem oka. Zatem tam, na ulicy, nie doświadczyłem fatamorgany, naprawdę go widziałem. Kto wie, czy na plaży to także nie był on. Nie miałem omamów, w pewnym sensie dopadł mnie pech, klątwa związana z gangiem Karkoszki. Mógłby być moim sąsiadem. Chociaż nie wiem, czy chciałbym § nim mieszkać w jednym pensjonacie, bo ludzka cierpliwość i opanowanie ma swoje granice.

– Hej, znasz go? – spytał Raub, kiedy do niego dosiadłem.

– Chyba go gdzieś widziałem.

Nie powiedziałem mu, co mi powiedział Godlewski, kiedy oznajmiłem, że

wyjeżdżam nad morze.

– Masz się tam w nic nie wplątać, jasne? Siedzisz cicho, smażyysz się na brązowo i nic cię nie obchodzi. Tu masz jedną sprawę, jak tam się w coś wplądziesz, to nikt za ciebie łba nie nadstawi...

Nic wiedziałem, czy mój szef wie, że zdarzyło mi się gadać z ludźmi z Gdańska. Może czuł to przez skórę. Ale teraz jego rada była jak znalazł. Nie chcesz kłopotów, siedź cicho. Patrząc na Opalę, czułem, że POWINIENEM siedzieć cicho. Ale było to trudne.

Raub zajrzał do kubka. Kawa dawno już stamtąd wyparowała.

– To co, na piwo? – Zmierzył mnie wesołym spojrzeniem.

Wybraliśmy „Jaskółkę” w okolicach deptaka ze względu na przepierzenia, pozwalające dyskretnie prowadzić rozmowę.

– No dobra, nawijaj – upił łyk piwa. – O Hance, a potem o tej strzelaninie. Coś tam czytałem w gazetach, ale do nas niewiele dotarło. Głównie trupy i zawieszenia.

– Uśmiechnął się krzywo. – W sumie, same plotki...

Przez chwilę obserwowałem ludzi idących ulicą, pstrokato ubranych, z turystycznymi akcesoriami w rękach. Byli tacy... tacy normalni. Aż za bardzo. Jak nie z mojego świata.

– Z Hanką to nic, normalka, w końcu nie wytrzymała. One zawsze w końcu nie wytrzymują – zażartowałem ponuro. – Ciężko być żoną policjanta, sam wiesz.

Raub w milczeniu skinął głową. Czekał na odpowiedź na drugie pytanie.

– Jatka – mruknąłem. – Mniej więcej to, co w gazetach, bo ktoś dał przeciek jakiemuś dziennikarzynie i poszło. Przypadkiem natknęliśmy się na dziupłę z bronią. Ale jak wleźliśmy, to akurat nadjechali ludzie Karkoszki. No i cóż, efekt znasz: ich trzech do piachu, nasi postrzelani, zawieszenie, póki wewnętrzne śledztwo trwa, afera...

Przygryzł wargę.

- Wybronisz się?

Popatrzyłem na piwo.

- Jasne. Najwyżej będę musiał odejść ze służby, ale bez wyroku. Gorzej z Hanką, bo nie wytrzymała. Już wcześniej prorokowała, że w końcu w coś takiego się właduję. Bała się, że teraz to nam nieznani sprawcy dom podpalą albo zabiją. A ona chce mieć dziecko... Ostatni dzwonek, rozumiesz. Powiedziała: „Składasz wymówienie. Dzisiaj. Albo ja jutro się pakuję”. Histerycznie, ale szczerze, rozsądnie...

Ulicą przejechał motocykl, rycząc na cały gaźnik.

- Wakacje, nie? — szorstko skomentował Raub. Potarł krótko ostrzyżoną potylicę. - Boże, jak ja nie lubię wakacji...

Zawsze tak mówił, odkąd go znam, ale zawsze razem żoną i córeczką przyjeżdżał do „Rybitwy”. Zakolegowaliśmy się, z wolna poznawaliśmy lepiej. Wiedziałem, że jak siedzi w tej swojej Warszawie, to narzeka na to, że nie ma chwili spokoju, ale tu, w Jastarni, najchętniej od razu wróciłby do swojego warszawskiego piekła. Nie tak łatwo wykasować poczucie misji — a bez niego nikt z nas by nie pracował w takich miejscach. Bo przecież nie dla pieniędzy i nie z przypadku.

- A ja lubię wakacje — mruknąłem. - Tylko nie te okoliczności. A ten, co to nas wyminął przy „Rybitwie”, to kto?

Popatrzył na mnie bystro. Było jasne, że mam jakiś konkretny powód, by się nim interesować.

- Też z Katowic - wzruszył ramionami. - Samotny, ale wziął dwójkę.

- Kutwa z tej Morlińskiej - warknąłem rozeźlony.

- Mnie sprzedała kopa, bo samotny, a jemu wynajęła...

Byłem zły. Widać Opala miał swoje argumenty. Nie wnikałem. Może Morlińskiej nie zagrało, że się rozstałem z Hanką, ale czułem się z tym podle.

— Dobra, idę się popłażować. Dołączysz?

Raub pokręcił głową.

- Dziewczyny chcą popłynąć do Gdańska, więc spadam. Ale plaża jedna, spotkamy się, nie? Od strony morza, co?

Skinąłem głową.

Opala nie dawał mi jednak spokoju. Pojechałem na Hel, popłynąłem promem do Gdańska, pochodziłem po mieście, wróciłem do Jastarni, a on wciąż tu siedział, niby zły duch. Najwyraźniej przyjechał na dłużej. Pech, że osiadł akurat w „Rybitwie”. Nie wiedziałem o nim nic więcej — może zawsze spędzał wakacje nad morzem? Kto wie? Dziwny gość, tyle wiedziałem z komendy.

Postanowiłem wyjaśnić kwestię strzałów. Kiedy Opala mignął mi na deptaku, zignorowałem to, a przynajmniej próbowałem. Strzał mnie nie dotyczył. Ale Opala na ulicy, strzały, Opala w mojej „Rybitwie” — tego było za dużo.

Czułem, że ten kawałek plaży albo lasu w miejscu, gdzie Opala kłócił się z tym drugim człowiekiem, ma jakieś znaczenie. Zrobiłem mały spacer w tamto miejsce.

Nie dostrzegłem jednak niczego podejrzanego.

Bałem się popaść w obsesję. Zbyt wielki ciężar rzeczywistości może spowodować pojawienie się prób ucieczki, kreowanie fikcji mającej tę cholerną rzeczywistość zastąpić albo jakoś wytłumaczyć. Kim jest Opala, nie podlegało dyskusji. Ale cała reszta... Bałem się uwierzyć, że przyjechał tu na robotę, bałem się

koncentrować uwagę tylko na nim.

Pogoda wciąż była beznadziejna, deszczyk siąpił falami, przestawał na kwadrans i znów zaczynał swą męczącą robotę. Dopiero na następne dni zapowiadali nagłą zmianę i upały. Spotkałem Rauba na deptaku. Sztormiak i klapki. Zupełnie jak ja.

– Chodź popływać – zaproponował.

Spojrzałem w niebo. Nic się nie zmieniło. Nadal niebo zaciągnięte było plamami chmur o ciężkich podbrzuszkach pełnych deszczu.

– W deszczu?

Zaśmiał się szorstko, ale triumfalnie.

– Nigdy nie pływałeś w deszczu, co, cwaniaku?

Na plaży siedziało troje ludzi, zakutanych w kurtki, i zastanawiających się, czy pora wracać na kwaterę, i jedna starsza pani, którą widywałem tu od kilku lat. Wiedziałem, że lekarka nakazała jej wdychać jod. A tego, jak wiadomo, najwięcej w czasie wiatru czy sztormu, więc siedziałyby tu kamieniem, nawet gdyby z morza przyszło tornado. Umarłaby, ale zdrowsza.

I nagle na ich oczach na plażę wpadło dwóch zaśmiewających się do łez facetów w średnim wieku, zrzucili ubrania i pobiegli prosto w fale. Nic, tylko filmować, a potem postawić diagnozę.

A jednak Raub miał rację: woda nie była wcale taka zimna. Uderzające w wodę i głowę krople niczego nie zmieniały, taka sama woda jak z rozbryzgów podczas otrząsania się czy radosnego chlapania. Poza świadomością. Świadomością, że pływasz w deszczu. Coś dziwnego... i właśnie przez to ciekawego, oryginalnego.

- No – stwierdził z zadowoleniem, kiedy wyszliśmy na brzeg, żeby pobiegać i trochę się rozgrzać. – Sam widzisz jaka fajna zabawa.

Na pewno lepsza niż spotkanie Opali.

Następnego dnia od rana smażyło jak u diabła w piekarniku. Wczorajsze pływanie spodobało mi się, postanowiłem to powtórzyć. W ubiegłych latach wolałem spacerować, sporo jeździliśmy z Hanką po okolicy, żeby nie przylepić się do plażowego koca jak reszta turystów. Jednak po kąpieli w deszczu poczułem się odświeżony – także psychicznie. Wieczorem po raz pierwszy zasnąłem, nie przewijając na wewnętrznym ekranie scen z lutego; jatki w dziupli i miny Godlewskiego, kiedy próbowałem mu nieskładnie wyjaśnić, że przecież wystawiliśmy czujkę, że po prostu tamci odcięli nam drogę odwrotu.

Nim zwlokłem się z łóżka, większość przyjezdnych już wyległa na plażę, spragniona słońca po kilku dniach deszczu. Z trudem znalazłem wolne miejsce jakieś pięćdziesiąt metrów od swojego wejścia na plażę. Rzuciłem koc, chwilę rozkoszowałem się przypiekającym słońcem, przez przymknięte oczy chłonąc ten

zar, wreszcie wstałem i ruszyłem w stronę wody.

Morze, pomimo słonecznej pogody, było mocno rozkołysane, fale rosły na pół metra, czasem więcej. Walcząc z nimi, przegarniałem wodę, czułem, jak powoli ogarnia mnie przyjemne, leniwe zmęczenie. Odezwała się rana w podudziu, gdzie trafiła kula. Minęło kilka miesięcy, ale nasz chirurg twierdził, że ze dwa- trzy lata będę czuł w tym miejscu dyskomfort, a i tak powinienem się cieszyć, że nie strzaskąta mi kości, bo mógłbym kuleć do końca świata, a nawet dłużej, po zmartwychwstaniu.

Nie zdziwiłem się, kiedy po kolejnym wyjściu z morza obok mojego koca zauważyłem jeszcze jeden. Był pusty, ale z pewnością, do kogoś należał. Zacząłem się wycierać ręcznikiem, dyskretnie rozglądając się dokoła. Czy był to drugi koc tej tęgiej jejmości w czarnym jednoczęściowym stroju, która rozłożyła swój wielgachny ręcznik poniżej mojego? Albo tego małżeństwa po prawej?

Po chwili wszystko się wyjaśniło; zjawiała się właścicielka, młoda i bardzo ładna brunetka z długimi kręconymi włosami, w żółtym bikini, które ładnie podkreślało opaleniznę. Usiadła na kocu, a potem wyciągnęła się i wystawiła twarz ku słońcu.

Leżąc na brzuchu, obserwowałem ją ukradkiem. Ładna była. Kobiety czasem zdają sobie sprawę z własnej urody, zyskując na pewności siebie, i ta taka była, chociaż leżała tu samotnie, pozwalając się skubać wzrokiem. Nieomal nieskazitelną urodę jej ciała psuła jedynie biaława rysa starej blizny na lewym ramieniu, zaczynająca się dziesięć centymetrów powyżej łokcia i wbiegająca na bark. Widać też miała nieciekawe przeżycia.

Nagle otworzyła oczy i popatrzyła na mnie, lekko przechylając głowę. Uśmiechnąłem się przepraszająco, odwzajemniła uśmiech, ale kiedy uznałem, że pora się ochłodzić, po powrocie już jej nie zastałem.

Wieczorem spotkaliśmy się z Raubem na partyjce darta w jednym z tych małych, ciasnych barków z przeszklonymi drzwiami i oknami, które ujawniały wnętrze wszystkim ciekawskim, zachęcając do wejścia, zagrania partyjki, wypicia setki albo piwa. Było tu dosyć pusto, dart nie należał do ulubionych rozrywek Polaków. Wymagał skupienia i nie pozwalał zbyt wiele wypić. Dwa, trzy piwa maks, inaczej zaczynasz trafiać w dupę, jak to dosadnie określał Raub.

Wbijając strzałki w tarczę, wbijałem je jakby w Opalę. Albo tamtych od Karkoszki, chociaż już nie żyli.

To mnie zastanowiło. Patrząc jak Raub wygina się, mierzy, celuje, przymykając oko, żeby trafić w dobry sektor, zastanawiałem się, dlaczego we mnie wciąż tak wiele nienawiści do tamtych. Zabiliśmy ich przecież. Owszem, teraz jestem zawieszony, ale równie dobrze kula mogła mnie nie ominąć i chodziłbym sobie

teraz jako jakiś robaczek albo spływał z ciekim wodnym.

– Nie myśl! – Raub odstąpił na bok, robiąc mi miejsce.

- Twoja kolej.

Gdzieś przed jedenastą do barku nieoczekiwanie zajrzała jego Danka.

– Idę na dyskotekę – powiedziała. – Odprowadzi mnie pan? – spojrzała na Rauba z nieco teatralnym uśmiechem.

Zebrał się szybko, bez słowa protestu. Zgodnie z niepisanym prawem małżeństw właśnie skończył się czas podarowanej mu wolności.

– Nara, Adam, jutro na plaży, nie?

I już go nie było. Nawet nie dopił piwa.

A ja jeszcze przez chwilę sączyłem swoje, rozmyślając. Nie można człowieka zabić po raz drugi. To bez sensu. A jednak gdybym mógł, ponownie skreśliłbym ich z ewidencji żywych za to, co zrobili z moim ocalonym życiem.

Nagle na skraju stołu zobaczyłem ciemną komórkę. Wyglądała inaczej niż ta, którą widywałem zwykle w rękach Rauba, ale kto inny siedział przy naszym stoliku? Nie pobiegę za nimi na dyskotekę, trudno. Nawet nie wiem, gdzie go Danka wyciągnęła. Dobra, jutro mu dam. Zgarnąłem ją do kieszeni kurtki i wyszedłem na dwór, w nocny upał, który wcale nie zelżał.

Zastanawiałem się, czy nie skoczyć do Helu, zobaczyć, co słychać w fokarium, sprawdzić, czy nie pojawiły się atrakcje warte grzechu. Wygrała jednak plaża.

Kiedy brunetka w żółtym bikini znów położyła ręcznik obok mojego, uśmiechnąłem się szeroko, triumfalnie. Przecież na to właśnie miałem cichą nadzieję. Przez chwilę przyglądaliśmy się sobie z typową swobodą turystów szukających rozrywki.

– Może popływamy? – zaproponowałem wreszcie, żeby przerwać męczącą ciszę.

– A jeśli ktoś nam ukradnie ręczniki i resztę? – Spoglądała na mnie z wahaniem. Rzeczywiście, ja na kocu miałem tylko ubranie, ale ona przyszła z plażową brązową torbą wypchaną po brzegi.

– Wszystko, co naprawdę cenne, zabiorę do wody.

Przez sekundę zastanawiała się, jak zinterpretować moją odpowiedź, wreszcie pokiwała głową.

– Ale ja jestem przywiązana do swoich rzeczy.

– To, co cenne ocalimy, jeśli pani skorzysta z mojego zaproszenia - upierałem się przekornie.

– Zgoda, to chodźmy do wody, mój strażniku - rzuciła zadowolona i pobiegła przodem.

Pływała nie gorzej ode mnie, kiedy więc w pewnej chwili udała, że się topi, podpłynąłem, ostentacyjnie wymachując rękoma, jakbym chciał zwrócić na siebie uwagę rekina. Złapałem ją, a potem przycisnąłem do piersi. No cóż w takiego ratownika mógłbym się bawić zawsze, aż do starości.

- Jak masz na imię? - spytałem, otrząsając się jak pies, kiedy wyszliśmy na brzeg.
- Ja jestem Adam.

Powtórzyła moje ruchy, ze znacznie większym wdziękiem.

- Hanka!

- Hanka... - powtórzyłem z namysłem. Spojrzałem na nią z ukosa. - To wiele wyjaśnia. Muszę wypić południową kawę. Dasz się namówić?

Kiedy Hanka wróciła na kwaterę, ja postanowiłem się przespacerować po Jastarni. Znow przyciągnął mnie port, a zwłaszcza falochron. Kroczyłem tą wąską drogą energicznie, a wiatr sprawiał mi więcej przyjemności. Pod spojrzeniem Hanki odżyłem. Może właśnie tego potrzebowałem.

Potem postanowiłem wrócić na kwaterę, by tam zastanowić się, co dalej. Popołudnie miałem wolne, dopiero wieczór szykował się atrakcyjnie. Wybrałem nieco okrężną drogę, bo kto powiedział, że wszystkie drogi do celu muszą być proste?

Nagle, gdy szedłem Portową, w dali mignął mi Raub. Uśmiechnąłem się. No tak, gdzieś fruwa. Nawet nie chciało mi się go gonić, ale przypomniałem sobie, że mam w kieszeni jego komórkę. Przyspieszyłem kroku.

Kiedy byłem już trzydzieści metrów od niego, mniej więcej na wysokości apteki, nagle ktoś mnie potrącił.

Szarpnąłem się, odskoczyłem, schodząc na bok - i wtedy go zobaczyłem. Szedł za Raubem, skrajem chodnika, starał się trzymać odległość!

Opala!

Przystanąłem na sekundę. Przypadek? Niemożliwe, niemożliwe, NIEMOŻLIWE! A więc Opala dlatego zakotwiczył się w „Rybitwie”. Miał coś do Rauba! Nie do mnie, tylko do niego!

Po kilkunastu krokach dostrzegłem coś jeszcze; wmieszany w tłum, ubrany w zwykłą sportową koszulkę, jakiś gość przyglądał się Opali. Mógł być policjantem, mógł być gangsterem, na którego rewir wjechał Opala - natomiast pewnością nie był przypadkowym przechodniem. Jak Opala za Raubem, tak tamten dyskretnie podążał za cynglem Karkoszki!

Przecieliśmy Mickiewicza, doszliśmy do poczty. Tam Raub wybrał pieniądze z

bankomatu i pospiesznie zawrócił w stronę nabrzeża, na chwilę burząc tę niezwykłą konstrukcję śledzących go ludzi. Po chwili jednak wszystko wróciło do normy, zmienił się jedynie kierunek.

Odprowadziliśmy go wszyscy: Raub, za nim Opala i jego ogon, a za nimi — ja, czując się jak idiota. Potrójny ogon to było coś niewiarygodnego. Powinienem jakoś ostrzec Rauba, ale jak?

Na nabrzeżu czekała na niego Danka z córką. Razem wsiedli na prom do Gdańska. A więc wrócą późnym wieczorem. Opala został na brzegu.

Zupełnie nie miałem ochoty wtrącać się w rozliczenia między tymi dwoma, to znaczy Opalą i jego ogonem. Zmyłem się.

Powinienem zaczekać na Rauba w „Rybitwie”, ale... zamiast tego spotkałem się z Hanką. Przecież byliśmy umówieni, a na promie Jacek był bezpieczniejszy niż ja tutaj.

Randka z dziewczyną przeciągnęła się do późnej nocy. Dopiero o piątej nad ranem wślizgnąłem się do swojego pokoju, żeby jeszcze się zdrzemnąć. Potem pójde i powiem Raubowi, co i jak.

Niczego nie byłem pewien. Nic nie wyglądało tak, jak miało. Od chwili, gdy wysiadłem na peronie, aż do teraz, kolejne moje wyobrażenia padały niczym ceglany mur trafiony pociskiem armatnim. Zobaczenie podwójnego ogona było dowodem na to, że dzieje się coś dramatycznego.

Nie miałem jak opowiedzieć o tym Raubowi. Nie chciałem też ujawniać zbyt wiele informacji o Opali. Postanowiłem jednak uprzedzić kumpla o swoich obawach, w końcu łączył nas wspólny front... nawet jeśli byliśmy tylko wakacyjnymi znajomymi.

Mimo wszystko miałem świadomość, że to wszystko dzieje się poza mną że jestem przypadkowym obserwatorem. Muszę coś zrobić, aby ostrzec Rauba, ale nie ujawnić się przed Opalą. Nie mogę wpaść do „Rybitwy” bladym świtem.

Spokojnie zrobiłem sobie kawę, a słuchając szumiącej w czajniku wody, spoglądałem na wieżę kościoła, a ponad nią na czyste o poranku niebo. Kiedy zdecydowanym ruchem otworzyłem drzwi na balkon, do środka wślizgnęła się fala miłego ciepła. Zapowiadał się gorący dzień.

Wreszcie, po wypiciu kawy, ruszyłem w stronę „Rybitwy”.

A jednak się pomyliłem, nie doceniłem przeciwnika. Zrozumiałem to, widząc zaniepokojoną Kreję. Musiała widzieć, jak nadchodzi ulicą i wyszła na spotkanie.

— Nowinę pan słyszał? Morlińska zniknęła! Wieczorem wyszła po zakupy, wiadomo, turystów pełno, nakarmić trzeba. Wyszła i ani śladu...

Odjęło mi mowę. Opala!

Cudów nie ma, a zbrodnie są powtarzalne jak pacierz, ciągle się popełnia te same. Jeśli ktoś ma inklinację do złodziejstwa, to będzie złodziejem, jeśli lubi łom, to nie zacznie nagle używać gnata, chyba że przypadkiem.

– Znajdzie się – zapewniłem starszą kobietę. – A ja tu do znajomego... – Pchnąłem furtkę i zdecydowanie ruszyłem do wnętrza domu, zastanawiając się, czy w środku znów nie minę się z Opalą.

Rauba znalazłem przy stoliku. Siedział i pił kawę. Do jej zrobienia nie potrzebował gospodyni, każdy miał dostęp do kuchni, na tym przecież polega urok małych pensjonatów.

– Hej, mam sprawę – przywitałem go. – Danka z córką zejda?

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Leniwce jeszcze śpią.

– Dobra – usiadłem obok. – O zniknięciu gospodyni wiesz?

Skinął głową, patrząc gdzieś w okno.

– A o Opali słyszałeś? - zerknąłem na niego badawczo, wymieniając nazwisko cyngla.

Popatrzy! na mnie wzrokiem, który niewiele wyrażał Profesjonalny spokój. Ale gdzieś tam w środku widać było zainteresowanie.

– U nas na komendzie parę osób oglądało jego zdjęcia - zacząłem, zniżając głos.
– Dowodów nie ma, żeby go skazać, ale to cyngiel. To ten, o którego cię pytałem, mieszka tu zamiast mnie. A wczoraj go widziałem, jak cię śledził. A jego z kolei śledził ktoś inny..

Raub skrzywił się z niesmakiem.

– Serio? I po co mi to mówisz?

Wzruszyłem ramionami.

– Jacek, nie czas na żarty. Po kogoś przyjechał. No, chyba że na wakacje. Ale bądź ostrożny.

– Ty bardziej. – Wzruszył ramionami. – W końcu grasuje w twoich rejonach.

Widać było, że jakoś nie przejął się odkryciem, kim jest jego sąsiad z pięterka. Chyba że udawał.

– Mnie nie zna - burknąłem. – Mijaliśmy się, zero reakcji. Jakby chciał akurat mnie ustrzelić, to by mi się nie pchał na oczy, nie?

Niedbałym gestem przyznał mi rację.

– Aha, mam twoją komórkę – przypomniało mi się. Wyciągnąłem grata z kieszeni. – Zostawiłeś w barze.

Przyjrzał się jej zamyślonym wzrokiem. Chyba coś kombinował, czyli jednak się przejął.

– Nie, to nie moja, przecież od razu bym cię szukał
– zaprzeczył wreszcie. – Widać kogoś innego. Jak będziesz przechodzić, oddaj właścicielowi knajpy albo obsłudze.

– Jak będę – przytaknąłem, chowając komórkę do kieszeni. – A ty uważaj. Po mojemu to nie przypadek.

Pokiwał głową. On też nie wierzył w przypadki.

Nie miałem planu. To znaczy, miałem, ale wcześniej, jeszcze w pociągu. Dobrze się bawić w Jastarni, może poderwać jakąś dziewczynę. Teraz... postanowiłem wyjaśnić, co z Morlińską.

Nie zamierzałem wchodzić w buty tutejszych. Od przeszukania miasta są inni, to jasne. I jeszcze nie teraz, nikt nie podejmuje poszukiwań, zanim nie upłynie doba czy dwie, chyba że chodzi o dziecko lub polityka albo gdy sprawa jest oczywista.

Jednak miałem punkt zaczepienia: strzał w lesie, te dziwne wypadki w miejscu, gdzie raczej nikt nie chodzi. Wtedy nie byłem pewien, ale im dłużej się zastanawiałem, tym bardziej byłem przekonany, że jedna z tych postaci to Opala. Może autosugestia, ale sprawdzić warto.

Niemal pobiegłem do pokoju po torbę plażową do środka wrzuciłem lornetkę, parę drobiazgów dla niepoznaki, przewiesiłem ją przez ramię i ruszyłem w stronę plaży.

Stopy grzęzły mi w piasku, ale wolałem udawać turystę kochającego szum fal rozbijających się o brzeg. Od ostatniego numerowanego wejścia na plażę należało przejść dobry kilometr czy dwa, nim trafiło się do tego miejsca. Zgubiłem z oczu plażowiczów, kolorowe latawce kręcące się nad plażą i namioty wyglądające jak małe, kolorowe, nieregularnie rozsiane wydmy. Poszczekujące psy i krzyczące dzieci. Odważnych pływaków. Wszystkich, dla których był to zwykły, beztroski dzień wypoczynku.

Dopiero po dwóch kilometrach wszedłem między drzewa. Od czasu, gdy dotarłem tu poprzednio nic się nie zmieniło, kompletnie nic, tylko las szumiął ciszej, bo pogoda była dziś ładniejsza, wiatr słabszy, a narastający upał klajstrował wszystko jak w stygnącym krochmalu.

Jeszcze kilometr, a jeśli nic nie znajdę, wracam - postanowiłem. Podrapałem się w głowę. Przecież to bez sensu.

Szedłem wciąż leśną ścieżką, co sto kroków przystając i nasłuchując. Lustrowałem też przy użyciu lornetki plażę i las wokół siebie. Za którymś razem między drzewami mignęła mi sylwetka. Nastawiłem szkła – człowiek!

Zacząłem się skradać jak lis, przemykając już nie ścieżką, lecz pomiędzy drzewami, chowając się w omszonych wykrotach. W ciszy, patrząc, czy mnie

samego ktoś nie podchodzi. Las w tym miejscu nie był gęsty, co miało swoje dobre strony, bo nie wywoływałem szelestów, ale był rzadki, więc gdyby nie kurtka, którą wcześniej wyjąłem, miałbym problemy z ukryciem się. Żółtozielona kurtka maskowała mnie całkiem nieźle, chociaż miała służyć innym celom, niż chowanie się przed przestępcą.

Wreszcie dotarłem do miejsca, gdzie przed chwilą mignął mi jakiś człowiek.

Las podnosił się tutaj wałem z trzech stron, jakby od strony Jastarni zbrocze coś chciało ochronić. Zapewne było to zapadlisko po bunkrze albo po potężnym drzewie, które sztorm wyrwał z korzeniami, zostawiając wielki wykrot.

Opala, siedząc na pniaku na szczycie wzniesienia, piłował pilnikiem paznokcie. Wydawał się spięty, zapewne usiłował zająć czymś palce i umysł, ale wciąż rzucił dokoła nerwowe spojrzenia. Nigdzie nie widziałem broni, ale z pewnością nie siedział tu z gołymi rękoma.

– A niech cię diabli, Opala – mruknąłem. – Niech cię diabli porwą...

Teraz już na dobre byłem zaintrygowany, bo chociaż domyślałem się, co kryje się w środku krateru, nie wiedziałem jednak – dlaczego. Dużym łukiem obszedłem wykrot dookoła, starając się zachowywać jak najciszej.

Między drzewami ciężko było poruszać się cicho i zręcznie, nie mogłem zbliżyć się na mniej niż jakieś pięćdziesiąt- siedemdziesiąt metrów, więc widok miałem raczej kiepski. Ale kiedy wreszcie udało mi się znaleźć prześwit, w którym widoczne było wewnątrz wykrotu, zobaczyłem prosty szałas z gałęzi. Nie dostrzegalem wejścia, nie mogłem sprawdzić, co lub kto jest w środku. Za to niedaleko wejścia zauważyłem... but. Damski but. Przez lornetkę widziałem go wyraźnie. Damski. Chyba taki, jaki miała na nodze Morlińska, kiedy mówiła mi, że bym spadał, bo ona już komuś wynajęła. Dobrze, że nie dała mojego pokoju Opali, tego bym nie przeżył.

Psiakrew! A więc to Opala porwał Morlińską. Ale po co? Chyba, że chodziło mu o wywołanie zamieszania w pensjonacie, z czego wkrótce skorzysta... Zabije Rauba, zatrze ślady i zniknie?

Wycofałem się powoli, ostrożnie sprawdzając co chwila, czy ktoś nie idzie w moją stronę, bo gdyby mnie znalazł...

Muszę dać znać. Sięgnąłem po swoją komórkę...

Nie, z mojej nie mogłem. Godlewski mnie zabije. Nie wolno mi ingerować. I wtedy przypomniało mi się, że wciąż mam w kieszeni cudzą komórkę, która miała być Rauba, ale okazała się własnością kogoś innego. Walcząc z piachem i idąc w stronę morza, wyjąłem ją z kieszeni i wystukałem numer. Ten numer od kilku lat miałem w głowie, wyjeżdżając na wczasy zawsze upewniałem się, czy wciąż tam

siedzi. Tym razem tego nie zrobiłem, ale numer nadal tkwił w mojej głowie jak pocisk, którego nie da się usunąć, więc musi zostać na całe życie, bezpiecznie się otorbić.

Owinałem komórkę chustką. Cóż, prymitywny sposób ale szum fal i tkanina być może na tyle zmienia dźwięk, że nie uda się łatwo zidentyfikować rozmówcy.

Wszedłem do wody. Od skraju wydm miałem ze trzydzieści metrów, plaża była pusta, dokąd sięgałem okiem - nikt nie usłyszy mojej rozmowy. Wybrałem numer, a potem w kilku zdaniach zrelacjonowałem operatorowi, o co chodzi. Nawet się nie zdziwił. Cóż, trójmiejscy nie działali inaczej, o pewnych numerach się wiedziało poza procedurą, nie dzwonili na nie przypadkowi ludzie. Nie przedstawiłem się, ale i tak musiał się domyślać, kim jestem. Może nawet rozszyfrują mój głos po próbce, ale to chyba nie będzie konieczne. A jeśli zaczną sprawdzać...

Byle nie od razu. Potem – to już obojętne. Wiedziałem, że teraz chłopaki zbierają się w try miga. Ciekawe, czy ruszą z Gdańska, czy poderwą kogoś z Helu. Albo tam, albo w Juracie, a może nawet w Jastarni jest paru chłopaków zdolnych poradzić sobie z Opalą.

Potem popatrzyłem na komórkę. No cóż, wyglądała jak płaski kamyczek. Po chwili zastanowienia uniosłem rękę i rzuciłem telefonem, robiąc „kaczkę”. Odbił się kilka razy, błyskając nad wodą jak czarna ryba latająca, wreszcie poszedł na dno kilkanaście metrów od brzegu. Wkrótce przysypie go piach, utrudniając odnalezienie.

I wtedy się zawahałem. Powinienem odejść, ale lornetka ciążyła mi na piersi. Zdałem sobie sprawę, że na plaży wyglądam jak tarcza, gdyby ktoś uznał, że nie czas na pytania. Szybko wspiąłem się na wydmy. A potem w las. Kusiło mnie, żeby zatoczyć koło i obserwować, co się będzie działo przy zapadniętym bunkrze. Ale rozum podpowiadał, żeby tego nie robić. Przeszedłem ulicę i usiadłem na ławce przy kępie dzikich róż. Miałem stąd widok na ulicę Helską, dobre dwa kilometry w każdą stronę.

Wreszcie zobaczyłem, jak w jednym miejscu, jadąc od Juraty, przystaje wóz i wysypuje się z niego kilku ludzi. Uśmiechnąłem się. Wstałem i powoli, otrzepując ubranie liści dzikiej róży, ruszyłem w stronę Jastarni. W stronę „Rybitwy”. A może po drodze zjem w nagrodę smażonego turбота i wypiję piwo? Albo na chwilę gdzieś przysiadę i pozwolę sobie opalić policzki?

Cóż, byłem tu przecież na wakacjach.

Agnieszka Lingas- Łoniewska

SPRAWIEDLIWOŚĆ I ZEMSTA

Lidia stała przy kserokopiarce i słuchała cichych rozmów dwóch kobiet, pracujących w dziale marketingu. Omiotły ją wzrokiem, jakby była meblem, i rozmawiały dalej, w ogóle się nie krępując. No tak. Lidia pracowała w firmie od tygodnia, do jej obowiązków należało głównie kserowanie dokumentów, parzenie kawy i uzupełnianie zapasów biurowych. Nie była więc osobą, z którą którakolwiek z pracujących tu specjalistek musiałaby się liczyć.

– Widziałam ich razem. Wychodzili z kina, Jacek obejmował ją i całował. Skurwieli! – powiedziała z nienawiścią wysoka brunetka, starszy specjalista Anna Mielczarz.

– On? To nie on. Znasz go. Byłaś z nim chyba z miesiąc. To jej wina! – Blondynka prychnęła.

Dwudziestoosmioletnia graficzka nie mogła zrozumieć, że Jacek mógł ją zostawić dla tej idiotki Anki, ale zachowała tę uwagę dla siebie. Teraz musiały przyjąć wspólny front przeciwko młodej asystentce, Karolinie Lis, którą Jacek niedawno przyjął do firmy i już stała się jego, bardziej niż osobistą, asystentką.

– Półtora miesiąca! - Zawołała oburzona Anka.

- Obojętnie... – Weronika Kowalewska potrząsnęła blond włosami. – To nie on jest skurwielem, to ona jest kawałkiem k... – kobieta zmeła przekleństwo, zerkając niespokojnie na stojącą przy ksero Lidkę. – Długo jeszcze tu będziesz sterczeć?! - Warknęła głośno, patrząc nieprzyjawnym wzrokiem na rudowłosą, piegowatą dziewczynę.

– Kseruję umowy dla szefa. – Lidka wzruszyła ramionami i skupiła się na wykonywanej czynności.

- Niech każdy robi to, w czym jest najlepszy! - Weronika parsknęła i pociągnęła Ankę do kuchni, gdzie mogły bezpiecznie oddawać się dalszej dyskusji na temat niesprawiedliwości świata, niestałych mężczyzn i puszczalskich bab.

Odchodząc, nie zauważyły zimnego spojrzenia zielonych oczu rudowłosej dziewczyny, której usta zacisnęły się w niemym wyrazie politowania zmieszanego ze złością.

– Głupie cipy – wysyczała przez zęby.

Zaraz jednak przybrała maskę zabłąkanej sierotki, która sprawiała, że ludzie nie

traktowali jej poważnie i dzięki temu mogła się dowiedzieć wielu rzeczy. A właściwie dzięki temu prostemu zabiegowi uzyskiwała każdą informację, jaką tylko chciała.

Jacek leżał koło śpiącej Karoliny i powoli zsuwał się z łóżka. Nie miał zamiaru zostawać u niej na noc. Jasne, szybki numerek, czemu nie? Ale wspólna noc? O nie. Tego nigdy nie robił. Miał swoje zasady. Zasypiać i budzić się we własnym łóżku. I to sam. Kobiety... Cholera, to był i jego konik, i słaby punkt zarazem. Każda nowa dupencja, którą przyjmował do firmy, musiała przejść przez sito jego... menadżerskiej oceny. Zaśmiał się w duchu. One były takie naiwne. Każda z nich liczyła na coś więcej, uważała, że to właśnie ona jest tą jedyną, na którą Jacek Książak czekał całe swoje życie. Nie wiedziały o jednym. On na nikogo nie czekał. Jemu było dobrze tak jak było, nie zamierzał z nikim się wiązać i taką zasadę stosował od lat. A na pewno od momentu, gdy zaczął prowadzić swój własny biznes. Czyli mniej więcej od dwudziestu lat. Teraz zbliżał się do czterdziestych piątych urodzin i dzięki zdrowemu trybowi życia, uprawianiu sportów i regularnym wizytom na siłowni zachował świetną sylwetkę i nadal miał mnóstwo młodzieńczego wdzięku. A jeśli dołożyć do tego okazałe konto i wypasione bmw, to można powiedzieć, że wygrywał na całej linii. Tak, było mu dobrze, miał czas dla siebie, na swoje pasje, na osobiste zachcianki. Podświadomie czuł, że to faza głębokiego egoizmu, ale nie zamierzał tego zmieniać. Uważał, że to zdrowe podejście do siebie samego. I uczciwe, bo przecież żadnej z lasek nigdy nic nie obiecywał. A że one stawały na głowie, aby go zadowolić, aby pokazać, że są lepsze od tej poprzedniej... To już nie jego wina. Jasne, skwapliwie z tego korzystał, ale do diabła! Był facetem, lubił kobiety, seks, ostre gierki w łóżku. Nie on jeden. A że nie wierzył w miłosny bełkot „i żyli długo i szczęśliwie”? Chyba za to nie wsadzano do więzienia?

Mylił się.

Zaczął się od tego, że Anka nie przyszła do pracy. Mieli właśnie kampanię na karku, a ona po prostu sobie nie przyszła. Jacek szalał ze złości, wydzwaniał do niej, lecz nie odbierała telefonu.

Cholerne baby - warczał pod nosem, przywołując Lidkę.

Rudowłosa dziewczyna cierpliwie czekała, aż wzburzony szef powie, o co mu chodzi, bo na razie zajęty był przekładaniem papierów na biurku i zgrzytaniem zębami.

– Pojedziesz do Mielczarzowej. Ona ma na przenośnym dysku wszystkie projekty po poprawkach do kampanii. Dzisiaj mieliśmy je wysłać do firmy

afiliacyjnej. Co się z nią dzieje, do kurwy nędzy?! - ryknął.

– Może jest chora? – nieśmiało zasugerowała dziewczyna.

– Lepiej, żeby była martwa! Bo choroba to nie powód, żeby nie odbierać cholernego telefonu! – grzmiał, wyszarpując z kieszeni stułotowy banknot. – Masz kasę, bierz taksówkę i jedź do tej...

Jacek zacisnął usta, bo nie chciał rzucać mięsem w pracy. Starał się tego unikać, ale sytuacja była podbramkowa. I po raz kolejny obiecywał sobie, że chyba zacznie zatrudniać facetów. No tak... ale z facetami nie miał zamiaru sypiać. Cholerne hormony!

– Adres – szepnęła przestraszona Lidka, którą miotający się po pokoju szef wyraźnie przestraszył.

– Co?! – wrzasnął.

– Adres pani Anny. Nie wiem, gdzie ona mieszka.

– A! Masz! – Szybko zapisał coś na kartce wyrwanej z notesu i wcisnął Lidce. – I migiem widzę cię tu z powrotem.

Lidka ruszyła posłusznie w stronę wyjścia, zamawiając przez komórkę taksówkę. Na korytarzu uśmiechnęła się do siebie i mruknęła:

– Uważaj, czego sobie życzysz...

Jacek patrzył w jasnoniebieskie oczy komisarz Tańskiej, starając się wyrzucić na niej jak najlepsze wrażenie. Jednakże wysoka policjantka o anielskiej twarzy i zimnym spojrzeniu zdawała się być odporna na jego wdzięk.

– Staramy się ustalić, co robiła zamordowana przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny. Sąsiadka twierdzi, że widziała, jak Mielczarz wysiada z czarnego bmw x5. Czyba pan jeździ takim samochodem?

– Hm. Tak. Podwoziłem Annę do domu, mam po drodze.

Jacek wzruszył ramionami, ale wewnątrz był cały spięty. Nie podobał mu się sposób, w jaki ta policjantka na niego patrzyła. Jakby od razu stawiała go na pierwszym miejscu listy podejrzanych.

– Tak. Więc podwoził pan panią Annę? I nie wszedł do jej mieszkania? – Zimne oczy niemal przewiercały go na wylot.

– To znaczy... Może wszedłem? Nie pamiętam.

– Ma pan pamięć krótkotrwałą? To było przedwczoraj.

– No dobrze. Wszedłem. Napiliśmy się kawy, omówiliśmy kilka firmowych spraw i to wszystko. - Jacek starał się panować nad złością, ale przychodziło mu to z trudem.

– Pan jest zdenerwowany? – Tańska zmrużyła oczy.

– Jestem zmartwiony. Anna pracowała ze mną dwa lata.

Pani by nie ruszyło, gdyby to spotkało kogoś, kogo pani dobrze znała?

– A jak dobrze znał pan Annę Mielczarz?

– Nooo... pracowaliśmy razem. - Jacek wytarł spocone dłonie o dzinsy, co nie uszło uwadze komisarz Tańskiej.

– Iylko pracowaliście? – Uniosła brew.

Cholerna baba, pomyślał, a głośno powiedział:

– Nie tylko...

Lidka sprzątała salę konferencyjną po zebraniu. Wszyscy byli bardzo wstrząśnięci zamordowaniem Anny. Gdy dziewczyna pojechała do domu Mielczarzowej, była już tam policja, którą wezwała siostra zamordowanej. Jedna z policjantek, chyba jakaś komisarz, przesłuchała Lidkę, mierząc ją zimnym spojrzeniem niebieskich oczu. Dziewczyna musiała naprawdę nieźle się natrudzić, aby utrzymać na twarzy maskę sierotki Marysi, ale dała radę. Ta sama policjantka przez pół dnia maglowała szefa, który wychodząc z gabinetu nie ukrywał irytacji. Teraz przeszedł jak burza przez korytarz i zatrzymał się, wpatrując w Lidkę.

– Co ty tu jeszcze robisz? – Zmrużył oczy, a jego wzrok przesunął się po ciele dziewczyny.

– Sprzątam. Już kończę – odparła cicho, schylając głowę.

Rude pasemko włosów wysmyknęło się z grubego warkocza i zatrzymało na policzku dziewczyny. Jacek uniosł brew, a na jego twarzy pojawił się wyraz zaskoczenia, jakby coś właśnie odkrył.

– Zostaw to. Dużo dzisiaj przeżyłaś. Wszyscy przeżyliśmy.

Podszedł bliżej i delikatnie odgarnął zbłąkane pasemko, patrząc na piegowate policzki dziewczyny. Coś mu to przypomniało, ale wspomnienie tak szybko jak się pojawiło, tak szybko ulotniło do najdalszych zakamarków umysłu. Teraz wiedział jedno. Ta dziewczyna była naprawdę śliczna i aż dziw bierze, że dopiero teraz to zauważył. Lidka zeszytywniała i wyprostowała się, patrząc stojącemu blisko mężczyźnie prosto w oczy. Dostrzegł w jej wzroku coś, co go onieśmieliło. Powstrzymało. Cholera! Sam nie potrafił opisać tego dziwnego uczucia. Odsunął się.

– Hm... – odchrząknął, zagryzając usta i patrząc na dziewczynę z góry. – Tak... Kończ i wychodź. Późno już – mruknął, odwrócił się i mamroczał coś po nosem, wyszedł.

Lidka oparła się dłońmi o stół i ciężko wypuściła powietrze, nie zdając sobie sprawy, że do tej pory je wstrzymywała.

– Dla ciebie na pewno, gnoju – wyszeptała przez niemal zaciśnięte usta i

zamknęła oczy, błagając czas, aby szybciej płynął i aby to wszystko wreszcie się zakończyło.

Komisarz Tańska, wraz z komisarzem Langiem, podjeżdżała pod biurowiec, w którym znajdowało się biuro firmy Finance&Home, należącej do Jacka Księżaka. Nawiasem mówiąc, właściciel zaczynał mieć coraz poważniejsze kłopoty, bo oto została zamordowana kolejna jego pracownica – Weronika Kowalewska, lat dwadzieścia osiem, rozwódka. Pracowała w firmie od pięciu lat. Była zdolną graficzką, ale nie to interesowało Tańską. Wielokrotnie była widziana podczas wysiadania z czarnego bmw x5, prowadzonego przez wysokiego, przystojnego faceta o zniewalającym spojrzeniu brązowych oczu. Którego zresztą wścibska sąsiadka widziała czasami późnym wieczorem, gdy opuszczał mieszkanie Kowalewskiej.

– Czy ten facet zalicza wszystkie swoje pracownice? - Lang pokręcił głową, robił sobie osobisty, wysoko wykwalifikowany haremik. - Tańska zaparkowała na podziemnym parkingu.

- Taaa, niezła recepta na sukces..

- Pogadaj ze starym, może zacznie więcej dziewczyn do firmy przyjmować. - Tańska wyduła wargi.

- Ty mi wystarczysz. - Lang wyszczerzył się, na co kobieta o twarzy anioła a oczach diabła pokazała mu wyciągnięty środkowy palec i ruszyła w stronę wind.

- Jak zawsze subtelna – Lang mruknął do siebie, ale podążył za swoją partnerką.

Komisarz Tańskiej nie podobało się to, że krótko przed śmiercią obydwie ofiary spotkały się ze swoim szefem. Z którym zresztą łączyło je coś więcej niż tylko podległość służbowa. Księżak miał alibi, słabe bo słabe, ale było. Mógł być problem z podważeniem go w sądzie, więc policjantka wolała być ostrożna i postanowiła jeszcze raz porozmawiać z panem prezesem.

Jacek nie rozumiał, co się dzieje. Bał się każdego nadchodzącego dnia, bo jego pracownice znikwały jak przewracające się kostki domina, a on nie mógł tego przyjąć do wiadomości. I nie chodziło tutaj o to, że kiedyś coś go z nimi łączyło. Oczywiście był zszokowany, nie rozumiał, nie przyjmował do wiadomości. Ale jeszcze bardziej przestraszony był tym, że policja coraz bardziej zaczynała się nim interesować. I to w sposób, który przyprawiał go o dreszcz przerażenia.

- Jasna cholera, jasna cholera... - mamrotał, szukając czegoś w szafce z dokumentami.

Nie mógł znaleźć tego, czego szukał, więc nie kryjąc zdenerwowania, zawołał swoją asystentkę, Karolinę.

- Gdzie jest teczka z życiorysami ludzi z ostatniej rekrutacji?

Karolina uśmiechnęła się i oblizała wargi.

- Nie wiem skarbie. To wszystko jest takie straszne, ale chyba przyjedziesz dzisiaj do mnie?

- Wiesz, mam inne rzeczy na głowie niż ty - warknął, obrzucając ją wrogim spojrzeniem. I w tym samym momencie w drzwiach stanęła Tańska, w której wzroku nie mógł nie dostrzec rozbawienia.

Ciekawe, czy byłoby ci tak wesoło, gdybyś leżała pode mną, cwaniarol!, pomyślał i od razu poczuł się lepiej.

Karolina wyszła z naburmuszonym wyrazem twarzy, a Tańska weszła do środka, nie czekając na zaproszenie. Niemal w tej samej chwili pojawiła się Lidka, niosąca gruby segregator.

- Do diabła, czy mój gabinet to pieprzona obwodnica? Co tu się dzieje? — Księżak rozłożył ręce i zmrużył oczy ze złości.

- Przepraszam. Przyniosłam te życiorysy, o które pan prosił. — Lidka położyła dokumenty na biurku i nie patrząc na swojego szefa, czym prędzej się wycofała i zamknęła za sobą drzwi.

Jacek chciał ją zawołać, bo zrobiło mu się żal dziewczyny i ponownie ogarnęło go pragnienie, aby poznać ją bliżej. Jednakże teraz czuł na sobie upierdliwe spojrzenie komisarz Tańskiej, której nic nie umykało, więc zauważyła pełen zniecierpliwienia wzrok, jakim obdarzył Karolinę i pełen zainteresowania, jakim taksował tę rudowłosą nieśmiałą dziewczynę.

Taaa, pan prezes zarzuca wędkę na nową rybkę w swoim stawiku, pomyślała policjantka, a głośno powiedziała:

— Chcielibyśmy przejrzeć komputery, na których pracowały obie zamordowane dziewczyny.

Jacek skrzywił się na to słowo, bo jednoznacznie określało sytuację. Jego pracownice wcale nie zniknęły, bo - na przykład - wyjechały do innego miasta, ale po prostu ktoś pozbawił je życia.

— Dobrze, zabierzcie wszystko, co pomoże wam zakończyć sprawę. To bardzo źle wpływa na pozostałych pracowników i w jeszcze gorszym świetle stawia firmę - powiedział twardo.

— Pana troska o to, abyśmy dorwali zabójcę lub zabójców, jest doprawdy przejmująca.

— Dobro firmy jest dla mnie bardzo ważne. I ludzi też — dodał szybko po krótkiej chwili wahania.

— To widać! — Tańska potrząsnęła głową i powoli wyszła z gabinetu.

Jacek zacisnął usta i powstrzymał się od komentarza cisnącego mu się na usta. I

tak miał kłopoty, więc musiał sobie darować złośliwe komentarze, zwłaszcza w stosunku do kobiety, która patrzyła na niego jakby był kawałkiem śmiecia.

– Pewnie dawno nikt jej porządnie nie przeleciał – mruknął i to wytłumaczenie było dla niego jasne i zrozumiałe. Bo jak mógłby istnieć inny powód takiego zachowania?

Kolejnych kilka dni upłynęło całkiem spokojnie, tak jakby nic się nie wydarzyło, tak jakby nie było zabójstwa dwóch kobiet pracujących w jednej firmie. Jacek dostrzegł, że Lidka ma naprawdę dobre pomysły i jest zawsze w pobliżu, kiedy on jej potrzebuje. Doszło nawet do tego, że wzywał ją, a nie swoją asystentkę Karolinę, kiedy chciał jakiegokolwiek pomocy. I w sumie dobrze, że tak robił, bo nie minęło siedem dni od zamordowania Weroniki, kiedy znaleziono Karolinę z przetrąconym karkiem.

Tańska ze swą ekipą znowu opanowała całą firmę Księżaka i nakazała zamknięcie centrali, co spotkało się z Szokiem, oburzeniem i oczywistą nienawiścią, zwłaszcza ze strony właściciela. Zespół śledczy był już prawie pewien, kto jest zabójcą, potrzebowali jedynie jakiegoś dowodu, który byłby nie do podważenia przez obronę. Pomoc przyszła sama. Dosłownie.

Tego dnia Księżak siedział w firmie jeszcze długo po wyjściu całego zespołu. Chciał popracować w samotności i zastanowić się nad swoją sytuacją, a także sytuacją firmy. Trzy osoby z jego kadry zginęły w niewyjaśnionych, jak dotąd, okolicznościach. Kto będzie chciał z nim pracować, skoro ta firma zamieniała się pieprzony Trójkąt Bermudzki, w którym ludzie rozpływali się w powietrzu?! No, może nie dosłownie, ale na pewno znikali ze świata żywych. Poza tym, spojrzenia pozostałych pracowników i ciągłe pojawianie się Tańskiej, w momentach najmniej odpowiednich, całkowicie wyprowadzało go z równowagi. Teraz siedział przy swoim biurku z twarzą ukrytą w dłoniach i starał się skupić na równomiernym oddychaniu. Jego ciało też zaczynało się buntować, a ciągły stres sprawiał, że ostatnio miał problem ze złapaniem głębszego oddechu. Nagle usłyszał delikatne pukanie do drzwi gabinetu. Uniósł głowę i napotkał zielone oczy Lidki, które patrzyły na niego ze strachem. Od razu przypomniał sobie, kim tak naprawdę jest, wstał i uśmiechnął się swoim firmowym uśmiechem.

– Jeszcze tutaj jesteś? - spytał, okrążając biurko i nie spuszczać wzroku z dziewczyny.

O tak. Kochał to uczucie. Tuż przed polowaniem. Wspaniała sprawa! To przypominało mu, że ciągle żyje.

Dziewczyna drgnęła, spojrzała mu w oczy i za chwilę uciekła wzrokiem. Poczł nagłe podniecenie. Była naprawdę rozkoszna w tej swojej nieśmiałości.

– Tak, ale już kończę. Nie chciałam panu przeszkadzać – odparła cicho.

– Ależ wcale mi nie przeszkadzasz. Lidko... – Gdy usłyszała swoje imię, utkwiła w Jacku przenikliwe i wcale nie nieśmiałe spojrzenie.

– Tak? – Uśmiechnęła się leciutko.

– Naprawdę. Cieszę się, że nie jestem sam. Zwłaszcza... po tym wszystkim – westchnął i teatralnie przewrócił oczami.

– No tak... Te morderstwa... To straszne. To robi jakąś... chora osoba – powiedziała poważnie.

– Nie mówmy o tym. – Jacek machnął ręką, jakby tym gestem mógł odsunąć widmo trzech zamordowanych kobiet. – Co powiesz na kolację? – Uniósł brew i oparł się o ścianę, tuż nad głową dziewczyny.

– Kolację? Ja... – Uniosła głowę i jej usta znalazły się niebezpiecznie blisko jego warg.

Nie mógł odrzucić takiego ewidentnego zaproszenia. Przywarł mocno do jej lekko rozchylonych ust. Poczł dziwne mrowienie. Po chwili odsunął się i potrząsnął głową.

– To było... dziwne... – wyjąkał.

Lidka uśmiechnęła się krzywo, odeszła trochę dalej i nagle, zupełnie niespodziewanie, wzięła zamach i z całej siły uderzyła głową o róg szafy z dokumentami.

– Jezu! – krzyknął i podbiegł do sianiającej się na nogach dziewczyny. – Oszalałaś?!

Lidka zaczęła się cicho śmiać. Gęsty strumień krwi spływał jej po oku i policzkach i po chwili zaczął skapywać na białą bluzkę, tworząc niepowtarzalny wzór. Oblizwała usta, smakując własną krew, i spozrzała na niego z taką nienawiścią w oczach, że zrobiło mu się słabo.

– Oczywiście, że to nie ja oszalałam - powiedziała czystym i pewnym siebie głosem, akcentując każde słowo.

– To ty. I dlatego zabiłeś te wszystkie dziewczyny.

Jacek stał wpatrzony w zakrwawioną dziewczynę i miał wrażenie, że całe ciało mu stężało i już do końca życia nie będzie mógł wykonać choćby najdrobniejszego ruchu. Nie mógł nawet drgnąć ani wykrzesać z siebie najcichszego dźwięku.

– A teraz chciałeś zabić mnie. Nie mogąc zapanować nad swoim szaleństwem i pragnieniem boskiej władzy, jaką miałeś, zabierając im życie, przestałeś nad sobą panować. I rzuciłeś się na mnie jak zwierzę.

– Jezu... – Poblady mężczyzna zaczął rozglądać się po pokoju, jakby szukał pomocy.

– Zaatakowałeś mnie i zraniłeś. Ale na całe szczęście...

– Lidka podeszła bliżej i złapała Jacka za nadgarstki - policja już dawno miała cię na oku, a zgromadzone dowody... wskazują na ciebie... – wyszeptała dziewczyna, znowu zbliżając usta do ust osłupiałego mężczyzny.

I niemal w tym samym momencie w jego uszy wdarł histeryczny krzyk Lidki, która zaczęła się szarpać, wciąż trzymając go za ręce. Nagle drzwi do gabinetu wyleciały z hukiem i do środka wpadła chmara czarnych postaci z wyciągniętą bronią, a tuż za nimi komisarz Tańska, uzbrojona i ubrana w kamizelkę kuloodporną. Lidka została wyrwana z objęć Jacka, a on sam rzucony z wielką siłą na ziemię. Poczł, jak wykręcają mu ręce, a gdy na nadgarstkach zaciśnięto mu mocno kajdanki, zrozumiał, co się z nim dzieje. Zaczł się szarpać i krzyczeć, ale wtedy ujrzał przed oczami twarz Tańskiej, która kucnęła i patrzyła na niego przymrużonymi oczami.

- Skończyło się twoje polowanie, Księżak. To już koniec. Twój koniec - uśmiechnęła się i kiwnęła do grupy uderzeniowej, żeby wyprowadziła mordercę trzech kobiet.

W drugim pomieszczeniu, owinięta w koc Lidka cierpliwie znosiła opatrywanie rozbitej głowy i próbowała opanować drżenie rąk. Tańska podeszła do dziewczyny i powiedziała z lekkim uśmiechem.

- Świetnie się spisalaś. Dziękujemy ci za pomoc. Ale miałaś krzyczeć, gdyby tylko się do ciebie zbliżył. Zdążył cię zranić...

– Był silny... To wszystko... stało się tak szybko – Lidce załamał się głos.

– Jasne. I tak byłaś bardzo dzielna. Bez ciebie nie udało by się zebrać ostatniego dowodu na to, że to był Księżak Jesteś odważną kobietą. - Komisarz poklepała Lidkę po ramieniu i wyszła.

Dziewczyna patrzyła na wychodzącą policjantkę, uśmiechnęła się do siebie i wyszeptała:

– Dla ciebie, mamó.

Księżak siedział w areszcie, czekając na proces. Wszystkie dowody wydawały się bardzo mocne, oskarżenie było pewne wyroku skazującego, a obrońcy rozkładali ręce. Tańska dostała nagrodę za ujęcie psychopatycznego zabójcy, I Lidka została uhonorowana przez prezydenta miasta.

Teraz dziewczyna pakowała się i szykowała do wyjazdu. Nie chciała tutaj zostać. Już wszystko, co miała do zrobienia, zrobiła. Teraz mogła wyjechać i zacząć nowe życie. Uwolniła się od ciężącego widma niedokończonej sprawy.

– Spakowana? – Zielonooki rudowłosy chłopak spojrzł w takie same zielone oczy zapatrzanej w walizkę dziewczyny.

- Tak. To, co najważniejsze mam. – Lidka uśmiechnęła się.
- To możemy jechać. O czym myślisz?
- O jego reakcji.
- Była taka, jak się spodziewaliśmy. Uważam, że to było ryzykowne odwiedzać go w areszcie.
- Byłam ostrożna. Spytałam go tylko, czy pamięta zielonooką Marię Bartnik, która pracowała z nim dwadzieścia lat temu. I wiesz co? On pamiętał! Tu mnie akurat zaskoczył.
- Powiedziałaś mu, że ma syna i córkę?
- Tak Powiedziałam, że Maria urodziła bliźnięta. A wkrótce po porodzie zabiła się. I że mam nadzieję, że kiedyś jego dzieci odnajdą go i zemszczą się za zniszczenie życia ich matce i za zamordowanie ich dzieciństwa. – Lidką zacisnęła zęby.
- Nie myśl o tym, siostrzyczko. On zniszczył naszą matkę, my zniszczyliśmy jego. – Zielonooki chłopak objął drobną dziewczynę.
- Tak - szepnęła Lidka z pasją, a jej szczęki wściekle pulsowały. - On zamordował naszą niewinność, skazując nas na biduła, my zamordowaliśmy jego kochanki, skazując go na dożywotnią odsiadkę.
- Równowaga i sprawiedliwość, pamiętaj siostró.
- Pamiętam, braciszku. Sprawiedliwość i zemsta... – Lidka przytuliła się do brata i uśmiechnęła szeroko. – Sprawiedliwość i zemsta, tatuśku.

Wrocław, marzec 2011

Gaja Grzegorzewska

ZABAWY PRZY TORACH

– Tylko wróć przed zmrokiem!

Słowa matki nie dotarły już do Małego. Zatrzasnął drzwi. Zbiegał, pokonując dwa stopnie na raz. Na klatce schodowej unosił się zapach kapusty, starego tłuszczu i przypalonych ziemniaków. Taki sam od lat, taki sam z każdego mieszkania. Mały skrzywił się i z pogardą splunął na ścianę. Tuż obok napisu „czescie spida dziwki”. Gardził tym zapachem, tą klatką schodową, tym powojennym bloczkiem i swoją matką, z jej udawaną troską i głupimi uwagami.

Drzwi wejściowe skrzypnęły. Mały wyszedł przed blok z rękami w kieszeniach i skierował się ku miejscu, które niegdyś było placem zabaw. Usiadł na trzepaku i wzdrygnął się z zimna. Mroźne styczniowe powietrze przebijało się przez jego lichą kurtkę, którą matka kupiła mu w duchowni. Wyjął z kieszeni wymiętą paczkę po papierosach, a z niej niedopalonego papierosa, którego przezornie zostawił sobie na później. Puste pudełko rzucił w śnieg. Palił, słuchając krakania wrony, siedzącej nad nim na drzewie. Kra, kra, kra. I tak w kółko. Kra, kra, kra. I od nowa.

Wracająca z zakupów sąsiadka zmierzyła go pełnym oburzenia wzrokiem.

– Masz dwanaście lat i już palisz, smarkaczu? Powiem twojej matce. Nie urośniesz i będziesz już zawsze takim karzełkiem jak teraz!

Mały strzyknął śliną w błotnisty śnieg, przyglądając się jej bezczelnie. Kobieta przyspieszyła kroku, a chłopak odwrócił się w kierunku placu zabaw, skąd docierało miarowe skrzypienie kroków na śniegu. Damian zbliżał się powoli, niedbałym krokiem. Mały zazdrościł mu tego kroku. Ten krok był demonstracją siły, ustalał hierarchię. Mały skurczył się odrobinę. Dopiął zamek błyskawiczny pod samą brodę. Zamknął się szczelnie w wiatrówce. Damian stanął przed nim i kiwnął na powitanie głową. Miał na sobie nową, modną kurtkę na snowboard; z futrzanym kapturem i różnymi bajerami.

– Czekam, gnoju – warknął cicho Mały.

– Musiałem zjeść obiad, matka nie chciała odpuścić.

Mały odkleił się od lodowatego trzepaka i pstryknął niedopałkiem w dal.

– Chodźmy.

Pan Henryk siedział w milczeniu przy stole, wsłuchując się w zbyt głośne cykanie ściennego zegara. Jednostajny rytm zamieniał się w jego głowie w głupią

melodyjkę. Cyk, cyk, cyk. Grał zegar w głowie Henryka. Cyk, cyk, cyk. Jak preludium.

Powoli, niechętnie spojrział w dół na talerz z resztkami ziemniaków umazanych zakrzepłym, zimnym sosem, na którym utworzył się już pomarszczony, tłusty kożuch. Wstał, wziął talerz z niedokończonym obiadem i szklankę po herbacie i poczłapał do kuchni. Zgarnął resztki do kosza na śmieci. Umył talerz, szklankę i sztućce. Wytarł je starannie i ułożył na suszarce. Wrócił do salonu i usiadł w fotelu, rozpościerając przed sobą gazetę. Otworzył ją na stronie z artykułem, który zaczął czytać przed obiadem. „Potwór z blokowiska”, tak prasa nazwała mordercę. Znalaziono drugą dziewczynkę. Osiem lat, ładna blondyneczka. Pierwsza też była ładna. Wzrok mężczyzny powędrował na ścianę, gdzie, pomiędzy zdjęciami pana Henryka w galowym mundurze policyjnym i zdjęciami jego zmarłej żony, wisiała oprawiona w kolorową ramkę fotografia Kasi. Liche włosięta oblepiały za dużą głowę, wyłupiaste oczy patrzyły prosto w obiektyw, za duże usta odślaniały w uśmiechu dziąsła z małymi ząbkami. Wnuczka Henryka nie była ładna.

Komisarz Aaron Goldenthal siedział przy swoim biurku i ze zmarszczonymi brwiami czytał raport sierżanta Nowaka. Nie zauważył, że popiół z papierosa brudzi i tak niezbyt czysty dywan. W końcu zgasił niedopałek w przepelnionej popielniczce. Odłożył papiery na bok. Po chwili zgarnął je na kupkę i wyszedł z pokoju.

Szefa zastał nad poranną kawą ze słodkim rogalikiem. Stary zlizywał właśnie truskawkowy dżem, który ścieki mu na brodę. Przywołał Goldenthala gestem ręki i wskazał mu fotel naprzeciwko siebie. Komisarz, zanim usiadł, strzepnął z fotela okruszki, by nie pobrudzić swego nowego, drogiego garnituru. Stary wpatrywał się chwilę w przystojną, ale pozbawioną wyrazu twarz podwładnego, po czym odezwał się.

- 1 jak, Goldenthal, są jakieś rezultaty?

Komisarz milczał. Po chwili odezwał się niezadowolony.

- Niebawem. On zabija praktycznie pod naszymi oknami.

Obaj jak na komendę wyjrzeni przez okno. Po drugiej stronie ulicy Mogilskiej sterczały nowe ohydne bloki, a za nimi kuliły się mniejsze, szare, powojenne. Po lewej za drzewami ciągnął się wał kolejowy. Usłyszeli gwizd pociągu i miarowe dudnienie. Już dawno przywykli do tego dźwięku. Komisarz mruknął:

- Co za miejsce! O tej porze roku jest jeszcze brzydsze!

- Nie przywykliście do takich slumsów, co Goldenthal?

— wtrącił złośliwie szef, po czym dodał już bardziej przyjaźnie: - Mamy tam naszego człowieka, emerytowanego śledczego Henryka Jasło. Warto z nim

porozmawiać. W końcu jest stamtąd. Jasło ma wnuczkę, chyba w wieku tych dziewczynek. Musi się interesować sprawą.

Mały i Damian w ostatnim momencie odskoczyli przed nadjeżdżającym pociągiem, który teraz z hukiem przetaczał się obok nich. Mały potknął się, złapał Damiana za poły kurtki i razem ześlizgnęli się kilka metrów w dół nasypu, zgniatając krzaki i suchą, wystającą spod śniegu trawę.

- Moja kurtka, zniszczysz! — wrzasnął Damian, wrywając się z uchwytu.

Mały w odpowiedzi wziął do ręki garść śniegu i rzucił nim w twarz kolegi.

Damian odplącił się tym samym. Chwilę szamotali się, a ich wrzaski tłumił toczący po torach pociąg. Gdy przejechał, Mały zerwał się i pacnął Damiana w głowę.

- Chodź, zobaczymy, jak nasze życie.

Wbiegli na nasyp. Przeszli po torach, patrząc uważnie pod nogi. Wreszcie Damian krzyknął uradowany. Po chwili zbierali metalowe kulki i napychali sobie nimi kieszenie.

— Gówniarze, nie łaźć po torach! — usłyszeli krzyk z dołu.

Zerknęli niechętnie i zobaczyli jakiegoś rozjątrzonego staruszka. Mężczyzna stał u podnóża nasypu i wygrażał im jedną z kul, na których się opierał.

— Spierdalaj, dziadu! Obsrany łach! — wrzasnął Mały. Staruszek odszedł, mamrocząc coś pod nosem, a chłopcy pośmiali się chwilę. Gdy zeszli na dół, Mały zapytał z wahaniem:

— Idziemy?

— Trochę dzisiaj zimno. Zobaczymy, jak tam będzie

— odparł Damian i nagle zawołał, puszczając się w bieg:

— Kto ostatni, ten chuj!

Henryk spoglądał na swoją wnuczkę i jej koleżankę. Dobrze wiedział, że Kasia przyszła do niego po pieniądze. Patrzył na nią z niechęcią. Dziewczynka nawet nie potrafiła udawać kochającej wnuczki.

Obie siedziały na kanapie, majtały nogami i popijały herbatę, którą dla nich zrobił przed chwilą. O szklanki pobrzękiwały metalowe koszyczki i łyżeczka, której Kasia nie wyjęła. Łyżeczka raz po raz dziobała ją w oko, ale jej zdawało się to nie przeszkadzać. Dziewczynki szeptały coś na ucho, chichocząc. Nagle Kasia spojrzała na Henryka chytrym wzrokiem.

— Dziadkuuuu — zaciągnęła piskliwie — da dziadek dyszkę, mama poszła do pracy, a ja nic nie mam.

Koleżanka odwróciła roześmianą twarzyczkę. Musiała być trochę starsza od Kasi. Pod obcisłą, różową bluzeczką rysowały się już drobne piersi. Dziewczynka

patrzyła zalotnie, jakby była świadoma swojej budzącej się kobiecości. Na szyi nosiła kryształowe, infantylne serduszko. Pasowało do niej. Kasia miała nową opaskę wysadzaną jakimiś świecącymi kamyczkami. Opaska zdawała się boleśnie uciskać jej za dużą głowę. Dziewczynki wpatrywały się w Henryka wyczekująco. Henryk bez słowa poszedł do swojego pokoju i wrócił stamtąd z portfelem.

Kasia i Ewa wyszły ze sklepu pod filarkami z siatką pełną słodyczy. Ponure styczniowe popołudnie powoli dobiegało końca. Dziewczynki ruszyły skutą brudnym lodem ścieżynką w kierunku torów.

- Chodźmy na działki - zaproponowała Ewa.

Skręciły w lewo. Przeszły pod nachylonym drzewem, wokół którego walały się puszki po piwie, stare gazety i jakieś szmaty. Na dróżce przed nimi stała wrona i dziobała jakiś mięsny ochłap. Spłoszona pofrunęła w górę, siadła na drzewie i rozkrakała się, niespokojna o cenny przysmak. Kra, kra, kra. Kasia spojrzała na wronę. Kra, kra, kra. Dziewczynka kopnęła mięso daleko w krzaki.

Pod garażem dobrze znany im menel oddawał mocz na ścianę, przyglądając się dziewczynkom. Parsknęły śmiechem i przebiegły obok niego. Prześlizgnęły się na teren działek. Szły wolno wśród zniszczonych, brzydkich domków, o których właściciele dawno zapomnieli albo o które nie chciało im się już dbać. Jeden z nich wyglądał nieco porządniej niż reszta. Ewa nakazała Kasi, aby ta była ciszej. Skradały się, powstrzymując się nawzajem od chichotów, ale zdradzał je skrzypiący pod stopami śnieg. W domku paliła się świeczka. Dziewczynki okrążyły chatkę i skuliły się pod okienkiem. Chwilę nasłuchiwały. Ewa ostrożnie podniosła się i zajrzała do środka. Kasia naśladując koleżankę zrobiła to samo. Nędzna świeczka słabo oświetlała zagracone wnętrze. Nagle Kasia zaczęła chichotać i, nie mogąc się dłużej powstrzymać, zaśpiewała na całe gardło piskliwym głosem.

— Mały gnój, w pysku chuj, co za kaskę ciągnie laskę!

— Zamknij się, głupia! — zgromiła ją Ewa i uderzyła otwartą dłonią w niekształtną głowę. — Zjeżdżaj stąd!

Z ciemniejszego nieba zaczął padać drobny śnieg.

Ewa śmiała się, a śmiech miała wdzięczny i czarujący. Odstawiła butelkę z piwem na podłogę i włożyła papierosa do pięknie wykrojonych ust. Popatrzyła na Małego i Damiana, trzepocząc długimi rzęsami.

— Podpal hrabinie szluga — mruknął Mały.

Damian podał jej ogień. Dziewczynka zaciągnęła się i opadła na stary materac, z którego wychodziły sprężyny i kłaki. Paliła w spokoju, chichocząc co jakiś czas. Damian usiadł obok niej i obserwował ruch jej ręki prowadzącej papierosa do ust. Usta wydawały lekkie pyknięcia i ręka wędrowała w dół. Ewa robiła dzióbek i

wypuszczając elegancką smużkę dymu. Teraz Damian obserwował popiół niebezpiecznie przechylający się w dół. Papieros palił się wolno. Popiół opadł na popękane linoleum. Ewa znowu zachichotała. Mały otworzył drzwi i wykopał pustą butelkę na świeży śnieg.

– Kurwa, znowu pada – mruknął, po czym obrócił się do Ewy. – Co się, kurwa, śmiejesz ciągle! Po chuj żeś przyprowadzała tu tę szmatę z wytrzeszczem?

Damian ocknął się. Popatrzył na Małego, potem na Ewę, która nie sprawiała wrażenia przejętej.

– Kaśka to plotkara – stwierdził wolno.

– Wszystkim powie – dodał ciszej Mały.

Ewa usiadła wyprostowana, rzuciła na ziemię niedopałek i energicznie zgmiotła go obcasem.

– Ona nic nikomu nie powie – odezwała się wolno i uśmiechnęła do chłopców, odślaniając przy tym równe białe zęby.

Przez noc napadało akurat tyle śniegu, aby przykryć cały brud, który obnażyła ostatnia odwilż. Komisarz Goldenthal wyszedł z bloku numer dwa. Podobno był to najstarszy blok na tym osiedlu. Czuł ulgę, że nie musi mieszkać w takim miejscu. Przeszedł pod filarkami i skierował się w stronę torów. Nie wziął samochodu. Tym skrótem droga na komendę zajmowała pięć minut. Popatrzył na tył bloku. Prawie niewidoczna pod warstwą brudu tabliczka podawała nieaktualną informację: ulica Marchewczyka. Ulica od lat miała inną nazwę.

Komisarz szedł z rękami w kieszeniach, słuchając chrzęstu śniegu pod butami. Myślał o Henryku, emerytowanym policjancie. Henryka martwiły te bestialskie zabójstwa, smuciło go, że ktoś roztrzaskuje dziewczynkom głowy i masakruje im buzie, że ktoś tak bardzo ich nienawidzi, że zamienia ich głowy w krwawe miazgi. Ale były policjant nie znał tych dziewczynek, to nie były koleżanki Kasi. Zresztą wnuczkę widywał nieczęsto, chociaż mieszkała na tym samym osiedlu. Pan Henryk nic nie wiedział o tej sprawie. Nic nie chciał wiedzieć. Był na emeryturze.

Komisarz nie myślał o prowadzonym przez siebie śledztwie. Myślał o Henryku wyglądającym przez okno, mruczącym | rezygnacją, cicho, do siebie, nie do swojego rozmówcy: „Tu już nic dobrego nie wyrośnie, to jałowa ziemia. Te stare domy, starzy ludzie, lub młodzi, ale już jakoś starzy. Te dzieci o twarzach naznaczonych starością. To wszystko pachnie grobem. Pachnie trupiarnią. I te nowe brzydkie bloki, one też będą wylęgarnią tych żywych trupów. Najlepiej byłoby to wszystko zburzyć, zniszczyć, zrównać z ziemią. I już nic nigdy tu nie budować”.

Śnieg znowu zaczął padać. Jeszcze dwa miesiące zimy. Potem brudne szare

przedwiośnie, a potem odwilż. Popatrzył na ścieżkę, którą szedł. Na wiosnę na pewno zamienia się w rzekę błota.

Znowu zapowiadali nadejście wielkich mrozów. Komisarz pomyślał o swoim pięknym, ciepłym domu. Dziś Julia przyjdzie do niego i może zostanie na całą noc, a tuż przed świtem znajdzie jakąś wymówkę, by uciec.

Był już prawie przy światłach, gdy zadzwoniła komórka.

– Kto do was dzwonił? – zapytał Goldenthal młodego policjanta okutanego w szaliki.

– Sprawdzamy, telefon był anonimowy, Marioli wydawało się, że to było dziecko, przestraszone, to ono znalazło.

– Policjant był zdenerwowany. Komisarz pomyślał, że chłopak jest bliski omdlenia. Skrzywił się z niesmakiem, obserwując bladą, ospowatą twarz z czerwonym od zimna nosem. Przysyłają z tych szkół niedouczone, strachliwe niedojdy, pomyślał. Nie ma z nich pożytku, wciąż trzeba im wycierać te zasmarkane nosy. Następne pytanie zadał ostrzejszym tonem:

– Chłopiec czy dziewczynka? Dzwonił chłopiec czy dziewczynka?

– Zdaje się, chyba chłopiec, dzieci mają takie podobne głosy.

Komisarz jeszcze raz popatrzył uważnie na zwłoki, po czym odwrócił wzrok od pozbawionego twarzy ciała dziewczynki, przy którym ukląkł teraz lekarz. Goldenthal wyszedł przed altankę. Wysoko nad jego głową przeleciał klucz ptaków, kracząc i kwiląc. Kra, kra, kra. Ciekawe, czy coś widziały, pomyślał. Kra, kra, kra. Ocknął się. Robota czekała.

Rozejrzał się. Na działki przedostały się już tłumy, napierając na białą- czerwona taśmę. Powoli sunął wzrokiem po tych postaciach, jakby chciał zapamiętać każdą twarz. Ciekawskie, zbulwersowane gęby. Niektóre zapłakane i przerażone. Niektóre kryjące zachwyty pod maską poruszenia. Czy wszystkie właśnie takie? Czy ci wszyscy ludzie tak właśnie czują?

Na drzewie siedziało dwóch chłopców, jeden z nich podawał rękę dziewczynce, która także pragnęła zobaczyć więcej. Wzrok komisarza napotkał spojrzenie mniejszego z chłopców, harde, cyniczne i zimne. Wyrachowane spojrzenie młodego starca, o którym mówił Henryk. Nagle chłopiec zmieszał się i spuścił wzrok. Komisarz odwrócił się do swoich ludzi i rzucił.

– Popytam w tłumie. .

Mały i Damian szli po torach, milcząc.

– Wścibski gliniarz - mruknął Mały. - Po chuj się przypierdolił, ale raczej nie wie, że to my dzwoniliśmy.

- Ja dzwoniłem - poprawił Damian.

– No ty, ty, jasne, po chuja w ogóle? Po co nam kłopot? Zobaczysz, będzie z tego jakieś gówno.

Damian szarpnął Małego za rękę i odwrócił go w swoją stronę.

– A co? Co? Co ci się nie podoba?

– To nie nasza sprawa, po chuj się mieszać? – Mały wyrwał rękę z uścisku Damiana. Był zły.

– Ale to Ewa, Ewa! – zawołał nagle Damian żałośnie, oczy mu się zaszklily.

Zatrzymał się i spuścił wzrok na szyny pokryte cienką warstewką śniegu.

– Zajebał ją ten psychol, trzymajmy się od tego z daleka – powiedział ostrożnie Mały.

Nigdy nie widział Damiana w taki stanie. Nie wiedział, jak się zachować.

Po twarzy Damiana spływały łzy. Mały zmarszczył brwi i wykrzywił się z niesmakiem. Stali w milczeniu. Mały zgarniał stopą śnieg z szyn.

Nagle Damian wyszeptał:

– To ty, ty ją zabiłeś, pieprzona cioto, zawsze jej nienawidziłeś, bo Ewa była moja! I ja ją kochałem. Była moja! Zabiłeś ją! Zabiłeś ją!

Powtarzał te słowa, jakby się nimi upajał. Powtarzał je ciągle na nowo, aż zamieniły się w niezrozumiały bełkot. Mały patrzył na kolegę zdziwiony, z rosnącą irytacją. W końcu warknął:

– Zamknij się! Pojebało cię? Co ty pierdolisz?

Szyny lekko zadrżały, w oddali słychać było zbliżający się pociąg. Damian odpowiedział po chwili, spokojniejszym tonem, starannie dobierając słowa:

– Byłem u ciebie wczoraj później wieczorem, koło dziewiątej. Twoja mama powiedziała, że cię nie ma. To wtedy ją zabiłeś.

- Byłem w domu - odezwał się Mały dobitnie. - Po prostu nie chciało mi się z tobą gadać. Zejdźmy, pociąg jedzie.

Odwrócił się, włożył ręce do kieszeni i przekroczył szynę. Poczł szarpnięcie, Damian był większy i silniejszy. Na twarzy Małego odmalowało się zdziwienie, potem ból i jeszcze coś. Coś, co Damian miał zapamiętać na zawsze.

Damian biegł co sił w nogach w kierunku komendy. Łzy spływające mu po twarzy mieszały się z krwią, ale on o tym nie wiedział. U uszach miał ogłuszający zgrzyt hamującego pociągu. Ktoś za nim biegł. Ktoś krzyczał strasznie.

Henryk czule pogłaskał Kasię po cienkich włosach i ucałował, zanim jeszcze przekroczyła próg. Myślał o dziewczynce, którą znaleziono poprzedniego dnia, i o tym chłopcu, który zmarł dziś rano w szpitalu. A Kasia żyła. Postanowił, że kupi jej coś ładnego. Pierwszy raz od dawna czuł spokój. Poszedł do kuchni nastawić

czajnik na herbatę. Nasypał ciasteczek na talerzyk i wrócił z nimi do pokoju.

Henryk nie słyszał gwizdka czajnika, patrzył na Kasię, która zdjęła kurtkę i siedziała na kanapie, czekając na herbatę. Uśmiechała się, odsłaniając małe, ostre zębki. Na jej cienkiej szyi dyndało kryształowe, infantylne serduszko. Henryk oparł się o ścianę i powiedział cicho:

– Wszystko zburzyć, zrównać z ziemią.

Marcin Pilis

TRANSAKCJA

Zdjęcie

Miała hardy wzrok i delikatną, dziecięcą twarz. Głowa przechylała się nieznacznie na prawe ramię, przykryte w połowie ramiączkiem jasnej sukienki w kolorowe prążki. Żadnego uśmiechu, usta zaciśnięte w wąską linię, na policzkach niepotrzebny puder.

Karol Cichowski siedział oparty o niską ławę i przyglądał się fotografii, raz po raz strzepując popiół z papierosa. Miał przed oczami moment bezradnego sprzeciwu, chwilę złości uchwyconej w milisekundzie prawdy. Kontemplacja trwała już dłuższy czas i w pokoju wyczuwało się narastające zniecierpliwienie.

– Ładne – powiedział po namyśle. - Wieczorem możesz ruszać.

– Muszę wcześniej. Im się spieszy, bo podobno nie tylko my jesteśmy zainteresowani.

Mariusz Rolek wypowiedział te słowa z niepokojem w głosie, a Karol Cichowski był przekonany, że młodzieniec wic, co mówi. W takich sprawach potrafił zachować się jak prawdziwy fachowiec.

– Dobrze, nie ma co zwlekać. Jedź od razu. Tylko pamiętaj, umawialiśmy się.

– Jasne, nie ma problemu.

Kiedy kilka minut później Karol Cichowski został sam, jeszcze raz sięgnął po zdjęcie. Na odwrocie nieporadnie skreślone litery składały się w napis: Paula.

Przyjrząwszy się dokładniej, mruknął coś pod nosem. Dziewczynka rzeczywiście była taka, jak zapewniał Mariusza ten obleśny typ; wprawdzie trochę zepsuta biedą, wymięta, ale przecież wszystko można naprawić. Zwłaszcza oczy robiły ogromne wrażenie: wyzywające, przesiąknięte szczególnym odcieniem pogardy, jaka rysuje się na twarzach nieskażonych dziewcząt, tych wczesnych nastolatek dopiero odkrywających najgłębsze sedno własnej kobiecości. Na chwilę uwolnił wyobraźnię i pozwolił, aby przeniknął go rozkoszny dreszcz. Odległe obrazy zabłyśły w jego pamięci, a dłoń mocniej ścisnęła zdjęcie.

Ileż to lat, ileż to lat upłynęło?

Podniósł się z głębokiego fotela i pomasażował dolne partie pleców. Każdego dnia przyrzekał sobie, że wymieni meble, ale stare, zbyt miękkie dla niego kanapy i

fotele do tej pory stały w wielkim pokoju biurowym. Sentymenty, to one za to odpowiadały. Owe melancholijne skłonności, jakich przyplływ ostatnio u siebie zauważał, a które dodatkowo podsycił dumny wzrok dziewczynki z fotografii. Dziś nie mógł już wątpić, że całe życie zatacza koło. Za młodu chciało się ubić starość, zrzucić ją w przepaść, aby nie torowała drogi swym zmartwiałym obliczem, gdy zaś starość wreszcie objęła ciało w czułym uścisku, to właśnie młodość wkracza nieproszona, z miną zwycięzcy, narzuca się i nie pozwala zapomnieć o tym niekończącym się rodzeniu, nieprzerwanym kopiowaniu pokoleń.

Karol Cichowski przesuwiał się przez środek swego wielkiego gabinetu i mocno ścisnął zrobioną kilka godzin wcześniej fotografię dziewczynki o imieniu Paula. Podszedł do biurka, pamiętającego czasy międzywojenne, wsunął zdjęcie do szuflady i zamknął ją na klucz. Drobiazgi gromadzone od wieków. Małe przedmioty, pozornie bez znaczenia, a jednak utrwalające nieubłagany kondukt lat. Dokumentacja ważna jedynie dla niego, i tak nikt inny by tego nie zrozumiał. Te wszystkie chusteczki, stos czarno- białych i kolorowych fotografii, fragmenty porwanych ubrań w osobnym pudełku – kiedy je tam wsadził? – błękitna oprawka okularów, kilka pierścionków, kosmyki włosów zmieszane z wąskimi i szerokimi wstążkami, miniaturowa maskotka z pluszu, karteczki z naprędce pisanym wołaniem o pomoc. Przedmioty te, jak i wiele innych, nadal leżały bezpiecznie w suchym i odgradzonym od reszty świata wnętrzu.

Co się z nimi stanie, kiedy któregoś dnia będzie musiał odejść?

Dopił koniak, co poprawiło mu nastrój. Teraz był już spokojny. Myśl o spotkaniu z tą dziewczynką niosła fizyczne zadowolenie, coś, czego prawie nie pamiętał. Znudzony resztką życia, jaka się przed nim rozciągała, sądził, że pierwotny zew – świadek jego najszczęśliwszych wyznań - zamarł w nim i nigdy nie powróci. A jednak działo się inaczej. Zdjęcie obiecywało wiele. Paula, imię nie za ładne, wolałby coś klasycznego. Ale to było nieistotne, może ją nazwać jeszcze raz, ma do wyboru tyle imion. Ogarnęła go niezmierna radość.

Zerknął na zegarek. Dochodziła szesnasta. Za pół godziny miał się stawić na komisji Rady. Trzeba się spieszyć. Karol Cichowski nie był człowiekiem, który dopuszczał spóźnienie większe niż dwie minuty. Otrząsnąwszy się z myśli, założył marynarkę i płaszcz, zgasił lampkę i opuścił pokój.

Sekretariat zanurzony był w ciemnej czerwieni. Gosia podniosła głowę, gdy tylko przekroczył próg, i uśmiechnęła się zza biurka. Formalnie taktowna, tak jak należy, przepisowy uśmiech, choć oczy ani trochę nierozweselone.

Karol Cichowski dobrze to widział, nic nie umykało jego spojrzeniu; dobrze rozpoznawał mowę ciała swojej sekretarki. Była to mowa nieprawdziwych gestów,

wymuszonej mimiki, pełna służbowych ruchów i póż. Ale to nie przeszkadzało mu ani trochę. Nawet lubił świadomość, że Gosia najchętniej opuściłaby to biuro i więcej nie wracała, gdyby tylko mogła. Gdyby mogła.

Odwzajemnił jej uśmiech, dopinając guziki płaszcza.

– Gosiu, dziś mnie już nie będzie, więc najlepiej zamknij i możesz udać się do siebie.

– Oczywiście, panie prezesie.

Panie prezesie! Już mocno się utarło, aby tytułować go w ten zbędny i śmieszny sposób.

– Dziękuję.

W oczach młodej kobiety rozjarzyła się iskierka czegoś, co w równej mierze mógłby uznać za przejaw radości, jak i największej obłudy. Od dawna już godził się, że dziewczyny, którym dawał na chleb, nie darzyły go nawet cieniem sympatii. Zresztą, wymaganie podobnych wariactw uznawał za głupotę. Wiedział, że nie da się skłonić kobiety do ciepłych uczuć, jeśli ona ich w sobie sama nie roznieci. Wszystko inne jest zaledwie udawaną rolą dokładnie taką jaką każdego dnia odgrywała dla niego Gosia.

Nie przejął się więc, że dziewczyna z trudem skrywa zadowolenie na myśl, że jego obecność zostanie jej tego wieczoru oszczędzona. Byłby półgłówkiem, próbując zmuszać swoich podwładnych do czegoś więcej niż obowiązek bezwzględного posłuszeństwa; do niczego zresztą nie mogło mu się to przydać. Poza tym tego wieczoru miał skonkretyzowane plany, które mógł zrealizować wyłącznie z dala od tego miejsca.

Skłonił się Gosi i z lekko drwiącym uśmiechem wyszedł na korytarz. Zamienił kilka słów z postawnym mężczyzną siedzącym za drzwiami, poklepał go po ramieniu i ruszył przed siebie. Po chwili był już na schodach wyściełanych czerwonym sukniem. Kilkanaście stopni i znalazł się u drzwi. Na zewnątrz panował chłód, dlatego, zanim opuścił budynek, szczelnie owinął się szalikiem. Człowiek z ochrony nacisnął klamkę i Karol Cichowski wyszedł na zewnątrz.

Budynki po drugiej stronie drogi tonęły we mgle, szarówka powoli przechodziła w mrok, oblekając świat ciemnym kurzem nocy. Głęboko wciągnął mokre, czyste powietrze i rozejrzał się wokół. Rozpadające się bloki pod lasem skrywała mgła, ale myśl o nich jak zwykle zaprzątęła mu głowę. Za późno na remont. Gdyby podjął decyzję trzy, cztery lata temu, być może udałoby się je uratować, ale teraz stopień rozkładu zaszedł zbyt daleko. W grę wchodziło tylko wyburzenie.

Wsiadł do samochodu i powoli ruszył. Obraz dziewczynki ze zdjęcia przesunął się przed jego oczami. Niewinność, rzecz najcenniejsza na świecie, otulała jej

postać niczym niewidzialna chmurka, zupełnie jakby stanowiła najcenniejszy ryzsztunek, zbroję chroniącą przed złem nocy i dnia. To była czysta radość życia, magia niepowtarzalnego zespolenia urody, młodości i siły, właściwa wyłącznie niewielu podobnym istotom. Karol Cichowski wiedział, że taka chmurka niewinności, zaledwie wyczuwalny obłoczek, to nie ochronny puklerz, ale zdradliwa przynęta na upiory, przed jakimi nie można się obronić.

Rozsiadł się wygodnie i uchylił szybę. Papierosowy dym natychmiast ulotnił się z kabiny. Pewien trzydziestoparoletni lekarz stanowczo zabronił mu palenia, ale Karol Cichowski nie dowierzał lekarzom, a najbardziej nie dowierzał młodym ludziom, którzy twierdzili, że lepiej wiedzą, co dla niego dobre. Minał odrestaurowane budynki gospodarcze, dwa postawione własnymi środkami domy i po chwili opuścił miasto.

Jego miasto.

Wskrzeszone z martwych.

Dom Pauli

Ona nie jest moją mamą. Wczoraj podsłuchałam, jak rozmawiała z nie moim tatą. Mówili o mnie. Najpierw myślałam, że to nie o mnie, bo rozmawiali o jakiejś „niej”, ale tak jakby inaczej niż zwykle, i brzydko się pokłócili. Nie znoszę, kiedy się kłóca, muszę wtedy uciekać pod dach, żeby nie mogli mnie widzieć. Lubię tam być, gdy nie mogę chodzić do szkoły.

Wczoraj pierwszy raz nie uciekałam. Kiedyś widziałam na filmie, jak dziewczynka skrada się i słucha, co mówią rodzice, a potem płacze, bo oni nie chcą już być razem. Nie moja mama i nie mój tata będą razem zawsze. Będą zawsze ze sobą. Tylko ze sobą. Aż się pozabijają.

Słuchałam ich długo, tak długo, aż nie słyszałam nic, tylko ich wrzask. W domu nie moich rodziców jest dużo wrzasku. Są dni, że mówią jak im ciężko i że świat jest taki zły, że muszą się mordować dzień w dzień, i jeszcze ona – czyli ja – zjada darmo, bo nic nie robi. Piją wtedy wino i omawiają poważne sprawy. Kiedy nie piją, milczą i wtedy jest spokojnie, i nawet z osobna są przyjaźni dla mnie, pytają o różne rzeczy i o szkołę. To się kończy, gdy przestają milczeć.

Bo nie moi rodzice już tak mają.

Aż do wczoraj nie wiedziałam, że ona nie jest moją mamą. Podejrzewałam coś, lecz nigdy nie spytałam jej o to. Teraz już wiem, że ona jest taka sama jak nie mój tata. Patrzyłam przez uchylone drzwi i widziałam, jak nachyla się w jego stronę i mówi:

– Moja też nie jest! I nie gadaj mi tu głupot, że mnie co trzyma. Ja wiem, co tobie chodzi po głowie.

A nie mój tata zaczął się śmiać, tak się wykrzywił nieładnie i zaczął kaszleć. Kiedy przestał, to powiedział:

– Zrobimy to razem, kobieto.

Ciągle nie wiem, co chcą razem zrobić. Oni rzadko robią coś razem, chyba że akurat mówią do siebie o tych ważnych sprawach, a potem się brzydko kłóca, albo kiedy oglądają, co jest w telewizorze. Czasami jestem z nimi i też oglądam. Kiedy byłam mała, oglądałam często, ale teraz już wyrosłam - tak mówi nie moja mama - i nie potrzebuję na te głupoty patrzeć, bo od tego tylko się za młodu głupieje i złe rzeczy po głowie chodzą dziewczynom, za dużo sobie wyobrażają, różne fju bździu im się zaraz chce, i to takie teraz młode, a już nie wiadomo co. Nie moja mama powtarzała mi, że muszę być porządna. Jak nie będę porządna, to źle skończę, a od oglądania nie będę porządniejsza. Często mi to mówiła. Kiedy byłam jeszcze mała, zapytałam, co się robi, że się jest porządnym, a nie moja mama powiedziała:

- Słucha się swojej matki. Porządna dziewczyna za matką pójdzie w ogień.

Nie rozumiałam, jak to jest iść w ogień za matką, i dlaczego właściwie matka miałaby wchodzić do ognia, ale pewnego dnia prawie pojęłam, co chciała powiedzieć. Kładłam się, kiedy nie mój tata wszedł do mojego pokoiku. Był jakiś dziwny. Od razu położył palec na wargach i cicho podszedł do mojego łóżka. Ja już leżałam. Cuchnął winem. Myślałam, że chce mnie skarcić, bo jak się upił, to lubił karcić.

Teraz to ja cię skarcę — mawiał to lub coś podobnego, idąc już w moją stronę. A potem szczypał. Mocno i w różnych miejscach, zaciskał palce tak, że na drugi dzień nadal miałam sine ślady, spoglądał na mnie i pytał: no i co, no, jak ci? Jak ci teraz? Jednak tego wieczoru nie chciał mnie karcić. Od razu wyczułam, że jest inny niż zwykle. Byłam zdrętwiała, taka się zrobiłam jakby twarda, jak moje stare lalki w kątach, i nieruchoma, bo jego wzrok był jak sznur, a potem jego ręka zacisnęła się mi na buzi. Coś mówił, rzeził tak jakby, ale nie rozumiałam nic. Wtedy ucisnął mi pierś i zaczął gładzić. Byłam mniejsza i ta pierś to wcale nie była pierś, bo była jeszcze bardzo mała, a jednak on gładził i zbliżał usta do mojego ucha. Potem przesunął rękę i włożył mi do majtek. Miał szorstką i wielką dłoń z grubymi palcami. Te palce zawsze wyglądały jak krótkie napuchłe kiełbasy. I wtedy poczułam, jak on tymi palcami przesuwają i naciskają mnie tam między nogami, i udało mi się krzyknąć. Zacisnął mocniej dłoń i zaczęłam się dusić. Wtedy rozsunął spodnie, coś powiedział, ale nie słyszałam co, bo nagle ogarnął mnie całą jakiś szum, taki głośny szum, jakby z morskiej muszli. A on chwycił moją rękę i

powiedział:

– No, dotknij... dotknij se...

I coś jeszcze mówił, ale nie słyszałam więcej, bo szum przeszedł w trzask. Za chwilę to był zgrzyt i tak, jakby mnie miało od tego zgrzytu ogłuszyć na zawsze. A potem nagle poczułam, jak jego ciężar słabnie i zobaczyłam nie moją mamę.

– Ty skurwysynu jeden, ty! Ty gnoju zjebany! Przecie to jeszcze młode! Gdzie te łapska, gdzie?!

Nie moja mama kazała mi iść za sobą. Nie chciałam, a ona wtedy powiedziała:

– Jak ci mówiłam? Porządna masz być! Zobacz, coś narobiła! Pójdiesz ze mną raz!

Pomyślałam, że pewnie teraz pójdziemy w ogień, ale nie moja mama zaprowadziła mnie do łazienki. Słyszałam, jak nie mój tata śmieje się i coś mówi, że jeszcze dzisiaj zatańcują.

Nie moja mama kazała mi się rozebrać i zaczęła mnie tam oglądać i macać. Potem wypuściła powietrze i powiedziała:

– Oj, w ogniu się będziesz smażyć, i on, i ty.

Próbowałam wytłumaczyć jej, że nie chciałam, żeby nie mój tata przychodził do mnie.

– Też pójdiesz do ognia.

A kiedy spytałam, czy pójde tam za nią, chlasnęła mnie w głowę.

– Nie być bezczelna, dziewczyno!

Dzisiaj jestem starsza i rozumiem, że nie moja mama chciała powiedzieć coś innego. Ale przecież ja nie mogę za nie moją mamą iść w ogień. Bo nie moja mama mnie nie kocha. Ona już tak ma.

Kiedy wczoraj pierwszy raz nie uciekłam, drżały mi nogi. Bałam się ruszyć, żeby nie usłyszeli, że podsłuchuję. Ale i tak zobaczyli. Mówili właśnie, że muszą to zrobić, bo już w tym życiu chuj ich strzela jeden, a żyć przecież trza. Oni często tak mówią. Że ten chuj ich strzela. Podobnie mówią moi koledzy z klasy. Ale ja nie. Nie chcę tak mówić jak nie moi rodzice, nie chcę się bawić w to, czego żądają ode mnie w szkole chłopaki. Od czasu, kiedy opanował ich szal macania dziewczyn, zmienili się całkowicie. Pamiętam, jak szłam do domu, a oni zaczaili się za jakimś domem. Było ich dwóch, z równoległej klasy. I jak tylko mnie przygnietli, od razu zaczęli macać. Ze wszystkich macań, jakie przeszłam, to było najgorsze. Macali mnie wszędzie i mocno, chyba chcieli rozebrać, a jeden z nich wyciągnął to swoje coś i przystawił mi do twarzy, a ja nie rozumiałam, o co mu chodzi. Wtedy ten drugi zaczął nagle macać tak mocno, że musiałam krzyczeć, bo gniótł mnie między nogami bez opanowania, jakby coś go zamroczyło. Nagle ktoś ich wystraszył i

pobiegli. Wiedziałam jednak, że to nie koniec, nie ostatni raz. Prawie wszystkie dziewczyny były już wymacane i prawie wszyscy chłopcy macali, nawet tacy, że trudno ich o to posądzać, ich mamy na pewno bardzo ich kochały i nigdy by w to nie uwierzyły, a nawet jakby uwierzyły, to byłyby z nich dumne. Najgorzej było po roratach. Stali często całymi grupami i rzucali się na dziewczyny nieraz od nich dużo starsze, a jak było trzeba, gonili do upadłego, przewracali i zaczynali macać. Macali lasem rąk, a te ręce walczyły z sobą o kawałek cipki, przepychały się jak zgłodniałe węże.

Dawno temu powiedziałam sobie, że nie będę mówić jak oni. Ani tak, jak nie moi rodzice, bo nie mój tata jest taki sam jak chłopaki z klasy, tylko ma większe paluchy.

Zobaczyli mnie, że stoję za drzwiami i przestali mówić. Tylko wpatrywali się we mnie, jakbym była zjawą, a ja wpatrywałam się w nich i nie byłam w stanie się poruszyć. Wokół wisiał gęsty dym z papierosów, a żarówka dawała to smutne ciemnożółte światło, od którego przychodzą złe myśli. Chciałam biec na górę, pod dach, i żeby zapomnieli od razu, że ich podsłuchałam i już tam sobie dalej tylko siedzieli, a ja pójdę cichutko i tak jakby mnie nie było. Ale nogi miałam jakby przymurowane do podłogi i nagle zachciało mi się sikać. Próbowałam wytrzymać, ale oczy nie mojego taty były jak oczy diabła, spoglądał tak strasznie, że popuściłam tam pod drzwiami i poczułam, jak siki płyną mi po nogach.

Wtedy nie moja mama wstała od stołu. Miała chwiejny chód, jednak szła szybko, prosto w moją stronę. Otworzyła szeroko uchylone drzwi i maznęła mnie ręką w twarz. Poczułam jej kości na policzku. Złapała mnie za włosy, zaczęła potrząsać i krzyczeć, myślałam, że za chwilę walnie moją twarzą w ścianę. A wtedy nie mój tata odciągnął ją. Szamotała mu się w rękach, wyrывała i wiem, że chciałyby rzucić się znowu na mnie i wyszarpać, i zbić. Chciałyby mi złorzeczyć i wyzywać. Ale nie mój tata na to jej nie pozwolił. Po kilku minutach uspokoiła się. Usadził ją na krześle i powiedział:

– Co robisz, kobieto?! Kurwa! Po coś ją jebła? Jak jej teraz wyjdzie jakiś kurwa bąbel, jakieś limo, czy chuj tam wie co, to co będzie? Pojebało cię?

A nie moja mama tylko siedziała, podpierając czoło ręką, i odepchnęła go od siebie. A potem powiedziała:

– Zamknij się, ty głupcu! Gównno z tego rozumiesz!

Nie mój tata: Zrób coś z tym!

Nie moja mama: Odwal się.

Nie mój tata: Kurwa, ja z tym coś zrobię.

Nie moja mama: Nie! Nie dotykaj jej! Zostaw, będzie dobrze, nie bój się.

Zacząła palić i nie patrzyła już na mnie więcej, a nie mój tata kazał mi iść do siebie, bo go nerwy wezmą. W pierwszej chwili nie mogłam oderwać stopy od podłogi. Wydawało mi się, że tam wrosła, że ją ktoś przybił do deski.

Nie moja mama zachłannie paliła, pociągała raz po raz długie, głębokie machy. Nie mój tata znowu kazał mi iść do siebie. Udało mi się wreszcie przesunąć stopę, a wtedy nie moja mama odwróciła do mnie głowę i powiedziała:

— Idź, dziecko, idź. Potem przyjdę do ciebie.

Tak łagodnie to powiedziała, że nagle chciałam do niej podbiec albo żeby ona przyszła teraz już od razu do mnie; jednak powoli odwróciłam się i poszłam do łazienki. W oczach nie mojej mamy szklily się łzy, ale nie wiem dlaczego i czy to przypadkiem nie z mojego powodu.

Zasnęłam wczoraj, a dzisiaj obudziłam się i bolała mnie twarz.

Rano weszła nie moja mama. Zapowiedziała mi, że nie idę do szkoły, bo szkoły już mi wystarczy. Spytałam, dlaczego, przecież inni chodzą nadal. Odparła, że za dużo nauki dla takiej dziewczyny jak ja to tylko robi problemy, i że mam się iść wykapać, tylko dokładnie. Oglądnęła mi twarz pod światło i syknęła przez zęby, miała na czole jakąś ciemną smugę i zapytałam, czy coś jej się stało. Wtedy popatrzyła mi w oczy, objęła i mocno przytuliła. Nie pamiętam już, kiedy zrobiła to ostatni raz.

Kiedy już byłam czysta i wyschły mi włosy, nie moja mama przyniosła swoją kosmetyczkę. Musiałam usiąść do światła. Zamknęłam oczy. Nie moja mama pomalowała mi rzęsy i usta, a na policzek, gdzie mnie bolało, położyła dużo pudru. Chciałam wiedzieć, dlaczego to robi, przecież nie pozwalała mi się malować.

- Tata zrobi ci zdjęcie. Powinnaś ładnie wyglądać.

Zdjęcie. Nie moja mama nic więcej nie chciała zdradzić.

Moje zdjęcie było po prostu potrzebne.

Na dole czekał nie mój tata. Był ogolony; miał na sobie odprasowaną koszulę, spodnie w kant, o których nawet nie wiedziałam, że je ma, włosy zaczesane do tyłu, pokryte chyba jakimś żelem albo lakierem nie mojej mamy; pachniał płynem po goleniu o ostrym zapachu.

- No, no, jak ta lala.

Jego śmiech po chwili przeszedł w kaszel.

Nie mój tata zrobił mi dużo zdjęć. Kazał stawać w różnych pozach i raz się uśmiechać, a raz nie. Był w bardzo dobrym humorze i ciągle powtarzał, że zdjęcia będą kurewsko dobre, że ja to mam we krwi i niejeden jeszcze się znajdzie, co ze mną zatańcuje.

Tylko nie moja mama siedziała cicho. Przez cały czas nie odezwała się ani

słowem, patrzyła w okno, nie na nas. Wydawało mi się, że jest nie tutaj, w pokoju, ale w innym miejscu, jakby z dala. Nawet było mi jej żal i chciałabym ją pocieszyć, jednak nie chciałam denerwować nie mojego taty.

Później musiałam iść do siebie i tam siedzieć. Nie wiedziałam dlaczego nie moja mama zakazała mi wychodzić z pokoju, ale wolałam nie pytać. Po południu przyniosła mi obiad. Nadal się nie odzywała. Wreszcie po kolacji została ze mną.

Usiadła na łóżku obok i powiedziała, żebym się do niej przysunęła. Objęła mnie i przytuliła. To było dziwne i pomyślałam, że coś bardzo ważnego się zmieniło albo dopiero miało zmienić. Nie moja mama przytulała się mocno. Jeszcze nikt nigdy tak mnie nie ścisnął, ale było mi tak dobrze, że też ją objęłam i uścisnęłam. Przeszło mi przez głowę, że musiało się coś stać, bo od rana wszystko było inne niż zwykle. Pomyślałam, że nie moi rodzice się zmienili i może czekali, aż dorosnę, i kiedy już będę większa, to przyszykują mi taką niespodziankę, bo dorastająca córka to już nie małe dziecko i teraz muszą się zmienić, żebym i ja mogła się zmienić; pomyślałam, że to jest takie ogólne prawo między rodzicami i dziećmi, i w pewnej chwili ono odmienia całe życie, i wszystko staje się lepsze. Tak pomyślałam i zapomniałam już, że boli mnie policzek.

I wtedy, gdy tak się przytulałyśmy, a ja czułam ciepło jej ciała i bijące ciężko serce, nie moja mama powiedziała, że muszę opuścić ten dom.

- Musisz, moje dziecko. Musisz. Jeszcze dzisiaj.

Czułam jej gorący oddech. Nie moja mama nie puszczała mnie z objęć. Ścisnęła mocno i szeptała do ucha.

Pamiętka

Mariusz Rolek odebrał SMS- a tuż przed dwudziestą drugą, | wyczuciem wjeżdżając na zbyt wysoki krawężnik, i bardzo się zdziwił. Szef zazwyczaj wystrzegał się ujawniania dręczących go niepokojów, tłumił z dobrym skutkiem oznaki głębszych emocji, ale tym razem musiało ogarnąć go zniecierpliwienie nie do opanowania. Był podekscytowany i nie starał się tego ukrywać. Powiedział, że pojedzie na jakąś komisję, bo - jak twierdził - musi tam być, ale przecież wszyscy wiedzieli, że Karol Cichowski niczego nie musi, więc dla Mariusza była to oczywista zasłona dymna. Nie chciał, aby ktoś był świadkiem jego słabości, ale mimo to, nie mogąc się powstrzymać, wysyłał SMS- y z panicznymi - jak na niego - pytaniami: I jak? Załatwione?

Pewnie, że załatwione. Zawsze jest załatwione. Nawet, kiedy do prawdziwego załatwienia jeszcze kręta droga.

Mariusz zaparkował nieco dalej niż proponował GPS i odpisał, że jest na miejscu i zaraz załatwi sprawę. Załatwi sprawę! Też coś! Jak to brzmi! Niczym najczystsza nowomowa politykierskich krętaczy.

Pstryknął kluczykiem. W odpowiedzi samochód wydał z siebie dwa krótkie sygnały i zamrugał światłami. Oddalając się, Mariusz zerknął jeszcze, czy wóz jest dobrze ustawiony i jak się prezentuje w świetle latarni, a potem przeszedł na drugą stronę jezdni i z oddali przyjrzał się budynkowi.

Dom znajdował się przy jednej z bocznych ulic odchodzących od głównej arterii miasta. Musiał być postawiony jeszcze przed wojną i prawdopodobnie od tamtej pory nie zaznał zbyt wielu remontów. Po obu stronach górowały nad nim wysokie kamienice z wąskimi balkonami. Sprawiał wrażenie niezbyt obszernego, choć zajmował dużą powierzchnię. Stary tynk w kolorze ołowiu gdzieś odpadał, ukazując równe warstwy cegieł, przetykane siwo- białą zaprawą. Okna znajdowały się wysoko nad chodnikiem. Podkreślał je ciąg wystających parapetów i łukowate wykończenia u góry; we wszystkich zaciągnięto zasłony, w jednym paliło się światło.

Ulica o tej porze była całkowicie pusta — siała lekka mżawka i powiewał nieprzyjemny wiatr, co zapędziło ludzi do mieszkań.

Mariusz owinął szalik wokół szyi, rozejrzał się w obie strony i podszedł do drzwi. Wydawały się ciężkie, równie stare jak reszta domu, pokryte zwijającymi się pozostałościami dawno położonej farby. Nacisnął wielką klamkę, która kiedyś musiała błyszczeć złotem, i zagłębił się w mrocznej sieni. W środku załatywało skwaśniałym mlekiem. Zapach mieszał się z chłodną stęchlizną podsyconą mdławym odorem, zdradzającym obecność ściennego grzyba, a z głębi dochodził rdzawy zapach gnijącego metalu. Było tak ciemno, że widział tylko niewyraźne zarysy przed sobą. Na chwilę zawahał się i naraz przyszło mu do głowy, że coś tu nie gra, że został wciągnięty w zasadzkę, bo wszystko idzie tak dziwnie łatwo, niby zwyczajnie, ale jednak łatwo. Zatrzymał się pośrodku długiego na dwa metry przedsionka. Stał niezdecydowany, coś paraliżowało mu ruchy.

Po chwili z naprzeciwka dobiegł go zgrzyt, uchylły się drzwi i w smudze żółtego światła zobaczył głowę mężczyzny, który przyjrzał mu się badawczo, a potem kiwnął głową.

— No, włącz pan, włącz pan — powiedział zapraszająco i rozchylił szerzej drzwi. - Słyszałem, żeś pan wszedł.

Mariusz był jednak pełen podejrzeń, nie ruszał się i człowiek w drzwiach od razu dostrzegł jego wahanie.

— Coś pan, panie, sprawa czysta. No włącz pan — mężczyzna zachęcił go gestem

i dodał ściszym głosem: — Jak zdjęcie? Podobało się?

Facet uśmiechał się krzywo, jakby nie całkiem wierzył w to, co mówi. Mariusz poprawił kurtkę i wszedł do środka. Owionął go zapach mdlącego ciepła.

Kobieta przy stole paliła papierosa, zapatrzona w okno. Nie zwracała na niego uwagi. Od razu zauważył podkrążone oczy i czerwone smugi na twarzy, w miejscach, gdzie przesuwała dłonią, by zetrzeć wilgoć.

— Siadaj pan — powiedział gospodarz i zatarł ręce. - To jak, przyprowadzić?

Mariusz spojrzał na niego zimnym wzrokiem.

— Za chwilę, najpierw formalności. I wyłącz pan ten telewizor.

Rozejrzał się wokół. Pomieszczenie było czymś w rodzaju przedpokoju połączonego z kuchnią i salonem, choć to ostateczne określenie nieszczególnie pasowało do siermiężnego wyposażenia rodem z lat siedemdziesiątych. Mieszkanie urządzone było bez smaku. W jednym z kątów zauważył drewniane schody z misternie rzeźbioną, oryginalną poręczą. Marna pozostałość minionego wystroju. Reszta była tandetą. Bieda skrzeczała z każdego kąta. Pewnie starcza im od pierwszego do pierwszego, ale nic więcej, a często mniej.

— Panie, wiesz pan... ja to... my... - Mężczyzna usiadł przy stole i uporczywie wpatrywał się w Mariusza. - Zawsze możemy, jak co potrzeba, to przechować, czy co tam. jakbv co było, że... no bo teraz dom będzie wolny, nie? To można wykorzystać, tak se myślę...

— Dobra — przerwał Mariusz i położył na stół grubą kopertę. — Tu jest kasa. Licz pan.

— E tam, ja ufam, no... to my tu miejsca mamy dość...

— Człowieku, nie wiem, o czym gadasz. Ja załatwiam sprawę i po zabiegu. Aha! I tak, jak się umawialiśmy, znika wszystko, tak? No.

Kobieta, która do tej pory zdawała się pogrążona w swoich myślach, odeszła od stołu.

— Pójdę po nią — powiedziała.

Mariusz nie protestował. Znał to. Kobiety w takich sytuacjach tracą grunt pod nogami, a on wiedział, że tego nie da się zmienić, że to już tak jest. Pochlipią sobie trochę, po- chlipią, a potem i tak ich życie wypełni codzienna norma. Gary, dupa, dupa, gary. Niech idzie, niech przyprowadzi, niech ma tę satysfakcję, czy co tam chce, jemu to rybka. Im się wydaje, że wtedy jakoś tak się wzajemnie lepiej rozumieją, że jakieś połączenie między nimi się wytwarza, a my, że niby faceci, to głównie z tego pojmujemy, bo one mają w sobie coś takiego, czego my podobno nie mamy. Głupie pizdy, wszystkie takie same kurwy, jak się przypatrzy człowiek takiej, to jakby się patrzyło na maszynę, jak się zachowują, zawsze tak samo, to da

się przewidzieć prawie bez wyjątku, jakby je ktoś, kurwa, zaprogramował na takie, a nie inne zachowanie. Niech idzie, pochlipie tam sobie jeszcze, pochlipie, a potem chuj. Niech idzie.

Popatrzył na plecy kobiety i zjechał wzrokiem na pośladki i nogi. Nic specjalnego, łydki jakieś krzywe, niedobre, w ogóle baba już nie pierwszej świeżości. Co tam kiedyś miała, to już wszystko zużyte, wyjąłowione. Takich nie lubił, starał się ich nie zauważać, to nie był jego świat.

Mężczyzna pochwyił jego spojrzenie i, odczytując po swojemu sens myśli, zarechotał i powiedział głośno:

– Ma jeszcze trochę dupy, nie?

Mariuszowi żart nie wydał się zabawny, facet próbował zgrywać luźnego twardziela, ale był miękki, to wyczuwało się od razu. Zapalił i przesunął popielniczkę w swoją stronę. Przypomniał sobie, jak Karol powtarzał mu: „Trzymaj się z daleka od facetów, którzy głośno chwala swoje baby, nie ufaj typom”. I Mariusz nie ufał. Natychmiast stawał się podejrzliwy i odstawiał gościa, gdy ten próbował się spoufa- lić. Karol w takich sprawach miał rację. Skąd, lepiej nie pytać, ale dobrze wiedział, co mówi.

– Ale zobaczysz pan, jaka ta mała jest laseczka, no... że ho, ho. Ja już tam, wiesz pan, co nieco sprawdziłem...

– mężczyzna zamilkł, bo wzrok Mariusza niemal wstrzymał mu bicie serca. Zrozumiał, że przesadził. Lepiej gadać mniej niż więcej. Wyciągnął przed siebie ręce w geście niewinności. – Nie, nie... wszystko tam jest na swoim miejscu, ja niczego nie ruszyłem, po ojcowsku badałem sprawę, że tak powiem. Ale zaraz, gdzie one są? Pójdę, bo przecież, kurwa, nie zejda.

Mężczyzna już podnosił się z miejsca, ale Mariusz uniósł rękę i pokręcił głową.

– Siedz pan lepiej i policz kasę. Poczekam. I nie musisz pan towaru zachwalać, jak nie wiesz, jak się to robi. Nieważne. Zdjęcie było w porządku. Teraz czekamy.

Widział, że facet rwie się do koperty i tylko z najwyższym trudem powstrzymuje się przed zajrzeniem do środka. Dał mu wyraźną wskazówkę, żeby darował sobie bezsensowny dżentelmeński sznyt, ale mężczyzna albo tego nie pojął, albo postanowił męczyć się do końca w imię swojej psiej godności. Zerkał więc na kopertę raz po raz, przebierał palcami, a odkąd zamilkł, nie mógł zatrzymać rozbieganych oczu. W takich sytuacjach papieros był wybawieniem i pan domu palił jednego za drugim.

Przesiedzieli w milczeniu ponad kwadrans, kiedy dobiegł ich odgłos skrzypiących drzwi. Mężczyzna drgnął i szybko spojrzął w kierunku schodów prowadzących na piętro. Czoło pokryło mu się kropelkami potu, które natychmiast

zaczęły płynąć w dół.

Teraz, właśnie teraz, pomyślał Mariusz, właśnie teraz najbardziej się denerwuje. Dławi go lęk o to, że spirułka mi się nie spodoba, że zobaczą jakiś defekt i może zmienię zdanie. Boi się, dobrze, że się boi.

Mariusz najbardziej lubił momenty takie jak ten, gdy opiekunowie przeprowadzali pierwszą prezentację, wlokąc niechętnie dziewczeczki i uśmiechając się głupkowato. Wystraszeni w nie mniejszym stopniu niż dziewczyny, zmagali się ze świadomością, że pieniądze już zostały im wręczone, już poczuli rozkoszny ciężar, byli tuż- tuż wymarzonego pliku, całej hałdy szczęścia, jaka nagle miała zasypać ich oblesny żywot. A jednak, gdyby okazało się, że narybek w czymś nie odpowiada nabywcy, musieliby je oddać. Tak już się zdarzało. Po krótkiej ocenie Mariusz orientował się, że wcześniej pokazana fotografia przedstawiała kogoś innego lub była zbyt wyretuszowana. Wtedy mówił tylko:

– Pomyliliśmy się – i zgarniał kopertę z pieniędzmi.

Nigdy nie robił wymówek ani opiekunom, ani samej dziewczynie, gdyż wychodził z założenia, że chłodne milczenie ma wyższą cenę niż pusta gadanina, pozostawia bowiem po sobie znacznie głębszy strach i niepewność. Zdawał sobie sprawę, że gniew z powodu nieudanej transakcji skupi się głównie na dziewczynie, to ona wyrówna rachunki, pokryje straty, aby choć w części zrekompensować niepoznany ciężar koperty. Na to jednak nie mógł już nic poradzić i nawet gdyby mu zależało, nie podjąłby ryzyka. Odchodził spokojnie, ale już nie wracał. Opiekunowie byli spaleni.

Najpierw usłyszeli kroki, a Mariuszowi zdawało się, że doleciało go pochlipywanie, którego tak nienawidził. Nie pomylił się. Na schodach ukazała się zaryczana dziewczyna, próbująca powstrzymać płacz, co tylko wzmagало niepohamowany napływ łez i postępujące po sobie spazmy. Kobieta obok też miała wilgotne oczy, ale przynajmniej zachowywała się spokojnie.

Mężczyzna podniósł się z krzesła i podszedł do nich.

– No Paula, to jest pan, który cię zabierze.

Ujął ją pod ramię i podprowadził do stołu. Dziewczyna nadal łkała. Trzymała nieduży plecak, wypchany tak, że stał się niemal okrągły.

Co takiego ma w tym plecaku?, przemknęło Mariuszowi przez głowę. Pewnie to, co zawsze, rupiecie, bzdury, które i tak się jej odbierze, bo przeszłość musi być wymazana, odcięta grubą kreską, żadnych wspomnień, żadnych zbędnych związków z dawnym życiem. Nikt by sobie tego nie życzył. Nie o to w tym chodzi, że panienki mają jakieś swoje wspomnienia czy wizje, mogą sobie mieć nawet mistyczne przeżycia, byle tylko dupa była wypięta, kiedy trzeba, a buziuchna

rumiana i otwarta. Jest to tak proste jak pieprzenie za rogiem obskurnej kamienicy.

— Stań prosto — powiedział łagodnie.

Dziewczyna o imieniu Paula wyprostowała się i popatrzyła na niego, ocierając dłonią oczy. Ciekawe, czy przeczuwała, dokąd jedzie? Niektóre, głównie te starsze, nie miały wątpliwości, wydawały się nawet pogodzone z tym, co je spotyka, jakby im już nie zależało, bo właśnie pojęły, że nie ma nic trwałego, a miejsce, w którym akurat przebywają to tylko przystanek. Doświadczony w swoim fachu, Mariusz nie dziwił się, że w ich zachowaniach przejawiała się prawdziwa eksplozja uczuć, od paniki po smutek w kącie, znał to dobrze i akceptował, ponieważ potrafił wczuć się w położenie kogoś, kto doświadcza zdrady. On sam zapewne dziwnie by się poczuł, gdyby go na przykład Karol Cichowski sprzedał. Więc rozumiał te dziewczyny i znosił cierpliwie pierwszy impuls, powodujący płacz i temu podobne oznaki niezadowolenia, godził się na to wszystko, o ile tylko nie trwało zbyt długo. W przeciwnym razie, stosował powszechnie znane metody pacyfikacji opornych, choć zazwyczaj wolał tego unikać.

To była bez wątplenia dziewczyna ze zdjęcia, tyle że wyglądała na młodszą. W kategoriach towarowych oceniał ją wysoko, z takich panienek był pożytek przez długie lata. Świeża, jasna twarz, szczupła sylwetka, biodra wąskie, ale wyraźnie zarysowane, cycek na swoim miejscu, no i usta — pełne i jędrne, o jakich niejednokrotnie marzyli goście ze szczególnymi upodobaniami. Niewątpliwie dziewczyna o imieniu Paula byłaby dobrym interesem, dałoby się z niej sporo wycisnąć, jak nie tu, to tam, a po roku, dwóch, przesłać dalej.

Tyle że nie w tym przypadku, nie tym razem. Szkoda, że jej przeznaczenie miało być inne. Karol Cichowski zarezerwował ją dla siebie. Mariusz był jednak człowiekiem lojalnym, wypełniał polecenia sumiennie i bez niepotrzebnych pytań. Miał smarkulę przywieźć, to ją przywiezie, i nikt mu w tym nie przeszkodzi.

Jeszcze raz przyjrzał się dziewczynie i pomyślał, że gdyby nie zobowiązania, chętnie sam by ją przetrzebił, tak na początek, w sensie typowo przygotowawczym, żeby ją dobrze naoliwić przed okresem wzmożonej eksploatacji. Weszła już w odpowiedni przedział, taki w sam raz dla niego. Niewątpliwie była pociągająca i Mariusz był przekonany, że i tak wszystko potoczy się jak w przypadku innych podobnych niewiniątek.

— A to po co? — spytał, sięgając po złoty łańcuszek, zwisający z jej szyi. — Niepotrzebne są takie bzdury, dziewczyna jeszcze sobie krzywdę zrobi.

— To na pamiątkę — powiedziała kobieta, wysuwając się nieco do przodu. — Chciałam, żeby... żeby coś miała, żeby...

— Niech pani to weźmie, tu nie trzeba pamiątek — mówiąc to, zerwał łańcuszek i

położył na stole. Popatrzył jeszcze raz na dziewczynę, a potem zwrócił się do mężczyzny:

– Tak, jak się umawialiśmy. Będę czekał, tylko żeby to nie za długo trwało.

Powiedziawszy to, energicznym krokiem opuścił dom.

Kobieta i mężczyzna spojrzeli na siebie.

– Co ty, kurwa, z tą pamiątką? - spytał.

– Zamknij się!

Usiadła przy stole i wpatrzyła się w okienne zasłony. Mężczyzna sądził, że zaczęła płakać, ale były to tylko ciche pokastywania. Stał bezradnie, jakby nie wiedział, co robić.

– Zabierz ją stąd! – powiedziała nagle kobieta, odwracając ku niemu głowę. W jej oczach gromadziła się złość.

- Zabierz ją wreszcie!

Dziewczyna o imieniu Paula ścisnęła plecak. Nieznacznie zgarbiona, ze wzrokiem wbitym w podłogę, wydawała się taka jak zwykle, a jednak właśnie w tym momencie pojawiło się nieodwracalne rozróżnienie: o ile jeszcze dziś, zanim zeszła na dół, była częścią całości, ciągle należała do tego domu, o tyle od tej chwili ta dotychczasowa przynależność wyciekła z jej chudej postaci. Mężczyzna spoglądał na nią i uzmysławiał sobie z wolna, że patrzy na coś w rodzaju ludzkiego worka. Zaczął emanować od niej zapach obcości, spłoszonego zbiega. Spojrzał na nią, a później zasiadł za stołem i wyciągnął kolejnego papierosa.

– Siadź sobie – powiedział, wypuszczając dym. – No siadaj! Nie stój tak nade mną, bo to mnie wkurwia! Chwila i jedziemy.

Kobieta nagle podniosła się, przez moment stała obok nich, aż w końcu, nie mówiąc ani słowa, pobiegła na górę. Dziewczyna odwróciła za nią głowę.

– Zaraz, zaraz jedziemy – powiedział mężczyzna uspokajająco.

Jakby próbował w ten sposób zapanować nad tym, co się dzieje, jak gdyby parę słów miało zmienić ten wyjazd w zwykłą wycieczkę, po powrocie z której ciepły dom czeka otworem. Puszczął kłęby dymu i oglądał sufit.

Paula nie zareagowała.

Wpatrywała się tylko w swój kolorowy, wypchany plecak.

Trupy minionych lat

Było bardzo późno, a jednak nie chciało mu się spać. Może to telefon od Mariusza tak na niego podziałał. Po godzinie beczynnego leżenia zwlókł się z łóżka i poszedł do gabinetu. Ochroniarze spali jak susły.

Zapalił lampkę przy biurku i otworzył szufladę. Wyjął z niej kilka pudełek i zaczął przeglądać zawartość. Jak zwykle zakreślił dłońią na chybił trafił i po chwili trzymał skrawek niegdyś białej, dziś nieco pożółkłej tkaniny. Wiedział, na co patrzy. Serce zabiło mu mocniej.

Karol Cichowski nigdy nie mógł nadziwić się namacalności przedmiotów głęboko związanych z jakimś wydarzeniem z przeszłości. Fascynowała go nieuchwytna, a mimo to wyraźna łączność dotykanej właśnie rzeczy – choćby kawałka ubrania – z wzorcem minionego zdarzenia, jakie odbijało się w jego pamięci. Było coś oszałamiającego w czysto zmysłowym uczuciu przesuwania palcami po starych ściegach falbanki i jednoczesnym poddawaniu się porywom wyobraźni, wywołującej ze świata przeszłości ducha najbardziej wzniosłych przeżyć.

Od kilkudziesięciu lat gromadził cenne pozostałości po dawnych uniesieniach, miał tu całe fragmenty scen pięknych i koszmarnych, ale za każdym razem zsyłających tę samą ekstatyczną podniecie. Kochał się w starych fatałaszkach i przedmiotach codziennego użytku, upajał go widok finezyjnych dodatków do kobiecej garderoby, w których z czułością odnajdywał zapach świata sprzed dziesiątek lat; gotów był spędzać wiele czasu na trzymaniu w palcach liczącej pół wieku zapinki i szukaniu w marzeniach odległych dziś dźwięków, zapachów, bólu i rozkoszy wypełniających dawną chwilę, którą teraz wyrażał i nosił w sobie ten mały element damskiego przybrania. Obcowanie z masą drobiazgów, należących niegdyś do pięknych kobiet, było dla Karola Cichowskiego niczym modlitwa z paciorkami różańca trzymanymi w drżącej dłoni; każdy z nich oznaczał inną opowieść, choć zawsze tę samą rozkosz i to samo cierpienie.

W obszernej szufladzie leżały rzeczy drobne i subtelne. Miał tam ukryte całe swoje życie i życie niejednej kobiety. Szuflada była morzem niezbadanego i skarbcem czasu; to w niej tkwił czar wiecznej kobiecości, a kiedy Karol Cichowski zanurzał palce w jej ciemnej toni, wyciągając przypadkowo drobiazgi wymarłych godzin, materialna faktura świata pod palcami i pamięć obrazów – twarzy, gestów, barw, przerażenia, rozkoszy, uśmiechów i łez – spajały się w jedno szaleńcze wrażenie pełni.

Wtedy był szczęśliwy.

Przez wiele lat sądził, że całe życie było niczym swobodny, lekki dryf, że przeznaczona mu była raczej logika błędzenia niż jasno wytyczonego planu. Okazało się, że jest inaczej, że pod spodem, poniżej powierzchni fal, znajdował się ster wyznaczający kierunek, a on nie miał o nim pojęcia. Podejmował decyzje, wypełniał czynności z przeświadczeniem o wolności wyboru tylko po to, żeby na

koniec pojąć, że było to najprymitywniejszą, złudną wiarą w osobistą moc sprawczą. Lecz gdy zanurzał dłoń w szufladzie bez dna, rozumiał, że przeżył swoje dni w zgodzie z własnym wewnętrznym zegarem, a wszystko, co czynił, było już wcześniej naznaczone koniecznością.

Patrząc na kawałek białej halki, pokrytej już żółcią czasu, ruszył ku wspomnieniom tak odległym, że gdyby nie ów fragment ubrania, prawdziwy ich obraz zatarłby się i wyblakł i już nigdy nie dałoby się dostrzec upajających szczegółów.

Ciało dziewczyny, wygięte w łuk, poddające się jego delikatnym dotknięciom, oczy wpatrzone w niego, nieodrywające spojrzenia, ogromne, porażające przestrzenia, za którą już tylko przepaść, bezdenna otchłań, a on chciałby natychmiast zawładnąć tą otchłanią, wpaść w nią i objąć w tej samej chwili, wypełnić nią siebie samego, wchłonąć jej najgłębszy oddech. Dziewczyna spogląda w jego oczy; dziewczyna go kocha.

A potem zaciskanie palców, ból wokół zbyt krótko obciętych paznokci i niedowierzanie w jej oczach. Długie minuty potwornego wysiłku, zbielejące opuszki pod czerwieniejącą twarzą, aż po chwilę nieporównanego upojenia.

Jej i jego.

Karol Cichowski na zawsze zapamiętał ten pierwszy raz, kiedy jako chłopiec ujrzał oblicze śmierci. Nie umiałby odpowiedzieć, dlaczego tak się to skończyło, skąd wzięła się w nim ta nieoczekiwana potrzeba, a palce jeszcze długo trwały w nierozzerwalnym zacisku.

Opierając się łokciami o ciemny blat biurka, wpatrywał się w niewielki misternie wycięty kawałek halki – jedyny dziś świadek jego siły i słabości, i zarazem cenny przedmiot, pomagający mu przedrzeć się przez trupy minionych lat.

Kiedy zamknął szufladę, rozsiadł się wygodniej w fotelu i jeszcze raz zapatrzył się w zdjęcie dziewczynki o imieniu Paula. Cóż za delikatna szyja, pod którą bije ciepły puls. Już niedługo, jeszcze kilka godzin i będzie mógł wszystko.

Powrót

Złość rosła w miarę jak zbliżał się do domu. Znał to uczucie. Niejeden raz, kiedy wracał z picia wściekłość odzywała się głośniejsz z każdym metrem. Opuszczając knajpę albo mieszkanie znajomego, miał dobry humor, który powoli z niego uchodził, by – nie wiadomo jak – zniknąć zupełnie na widok starych, dębowych drzwi. Jakby ten jego stary dom, zapach niemalowanych od dawna pokoiów,

przyćmione światło kuchni, wszystkie sprzęty uzbierane przez lata harówki na budowach i postojach towarowych, wytwarzały w jego głowie bezgłośny zgiełk, kłęb cisnącego się zewsząd jazgotu, jakby nicowały całe wnętrza mroźną poświatą szaleństwa, nasycaly przestrzeń atmosferą gęstniejącego brudu, którym oblepione były ściany i cudza obecność, ich obecność.

Tak było i tym razem. Kiedy wjeżdżał na plac, jego głowę oplatała już znajoma czarna nić. Zaparkował ostro, niemal wjeżdżając w niski płotek ogródka. Wszedł tylnym wejściem. Stał głośno, świadomie potrącając wieszak z ubraniami i stół w kuchni.

Upił pół piwa z puszki i głośno sapnął, wypuszczając powietrze.

Gdzie ta kurwa?!

Zapalił papierosa i jeszcze raz pociągnął z puszki. Poszukał wzrokiem pilota, ale nigdzie go nie widział.

– Może byś tak, kurwa, zesła! Czy mam po ciebie iść?!

– krzyknął i zobaczył, że ręce lekko mu drżą.

Walnął w stół, aż podskoczyły stojące na nim szklanki.

Szybkie kroki zadudniły na schodach. Kobieta zatrzymała się na ostatnim stopniu. W jej oczach dostrzegł coś znajomego, czego całym sobą nienawidził, choć nie wiedział, co to jest i nie potrafił znaleźć na to nazwy. Zawsze, kiedy patrzyła na niego w ten sposób, czuł, jak budzi się w nim chęć, żeby złapać ją za te cholerne włosy i wytrząsnąć z niej całe to kurewskie nasienie, tę siedzącą w niej hardość i raz na zawsze nauczyć, gdzie może sobie wsadzić to swoje kiwanie głową.

Kobieta patrzyła na niego z politowaniem.

Zdawało mu się, że zaraz coś go rozedrze od środka.

– Gdzie jest pilot?!

– W dupie!

Nie bała się go, widział to wyraźnie. Nigdy się go nie bała. Zaklął jeszcze raz i nagle opanowało go dobrze znane drżenie, poczuł w ramionach elektryzujące impulsy, jakby mięśnie miały za chwilę wyskoczyć ze skóry. Nie mógł się już powstrzymać, zdławiona energia musiała się natychmiast wydostać. Trzepnął obiema rękami w stół. Raz, drugi, trzeci.

Czwarty.

– Gdzie jest, kurwa, pilot?! Bo cisicjee... – Z nerwów nie był w stanie się wystowić. Zacisnął pięści jak niewolnik udręczony niemocą. - Kurrrrrrrrrr...

– Bo co?! Spróbuj tylko do mnie podejść. - Kobieta stała nadal na najniższym stopniu schodów. Wiedziała, że najważniejsze to przetrzymać pierwsze minuty. Potem będzie spokojny. – Idź, umyj sobie mordę.

Mężczyzna jednak nie ruszał się z miejsca. Zauważyła, że tym razem jest inaczej niż zwykle.

– Gdzie Paula? – zapytała spokojnie.

Jego wzrok był pełen nienawiści.

- Jak, kurwa, gdzie?! - nadal ryczał jak zwierzę. - Chybaśmy ją, kurwa, oddali, nie?! Ty sobie tu, kurwa, siedzisz, i miętolisz, te swoje, kurwa, gówna, ale jak co do czego, to kurwa, ja muszę, tak?! Ja, kurwa! Ja! Zawsze, kurwa, ja!

Wydał się jej dziwnie groźniejszy niż zwykle. Wołała nie zadawać pytań, dlaczego ma porzbijaną twarz. Na to przyjdzie czas. Wycofała się powoli na górę, zdając sobie sprawę, że takim zachowaniem może wywołać w nim jeszcze więcej złości. W życiu jednego nauczyła się bardzo dobrze: mężczyźni nie znoszą, kiedy się ich w ten sposób ignoruje. To wzmacnia agresję. Powinna cierpliwie stać i czekać na koniec furii, ale jakaś nieodparta energia kazała jej postąpić inaczej, zostawić go we własnym ogłupiałym wrzeniu. Szła, ostrożnie stawiając kroki. Usłyszała, że przewraca się krzesło. Nie zatrzymała się ani na krok.

Tylko tu wejdź, to cię zabiję, ty gnoju.

Ale nikt nie wchodził. Na dole panowała cisza.

Wzruszyła ramionami i weszła do pokoju Pauli.

Na biurku leżała otwarta koperta.

Kobieta usiadła, sięgając po kolejnego papierosa. Czuła, że lekkie drapanie w zaschniętym gardle za chwilę wywoła atak kaszlu. Chrząknęła, ale gryzło ją coraz mocniej. Potrząsnęła głową i zaciągnęła się najgłębiej, jak tylko mogła.

– Pierdolę to – powiedziała.

Wyjęła z koperty plik banknotów spiętych gumką. Jeden z nich lekko wystawał. Pociągnęła za czubek i wpatrzyła się w liczbę.

Zwykle cyferki, do cholery! I te zera, jakby oczy Pauli.

Kobieta jeszcze raz zaklęła, wypuszczając dym.

Wystarczył jeden ruch, jedno szybkie targnięcie i dwa świstki papieru wylądowały na podłodze. Już po chwili miała w dłoni następny banknot.

Robert Ostaszewski

OSTATNIA KOŁYSANKA

Nataszy Goerke podziękowaniem za inspirację

1. listopada 2011 roku, wtorek, Półwysep Helski

Ołowiane chmury sunęły nisko nad taflą morza. Marecka niespokojnie zerknęła w szybę samochodu.

– Stary, pociśnij, bo nas ulewa złapie.

– Pociśnij, pociśnij – zrzędził Marecki. – Po co w ogóle było się tak spieszyć. Posiedzielibyśmy przy święcie z rodziną, pogadali jak ludzie.

– Taaa... i chlapanęli ze szwagrem po jednym - fuknęła.

– A przecież letniczki mamy.

– Jakie letniczki? Jest listopad!

– Nie głędź, Rysiek, jedź.

Marecki dla spokoju mocniej wcisnął pedał gazu, ale nie zamierzał milknąć:

– A poza tym, co to za zwyczaj, żeby w Święto Zmarłych urządzać sobie wycieczki nad morze? A do tego one jakies nie ten tego, w czarnych ciuchach ciągle chodzą...

– Dziwne, nie dziwne, ale płacą. Grosz się zawsze przyda.

Ruch na szosie helskiej nie był duży, dojechali do Kuźnicy nim spadły pierwsze krople deszczu. Marecki zaparkował tuż przed wejściem do pensjonatu o niezbyt wymyślnej nazwie „U Haliny”. Przez chwilę mocował się z zamkiem przy drzwiach wejściowych, który, mimo kolejnych napraw, wciąż się zacinał.

– A tyle razy mówiłam, żeby wymienić – skomentowała żona półgłosem.

Marecki udał, że nie dosłyszał.

W niewielkim pensjonacie, którego parter zajmowali właściciele, było cicho i ciemno.

– Zaraz... - Marecka zatrzymała się w pół kroku na środku przedpokoju, który służył jednocześnie za miniaturową recepcję. – Rysiek, nie zauważyłeś, czy w pokoju tych dziewczyn pali się światło?

– Nie patrzyłem.

– A kiedy ty je w ogóle ostatnio widziałeś?
– Czy ja ich pilnuję? – Marecki wzruszył ramionami.
– Chodź już, zgłodniałem od tego łożenia po grobach.
– Ale poczekaj, kiedy?
– Chyba w niedzielę... Nie pamiętam.
– Bo jak tak myślę, to też ich jakoś ostatnio nie spotkałam. – Marecka wciąż nie ruszała się z miejsca.
– Halina, daj spokój. Zapłaciły z góry? Zapłaciły. Klucz mają? Mają. Może pojechały do Gdańska, przecież tu teraz nie ma co robić.
– Lepiej sprawdzę.
– A sprawdzaj sobie – zirytował się Marecki.
Poszedł do kuchni. Grunt to dobrze pojeść i popić, a reszta może się walić i palić – taką miał dewizę. Rzucił kotlety na rozgrzany tłuszcz. Zaskwierczało. Co ta baba tam robi, podsłuchuje pod drzwiami?, pomyślał i prawie w tej samej chwili usłyszał wibrujący krzyk. Wybiegł z mieszkania. Marecka siedziała na półpiętrze, obejmowała kolana ramionami, kiwała się w przód i w tył.
– Halina, co się stało? – Przytulił żonę. – Halina?
– Dzwon po policję – wyszeptała.
I zemdląca.

1. listopada 2011 roku, wtorek, Kraków

Od pięciu lat odprawiał w Święto Zmarłych ten sam rytuał. To był dzień tylko dla niego. I dla niej. Nawet jeśli w fabryce był alarm. Szef to szanował, koledzy nie prosili o zastępstwo. Wstawał późno, do zmierzchu snuł się po domu bez celu, słuchając jazzu, najczęściej klasycznego. Potem ruszał w objazd po cmentarzach. Tak było i tego dnia.

Zaczął jak zwykle od Rakowickiego. Najpierw stał przed bramą, wpatrując się w łunę nad nekropolią i wdychając wszechobecny zapach palonej stearyny. Potem kluczył wąskimi alejkami, przypatrywał się nagrobkom o przedziwnych kształtach, odcyfrowywał zatarte napisy, z tablic na rodzinnych grobowcach odczytywał koleje losu rodziny. Robiło się coraz ciemniej, mroczniej. Pojechał na Salwator, długo kluczył po bocznych uliczkach, szukając miejsca do zaparkowania. A potem lekko wznoszącą się drogą szedł w kierunku Kopca Kościuszki. Ze wszystkich krakowskich cmentarzy najbardziej lubił Salwatorski, pewnie dlatego, że przypominał mu wiejskie cmentarze z jego rodzinnych stron, a raczej cmentarzyki ukryte w kępach drzew na niewielkich wzgórzach. Zgodnie z rytuałem zapalił znicz

na grobie Stanisława Lema - swojego ulubionego pisarza. Czekwała go już tylko wizyta na cmentarzu Podgórskim. Jechał powoli nie tylko dlatego, że ulice były zapchane. Odwlekał moment spotkania.

Właśnie wybierał chryzantemy przed bramą Podgórskiego, kiedy rozdzwoniła się jego komórka. Spojrzał na wyświetlacz. Beata. Ta nigdy nie da mi spokoju, pomyślał i odrzucił połączenie. Ledwie zdążył zapłacić za kwiaty, telefon znowu zadzwęczał. Beata, oczywiście. Wyłączył aparat. Ruszył w górę cmentarza.

Postawił kwiaty, z płyty grobu Marii zdjął zagaste znicze, zapalił swoje. Stał i patrzył na jej fotografię. Nie modlił się, dawno zapomniał o Bogu, a i on pewnie o nim. Nie rozmawiał z Marią, bo gdy zbliżał się do jej grobu, wszystkie przygotowane wcześniej zdania ulatywały. Stał, patrzył na zdjęcie i jak zwykle zastanawiał się, dlaczego gdy tylko odwróci wzrok od jej wizerunku, nie może sobie przypomnieć, jak wyglądała.

Jego pożegnanie z Marią ciągnęło się już piąty rok. Nie miał pojęcia, jak długo jeszcze potrwa.

2 listopada 2011 roku, środa, Kraków

Cisza na froncie. To lubił. Na porannej odprawie dowiedział się, że nie ma żadnych nowych spraw. Wrócił do swojego miniaturowego pokoju. Wyrównał piętrzącą się na biurku stertę akt, odpalił komputer. Spojrzał na wyświetlacz komórki, uświadomił sobie, że wczoraj zapomniał włączyć telefon. Przytrzymał długo klawisz startu, aż aparat zabrzączał powitalnie. Piętnaście nieodebranych połączeń, wszystkie od Beaty. Westchnął, przez chwilę zastanawiał się, czy nie oddzwonić, ale nie miał ochoty wysłuchiwać opowieści o kolejnym wydumanym problemie.

Beata... Jego pierwsza żona, jego pierwsze i jedyne wariactwo w życiu. Mieli po dwadzieścia lat, studencka miłość. Oboje studiowali prawo, ona z pasją, a raczej determinacją, by jak najszybciej stać się dobrze zarabiającą panią mecenas, on z niechęcią, przymuszony przez rodziców, notariuszy. Bardzo szybko zorientowali się, że popełnili błąd. Mieli inne życiowe priorytety, co innego ich zajmowało, nie umieli się porozumieć nawet w najdrobniejszych sprawach. Po niespełna dwóch latach rozwiedli się, bez scen i bez żalu, obiecując sobie, że zostaną przyjaciółmi. I to był jego drugi błąd. Beata zaczęła go traktować jak nieludzko cierpliwą przyjaciółkę, która jest na każde jej skinienie. A on jej na to pozwalał, choć nie rozumiał, dlaczego się na to godzi. Przez prawie dwadzieścia lat wikłała go w swoje problemy zawodowe i rodzinne. Kolejne kancelarie adwokackie, przeprowadzka

do Warszawy, faceci, małżeństwa i rozwody, jedna córka, druga córka... Czasami miał wrażenie, że nigdy się nie rozwiedli. Nawet, gdy w jego życiu pojawiła się Maria, nie umiał uwolnić się od Beaty.

Usłyszał pukanie.

– Proszę – powiedział głośno.

Do pokoju wszedł mundurowy, którego nazwiska nie potrafił zapamiętać.

– Panie podkomisarzu, są wyniki sekcji tego delikwenta z Kazimierza. – Podał papiery.

– Dzięki – rzucił.

Mundurowy wyszedł.

Przez chwilę patrzył na dokument, skrzywił się i odłożył na stertę akt. Następny zbędny kwit, pomyślał. Sprawa była przecież jasna i prosta – zwyczajna zbrodnia po polsku, menel zatłuczony butelką na melinie przez kompana od kieliszka. Zwinęli sprawcę, nim zdołał się ocknąć z pijanego widu. Teraz musiał tylko wyprodukować papiery dla prokuratury. Właśnie, papiery... Z roku na rok czuł się bardziej urzędnikiem niż policjantem.

Otworzył nowy plik w komputerze, wyjął notatnik. Rozdzwonił się telefon. Beata! Któż by inny. Przez chwilę wodził palcem nad komórkę; od zielonego klawisza do czerwonego. Zdecydował, że lepiej mieć to z głowy.

- Halo - powiedział zmęczonym głosem.

Cisza.

- Halooo! - Czuł, że zaraz wybuchnie.

Usłyszał najpierw jęk, a potem urywany szloch.

- Beata, nie mam czasu na pierdoły – prawie krzyknął.

Eks załała go potokiem słów.

- Że co, że Nina... - Czuł, że ręce zaczynają mu drżeć.

Przez chwilę wsłuchiwał się w słowa, padające z szybkością kul wyrzucanych przez karabin maszynowy.

- Jakie samobójstwo? – Dłoń, w której trzymał telefon, drżała mu tak, że z trudem przytrzymał go przy uchu.

Szloch, a potem znowu słowotok. Musiał to przerwać, wiedział, że nie zniesie tego dłużej.

- Uspokój się i zamknij – warknął. – Uspokój się! Napisz mi maila, co, gdzie i jak. I kto prowadzi tam sprawę.

Beata wystrzeliła kolejnymi zdaniami.

- Nie wiem, czy przyjadę. Zarobiony jestem – skłamał gładko. – I po co ja tam w ogóle jestem potrzebny?

Nie miał siły dłużej jej słuchać.

- Napisz maila, słyszysz? Cholernie mi przykro. Pa!

Rzucił komórkę na biurko. Beata, ty suko, nie powinnaś mi tego robić, pomyślał.

2 listopada 2011 roku, środa, Władysławowo

– Pani mecenas, takie są fakty.

Aspirant Adam Żygadło nie lubił rozmawiać z prawnikami, szczególnie z tymi zdesperowanymi. Kobieta równie dobrze mogła za chwilę całkiem się rozkleić albo go opieprzyć.

– Ale ona miała plany, studia... – prawniczka załkała krótko.

– Już wybierała sukienkę na studniówkę.

– Widocznie miała plany, o których pani nie wiedziała – wypalił Żygadło, nim się zastanowił.

Kobieta spojrzała na niego wzrokiem, który mroził.

– Czy to, pana zdaniem, stosowna uwaga? Wnosi coś do sprawy? – obudziła się w niej prawniczka.

Aspirant zaczął nerwowo przekładać papiery na biurku. Nie wiedział, co powiedzieć, więc jeszcze raz powtórzył wszystko od początku.

– Obok ciała Niny Drwęckiej i... - spojrzał w notatki

– Karoliny Dziekanowskiej znaleźliśmy trzy opakowania po mocnych środkach nasennych i pustą butelkę wódki. Nie natrafiliśmy na list pożegnalny. Brak śladów działania osób trzecich. Zresztą w tym pensjonacie nikogo oprócz nich, i oczywiście właścicieli, nie było. Sprawdziliśmy. Wie pani mecenas, jest grubo po sezonie. – Plótł trzy po trzy. – Sprawa wydaje się oczywista. Zaplanowane samobójstwo.

– Samobójstwo - powtórzyła Beata.

Żygadło nie był pewien, czy to było pytanie, czy stwierdzenie. Chrząknął.

- Prowadzone są jeszcze czynności w sprawie, ale...

- Kiedy będę mogła zabrać ciało córki? – przerwała policjantowi.

- To jeszcze trochę potrwa, dopiero po sekcji.

- Nie będziecie jej kroić! - krzyknęła. - Nie pozwolę!

- Przecież pani mecenas doskonale zdaje sobie sprawę jakie są procedury w takich przypadkach. – Rozłożył ręce.

- Dla dobra dochodzenia trzeba to zrobić. Zresztą prokurator podjął już decyzję.

- Nie ma mowy – powiedziała powoli. – Proszę mi podać numer telefonu tego prokuratorzyny.

3 listopada 2011 roku, czwartek, Kraków

Z trudem budził się ze snu, atakowany przenikliwym zawodzeniem budzika. Śmierdział alkoholem. Przez głowę po raz kolejny przeleciało mu zdanie: nie powinna mi tego robić.

Wczoraj, po telefonie Beaty, najpierw się wściekł, a potem obiecał sobie, że nie da się znowu głębiej wciągnąć w bagno, z którego z takim trudem wypętał. Uciekł w pracę, przez dzień nadrobił wszelkie papierkowe zaległości z poprzedniego tygodnia. Potem podryfował do knajpy z kumplami chcącymi odreagować spędzone z rodzinami święto.

Ale to i tak wróciło, właściwie wiedział, że inaczej nie będzie, próbował jedynie odwlec ten moment. Sprawa Marii, jego drugiej żony. Poznali się przypadkowo niecałe dziesięć lat temu przy okazji prowadzonej przez niego sprawy grupy nastolatków terroryzujących jedno z liceów. Wymuszenia, pobicia... Tam właśnie Maria uczyła polskiego. Umówił się z nią raz, drugi. Oboje byli prawie w tym samym wieku, Maria jedynie o rok młodsza, oboje po drobnych przejściach, czyli niezbyt traumatycznie zakończonych małżeństwach. Maria okazała się przeciwieństwem Beaty – spokojna, opanowana, z dystansem do siebie i świata. Była podobna do niego i chyba właśnie to najbardziej mu się w niej podobało, choć nie tylko. Po roku pobrali się, a następne cztery lata były najlepsze, najszcześniejsze w jego życiu. Miał nadzieję, że także w jej. Potem wszystko niespodziewanie się posypało.

Leżał w łóżku, gapiąc się w sufit. Powinien wstać, wziąć długi prysznic, by zmyć ze skóry knajpiany smród, wmusić w siebie śniadanie, napić się kawy, koniecznie dużo kawy, i powlec się do fabryki. Ale wciąż gnął w przepeconej pościeli, po raz nie wiadomo który przewijając w głowie ten sam film. Wtedy, sześć lat temu, wszystko nagle się zmieniło, choć właściwie nie, wcale nie nagle, to był, jak sobie później uświadomił, ciąg drobnych zmian. Maria jakby zapadała się w siebie, przestała opowiadać szkolne anegdotki, w wolne dni nie wyciągała go już do kina czy na krótkie wycieczki do podkrakowskich miejscowości, które tak lubiła; zalegała z książką na kanapie albo przesyiała całe dnie. Próbował dopytywać, co się z nią dzieje, ale wciąż powtarzała, że to nic, jedynie zmęczenie, znużenie pracą, która z roku na rok coraz mniej ją cieszyła. Przyjął to do wiadomości, nie drażył tematu. Zresztą, nie miał do tego głowy, od miesięcy zmagał się ze sprawą gwałciela, który dopadał kolejne kobiety, a potem zniknął.

Aż 21 lutego się stało TO. Wracął z trudnego przesłuchania rodziców zgwałconej

dziewczyny, gdy zadzwoniła do niego psycholog z komendy, mówiąc, że muszą porozmawiać, jak najszybciej. Psycholog, z nim? Zdziwił się. Najpierw nic do niego nie docierało, psycholog raz po raz powtarzała, żeby się uspokoił, a on był przecież spokojny, tylko jakby odkleił się od samego siebie. Maria wyskoczyła z okna ich mieszkania, z dziesiątego piętra, nie miała szans, Maria wyskoczyła z okna... Kilka kolejnych dni pamięta jedynie w krótkich przebłyskach: kręcący się wokół niego ludzie, rodzice, kumple z komendy, pogrzeb... Wreszcie ocknął się na dobre w jednej sekundzie. Stał nad grobem Marii, choć nie wiedział, jak się tam znalazł, po policzkach ciekły mu łzy, ale nie płakał. A jeśli już, to z wściekłości. Dlaczego się zabiła?, powtarzał jak mantrę.

Postanowił dowiedzieć się tego, zrozumieć, co doprowadziło żonę na skraj rozpacz. Wziął urlop, zaczął metodyczne śledztwo. Sprawdzał, czy ktoś nie zrobił Marii krzywdy, czy nie przytrafiło jej się coś, o czym nie chciała mu powiedzieć, próbował dzień po dniu rekonstruować ostatnie miesiące życia żony. Męczył jej rodziców i przyjaciółki rozmowami, które przebiegały niczym przesłuchania bardzo podejrzanych person. W końcu wszyscy zaczęli go unikać. Po miesiącu poddał się, bo nie znalazł nic, żadnego tropu, choćby cienia podpowiedzi, która pozwoliłaby rozwikłać zagadkę śmierci Marii. Nie rozumiał, dlaczego się zabiła. Czasami bolało go to bardziej niż puste miejsce obok niego.

Zwłókł się z łóżka.

– Spróbujmy przetrwać jakoś ten dzień – wymruczał.

Poszedł do łazienki. Z lustra patrzył na niego zmęczony mężczyzna w średnim wieku.

- A ty, Nino, czemu to zrobiłaś?

3 listopada 2011 roku, czwartek, Władysławowo

Beata chodziła po mieście bez celu, nie mogła usiedzieć w miejscu. Prokurator okazał się nieugięty, będzie sekcja i tyle, zero dyskusji. Wściekła się, wrzeszczała na niego; złość na chwilę przytępiła ból. Nic nie wskórała. Pokroją Ninę jutro, potem będzie mogła zabrać ciało. Postanowiła, że do tego czasu nie ruszy się z Władysławowa, choć może lepiej by było, gdyby wróciła do Warszawy. Nadmorski kurort po sezonie, opustoszały i smutny, przygnębiał ją jeszcze bardziej. Skręcała na chybił trafił raz w prawo, raz w lewo, aż usłyszała wyraźny szum morza. Wyszła na szeroką plażę. Pozamykane smaźalnie i knajpki wyglądały jak dekoracje do filmu, który kręcono lata temu. Z trudem brnęła przed siebie, wysokie szpilki grzęzły w piachu, mocne podmuchy wiatru co chwila ją zatrzymywały. Doszła do

miejsca, gdzie piasek wygładziły fale. Patrzyła na słoneczne bliki skaczące po wodzie.

– Nina, co ty zrobiłaś? – powiedziała. – A czego ja nie zrobiłam?

Usiadła, próbowała zapalić, ale wiatr zdmuchiwał płomień zapalniczki. Rzuciła papierosa w wodę. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że Nina już dawno zaplanowała ten wyjazd z Karoliną. Nie zdziwiła się, gdyż te dwie papużki nierozłączki ciągle gdzieś jeździły. Nawet było jej to na rękę, Nina zniknęła na długi weekend, młodszą córkę zabierał ojciec, mąż numer dwa, a obecny ślubny bujał się na kontrakcie w Anglii. Mogła więc w spokoju zająć się tym, na czym zależało jej najbardziej, czyli pracą. Ta myśl zaniepokoiła ją, bo czy faktycznie prawnicza robota była dla niej najważniejsza? Na pewno była ważniejsza od mężów, których uważała za konieczny, acz nie najistotniejszy dodatek do własnego życia. Ale od córek... Kochała je przecież. Jak umiała.

– Czy jestem złą matką? – wyszeptwała.

Przecież powinnam coś zauważyć, nie wiem, myślała gorączkowo, mieć przeczucia, moja matka ciągle miała przeczucia i prorocze sny. A ja nic... Wydawało mi się, że Nina jest szczęśliwa, a że nie rozmawiała ze mną za wiele, cóż, taki wiek. Czemu nie poświęcałam jej więcej czasu? Może to by coś pomogło.

Otrząsnęła się, wstała, otrzepała płaszcz z piasku. Wiedziała, że nie może rozpaść się na kawałki. Miała przecież jeszcze Kamilę, musiała o nią zadbać, musiała być twarda. Był tylko jeden sposób, aby postawić się do pionu - działać.

Wybrała numer Damiana, zaklinając w duchu: odbierz wreszcie sukinsynu. Podziałało.

– Wreszcie – rzuciła do aparatu. – To kiedy przyjeżdżasz?

Wiedziała, że będzie się wykręcał. Jak zawsze.

– Nie sprzedawaj mi takich pierdoł. Masz pewnie od cholery niewykorzystanego urlopu.

Postanowiła, że tym razem nie da się spławić.

– No pewnie, że to mój aktualny ślubny powinien teraz być ze mną, ale on jest w Anglii, mówiłam ci przecież, nie pamiętasz?

Była pewna, że nie pamięta. Coraz częściej odnosiła wrażenie, że to, co ona mówi, Damian jednym uchem wpuszcza, a drugim wypuszcza.

– Potrzebuję cię jak nigdy. Jesteś gliną, więc może lepiej niż ja dogadasz się z patafianami z tutejszej komendy.

Nie chcesz się w to mieszać? To ja cię wmieszam, pomyślała.

- Jeśli nie dla mnie, zrób to dla Marii...

Damian odrzucił połączenie. Wiedziała, że tym razem pograła bardzo grubo.

3. listopada 2011 roku, czwartek, Kraków

– Jeśli nie dla mnie, zrób to dla Marii...

Ta to potrafi mnie podejść, pomyślał. Chociaż... Przez myśl przemknęło mu, że być może tym razem chce tego samego co Beata. Nie wiedział, dlaczego Maria postanowiła odejść, może chociaż dowie się, czemu zrobiła TO Nina.

Otworzył skrzynkę pocztową w komputerze. Tak jak prosił, Beata przysłała mu maila. Najpierw szybko przebiegł wzrokiem tekst, a potem drugi raz przeczytał powoli. Tak, klasyka, piguły nasenne pomieszane z wodą, zasnąć, by się już nigdy nie obudzić. Dlaczego nie chciałaś się obudzić, Ninko? I dlaczego zrobiliście to we dwie? A jeśli miało to być zaplanowane samobójstwo, dlaczego nie zostawiłyście listu, choćby z najkrótszym tekstem: „Przepraszamy”? Jutro będzie sekcja zwłok, Beacie się to nie podoba, był tego pewien.

Zaczął zastanawiać się, co właściwie wie o Ninie. Starsza córka Beaty z drugiego małżeństwa z jakimś szemranym biznesmenem. Jak on miał na imię?, zastanawiał się. Nie mógł sobie przypomnieć. To była krótka piłka, trzy lata związku i kolejny eks na rozkładzie. Beata na pewno opowiadała mu o Ninie nie raz i nie dwa. Ale wiele z tego nie pamiętał. Nina... Błada pannica o wielkich, brązowych oczach. Dobrze się uczyła, miała iść na prawo. No jakże córka Beaty mogła wybrać inny kierunek? Co jeszcze? Właściwie nic.

Kliknął przycisk „odpowiedz”, ale zaraz anulował swoją wiadomość. Nie był jeszcze pewien, co robi, nie chciał już teraz podejmować decyzji.

Drzwi otworzyły się z hukiem, do jego pokoju wpadł Karol.

- Się puka – rzucił Damian.

- Się by zapukało, jakby się czas miało. - Karol się roześmiał. - Masz już komplet kwitów w sprawie tego menela? Stary potrzebuje na cito.

- Mam. - Podał kumplowi niezbyt grubą teczkę.

Karol zniknął równie szybko, jak się pojawił. Damian jeszcze raz przeczytał maila od Beaty. Nie wiedział, co robić.

5 listopada 2011 roku, sobota, Władysławowo

Było pół do siódmej rano, gdy wysiadał z pociągu. Czuł się wymięty i nieświeży po całonocnej podróży z Krakowa. Próbował spać, ale zasnął jedynie na godzinę. Piekły go oczy, bolały mięśnie. Znalazł otwarty bar, zjadł paskudnego hamburgera, popił równie okropną kawą. Nie ma to jak polska „riwiera”, zaśmiał się w duchu. Pokręcił się trochę po mieście. Przed dziewiątą poszedł do kawiarni, w której

umówił się z aspirantem Żygadło.

Zamachał do wysokiego, chudego blondyna, który zatrzymał się w drzwiach knajpy i rozglądał po sali. To musiał być on.

– Dzień dobry. Podkomisarz Damian Kozak? - zapytał blondyn.

Tak. Witam aspiranta.

Żygadło usiadł obok niego, zamówił kawę i szarlotkę. Klasyka policyjna, pomyślał Damian, kawa i słodkie.

Aspirant wsypał do filiżanki trzy czubate łyżeczki cukru, mieszał powoli.

– Właściwie – zaczął – dlaczego Komenda Miejska z Krakowa interesuje się sprawą podwójnego samobójstwa w pięknych okolicznościach przyrody?

Cynizm kolegów po fachu zawsze go dziwił, ale nie skomentował.

– Damian jestem – podał dłoń.

– Adam – zareagował instynktownie jego rozmówca.

– Jestem tu prywatnie. – Spojrzał Żygadło prosto w oczy.

– Ktoś z rodziny?

– Poniekąd. Nina to córka mojej byłej żony. Nie moja córka.

– Wiem, odrobiłem lekcję.

– Pokażesz mi kwity?

- Wiesz...

Wiedział. Żaden glina nie lubi, jak inny pies włązi na jego teren i próbuje węszyć. Westchnął.

– To przynajmniej opowiedz mi, jak to wyglądało.

– Nic specjalnego, po prostu podwójny samobój.

– Byłeś na miejscu?

- Tak.

– I jak?

– Leżały w jednym łóżku, przytulone. I jakieś takie... spokojne.

– Spokojne?

- Jakby spały. I słuchały muzy.

- Muzy?

- Między nimi było mp3, miały po jednej słuchawce w uchu.

– Dziwne.

– Dlaczego?

- Nie spotkałem się wcześniej z takim przypadkiem, żeby ktoś, kto popełnia samobójstwo, słuchał muzyki.

- Eee, dzieciaki teraz prawie nie wyjmują słuchawek z uszu.

Żygadło dopił kawę, powoli grzebał widelczykiem w szarlotce.

– Masz coś jeszcze? – spytał Damian.

- Nie. Jak dla mnie sprawa jest oczywista i prawie zamknięta. Zimny lekarz potwierdził, piguły i alko.

– Dzięki. Cześć.

Wyszedł, nie podając mu ręki.

Beata siedziała w hotelowej knajpie, wbijając wzrok w ścianę. Ciekawe, co ona tam widzi, pomyślał Damian, stając w drzwiach i przypatrując się swojej eks. Ninę? Spróbował przypomnieć sobie twarz Marii. Nie udało mu się. Znowu.

– Jednak jesteś – powiedziała, nie patrząc na niego.

Pochylił się, by pocałować ją na powitanie, ale w końcu zrezygnował. Nie wiedział, jak to odbierze. Opadł ciężko na fotel naprzeciwko Beaty.

– Jestem, ale czy to coś zmienia?

– Dowiedziałeś się czegoś od tego szczawia?

– Masz na myśli Żygadłę?

– Nie, Benedykta XVI.

Nieodmiennie miła i urocza, pomyślał.

– Niewiele, ale i tak nie ma sensu w tym grzebać. Ewidentne samobójstwo. Musisz z tym jakoś żyć.

– A ty? Jak z tym żyjesz? – prychnęła.

I delikatna jak zwykle. Przyzwyczyił się. Dopiła wino.

– Co teraz? – spytała.

– Nic. Wracam po południu do Krakowa.

– Niczego więcej się po tobie nie spodziewałam - powiedziała cicho.

Zaczęła się zbierać. Wzięła torebkę, z krzeselka obok podniosła duże pudełko.

– Co to? – zainteresował się.

– Oddali mi rzeczy Niny.

– Mogę zerknąć?

Spojrzała na niego przeciągle.

– A patrz sobie.

Otworzył pudełko. Czarna, długa sukienka, srebrna biżuteria, kosmetyki, mp3... Mp3? Wziął do ręki odtwarzacz.

– Wiesz, jakiej muzyki Nina słuchała?

– Muzyki? – zdziwiła się. – Nie mam bladego pojęcia. Czegoś łagodnego.

– Mogę posłuchać? – Wskazał sprzęt.

– Jeśli chcesz...

Włożył słuchawki do uszu, nacisnął „play”. Po kilku taktach już wiedział, wszystko zrozumiał. Chet Baker śpiewał tak, jakby za chwilę miał się rzucić z okna,

w końcu to zresztą zrobił. Damian znał jego płyty, znał jego biografię. „My Funny Valentine” w wersji Bakera brzmiało jak pieśń pogrzebowa. Zrozumiał.

- Co ty pierdolisz? — warknęła Beata.

Nic odpowiedział, nie chciał jej nic tłumaczyć. Wiedział już, że właśnie pożegnał się z Marią.

Joanna Jodełka

KREW JEST OSOBLIWYM SOKIEM

- Krew jest osobliwym sokiem... Wiesz kto to powiedział? — usłyszała głos, który drwiącym echem odbijał się od kamiennej posadzki.

- Wiesz?

Nie wiedziała. I nie chciała wiedzieć. Chciała, żeby ten sen się skończył. Chciała się uszczypnąć. Nie mogła się poruszyć. Miała przywiązane ręce i mogła tylko bezwolnie patrzeć na ciekące po nich czerwone strugi, które spływały po przedramieniu do koniuszków palców, a potem ociężale kapały na podłogę. Jak wosk z andrzejkowych świeczek.

- Mefistofeles — powiedział, unosząc jej podbródek wskazującym palcem, by mogła na niego popatrzeć.

Uniosła więc powieki i popatrzyła. Może nawet się uśmiechnęła. Przecież w końcu się obudzi. Przecież to nie może być prawda. Oblizął się.

- Mefistofeles do Fausta... - wyjaśnił, przybliżając się do jej twarzy z językiem na ustach. - Przynajmniej według Goethego - dodał szybko i cofnął rękę.

Zemdlała.

Klara Lang nie mogła spać na brzuchu, więc nie mogła spać w ogóle. Kręciła się. Z poduszką pod głową i bez poduszki. Na prawym boku i na lewym. Na zmianę. W końcu położyła się na plecach i zaczęła patrzeć w sufit. Wstała.

- Do kurwy nędzy! - zaklęła, idąc w kierunku łazienki.

- Nie do ciebie mówię - dodała, klepiąc się po brzuchu.

- Do siebie też nie! - powiedziała jeszcze głośniejszym głosem, patrząc w dół na swój rozciągnięty podkoszulek, sterczał jak peleryna.

— Kto mnie wydał? — zapytała siebie po raz setny tego dnia.

Przecież nie to, że się źle poczuła, i nie to, że rzygała. Tym by się nie zmartwili. Sami też by się nie domyślili, to znowu nie aż tak domyślni policjanci. Przez lata walczyła o nietraktowanie jej w sposób szczególny, atakując najdrobniejszy szarmancki gest tak, że z czasem koledzy z pracy skutecznie zapomnieli o tym, że jest kobietą.

I dobrze. Nie przypominała się. Nosła buty na grubej podeszwie niezależnie od pory roku. Spodnie z kieszeniami i koszulę w kratę. Sami by się nie domyślili, że jest w ciąży. Jej też ciężko było w to uwierzyć. I w to, że ona ją teraz zostawiła. Tak

po prostu.

- Też chciałaś tego dziecka! – krzyknęła, podnosząc deskę klozetową. – Pamiętaj, nie wierz nigdy kobiecie, mała! - dodała, podwijając koszulę. - A może mały - poprawiła się. – Mnie naprawdę jest wszystko jedno. Jeśli chodzi o płęć, nie mam uprzedzeń.

– Kur... Tak się nie da żyć – powiedziała po chwili, wstając z sedesu. - Przecież nie mogę sikać jak ratlerek! Nie daruję ci tego! – warknęła w kierunku zdjęcia na toaletce.

Popatrzyła przez chwilę na obejmującą ją kobietę. Potem wrzuciła fotografię do śmietnika. – No, nagle się musi realizować zawodowo! A ja nie muszę – jęknęła, patrząc na papiery porozkładane na ławie w dużym pokoju. – Przecież beze mnie tego nie rozwiążą.

Wzięła do ręki jedną z piętrzących się na kupce karteczek. Po raz setny obróciła ją w palcach i przeczytała: Krwawe rytuały spełniały rok zaworów bezpieczeństwa. Kanalikowały przemoc i w ogólności wszystkie popędy ludzkie - te wrodzone i nieodzowne do przeżycia. Pozwalały utrzymać ją w granicach, które stale mogły być przekraczane. Bezpiecznie. Uwolnienie ich spod tej kontroli groziło zagładą.

– Czy to był krwawy rytuał? – zapytała siebie po raz kolejny.

Odłożyła karteczkę na stertę papierów i znowu zaczęła patrzeć na zdjęcia Artura Hippmanna. Usiadła w fotelu i sięgnęła po nadgryziony herbatnik, który od rana leżał na talerzyku obok szklanki pełnej fusów. Zaczęła bezmyślnie chrupać. Od dawna już mogła jeść spokojnie, patrząc na ściany wysmarowane krwią i nagie zwłoki w ekskrementach pośrodku tego obrazka.

Nie było mu wygodnie ani ciepło. Nie mógł się wyprostować. Czuł, że drętwieje mu prawa stopa. Wstał, rozprostował się i usiadł z powrotem. Jak najbardziej po przekątnej, nogami popychając drzwiczki. Zaskrzypiały, ale się nie otworzyły. Przyłgął więc policzkiem do drewnianej kraty. Przymknął oczy, potarł stopą o stopę i zaczął rozmyślać o kolacji. Zaburczało mu w brzuchu, gdy usłyszał:

– Przyszedłem się wyspowiadać.

Wikary nie spojrział nawet, odsunął tylko głowę od kratki. Niezbyt daleko. Miał coraz słabszy słuch, ale mężczyzna nie szeptał. Mówił cicho, ale wyraźnie.

– Słucham cię, synu – powiedział i pomyślał, że po tej spowiedzi wróci do siebie.

Na kolację ma być kaczką, więc może i czernina? Mężczyzna nie odzywał się, więc wikary spojrział na niego, ale on tylko spuścił głowę.

– Słucham cię... – powtórzył nerwowo skubiąc brodawkę na brodzie. – Przyszedłeś tu wyznać swoje grzechy...

– Nie – przerwał mu.

– Więc po co? – zapytał wikary podniesionym głosem, przeganiając sprzed oczu talerz czerniny z suszonymi śliwkami.

Nie miał nastroju na młodzieńcze rozterki. Wiedział już, że zaproponuje rekolekcje, mają być wkrótce. Ksiądz Maria Aleksander je poprowadzi. Lubi wątpiących. A on nie lubi.

– Zamierzam popełnić grzech... śmiertelny – usłyszał.

– Który? - zapytał, poprawiając poduszkę pod plecami.

– Jeszcze nie wiem.

Wikary spojrział przez kraty na klęczącego po drugiej stronie mężczyznę, ale nie zobaczył niczego oprócz pochylonej głowy, ciemnych włosów zasłaniających oczy i czerwonych, mocno wykrojonych ust, które mogły się lekko uśmiechać bądź tylko mieć taki kształt. Tego nie wiedział.

– Synu... – zaczął podniesionym głosem, zbierając się na dłuższą przemowę.

– Nie mów do mnie „synu”! – przerwał mu syk po drugiej stronie kratki. – Zresztą wszystko mi jedno. Zamierzam popełnić samobójstwo. To chyba jest grzech śmiertelny... te? _ Wikary usłyszał lekko drwiący głos i odruchowo chwycił metalowy krzyż, który wisiał na jego piersi.

- Sy... Słuchaj... - zaczął, wstrzymując oddech. - Nie możesz tego zrobić... i powiedział i przerwał, bo po raz drugi zaburczało mu w brzuchu. - Twoje życie nie należy do ciebie, tylko do Boga. On ci je dał i tylko on może ci je zabrać. Tobie nie wolno nim rozporządzać - wygłosił najbardziej łagodnie, jak potrafił, choć zdawało mu się, że ten po drugiej stronie z niego kpi.

- Więc w ten prosty sposób udowodnię, że jednak należy do mnie. Skoro mogę sam je sobie zabrać - oświadczył drwiącym głosem.

– Słuchaj! – powtórzył ksiądz już głośniejszym i dosadniejszym głosem.

- Pismo Święte mówi wyraźnie: „Nie zabijaj”. To dotyczy również...

– Pismo Święte... – westchnienie po drugiej stronie kraty – mówi również: „Gdy człowiek zmazany ludzką krwią ucieka aż do grobu, niech go nie wstrzymują!”.

Spowiednik wzdrygnął się i odruchowo odsunął od kraty.

– Co ty powiedziałaś?

– Nie ja – usłyszał śmiech. – To Księga Przysłów, 28,17. Stary Testament.

Wikary nie wiedział, co ma powiedzieć. Zapanowała cisza. Przez kilka sekund słyszał tylko skrzypienie drewnianej ławki, na której siedział i kręcił się, czując, że drętwieje mu noga.

W oddali rozległy się kroki i odbiły echem po całym kościele. Poczł się jakoś

rażniej. Westchnął głęboko. Nabrał powietrza.

- Sv... Słuchaj... Wyznaj mi swoje grzechy... - powiedział cicho.

- Nie mogę. Musiałbym cię wtedy zabić. - Usłyszał szept i zobaczył długie palce, które wpięły się w kratkę. Czymś pobrudzone? Zdrętwiał mu kark.

Klara Lang, chwilę po tym, jak zabiła smak żółci w ustach wodą z kranu, poczuła, że podjęła dobrą decyzję. Przynajmniej będzie sobie wymiotować w domu. Przerzuciła ściągnięte z nóg glany ze środka pokoju na środek korytarza, wzięła wielką torbę różowych ptysi i usiadła w fotelu, tym samym, na którym zasnęła nad ranem. Przez tydzień posiedzi w domu. Oswoją się, wyczerpią się głupie żarty, a wtedy wróci do pracy. Jeśli znowu pojawią się głupie komentarze, to zareaguje odpowiednio, a potem znowu pójdzie na zwolnienie. W sumie nie wiedziała, że to takie proste. Poszła do lekarza i dostała. Wcześniej nigdy nie chorowała, teraz też nie, ale lekarz zalecił odpoczynek.

— Chyba dlatego, że się spociłam pod pachami — burknęła pod nosem i umościła się w fotelu.

Idealnie. Zajmie się tym, na co nie miała czasu. Przeczyta wszystkie te akta jeszcze raz. Słowo po słowie. Nieważne, że nic nowego nie odkryli od roku. To nic. Może właśnie teraz na spokojnie przyjedzie jej coś do głowy. Samodzielnie! I zapomni, że będzie samotną matką.

— Więc od początku — powiedziała do siebie głośno różnym tonem i wyciągnęła protokół zeznań Katarzyny Bizoń.

To ona pierwsza odkryła zwłoki Artura Hippmanna. Nigdy jej nie zapomni. Mała, korpulentna pani, która jeszcze po tygodniu miała w oczach takie samo przerażenie i obrzydzenie, jak wtedy, gdy pierwszy raz z nią rozmawiała. Nie było się czemu dziwić.

A i tak nie wiedziała wszystkiego — powiedziała głośno do siebie, nie mogąc powstrzymać drwiącego uśmiechu.

Nikt nie odważył się jej powiedzieć tego wszystkiego i to nie tylko ze względu na dobro śledztwa. Tego dnia, w poniedziałek, Katarzyna Bizoń przysłała do biura zwyczajnie. Miała klucze. Myślała, że jest pierwsza. Wypiła kawę, i nie tylko, jak się później okazało, posegregowała pocztę, wykonała kilka telefonów, a potem poszła położyć na biurko szefa jakąś informację i zobaczyła... efekt makabrycznego happeningu; krew rozbryzganą dokładnie w drobne kropeczki na wszystkich ścianach czymś, co mogło być kropidłem, i nagiego szefa leżącego bez krwi i życia na podłodze. Krzyczała tak, że zbiegli się przypadkowi ludzie przechodzący ulicą. Szydł z napisem: „Doradztwo finansowe” nie był dobrym usprawiedliwieniem

wrzasku. A musiał to być wrzask niezwykle, bo Klara pamiętała, że kobieta ochrypła i taką samą chrypę miała, gdy skontaktowali się z nią dwa dni później. Pamiętała też bardzo dobrze wyraz jej twarzy, gdy pytali, czy zjadła sernik, który stał w biurowym pomieszczeniu kuchennym. Była przerażona tym pytaniem, jakby ktoś nakrył ją na wielkim przestępstwie. Długo jej tłumaczyli, że w treści żołądkowej denata nie znaleziono tego ciasta ani malinowej polewy. A z okrągłej formy ubyła dokładnie połowa i jedna część. Zależało im, by dowiedzieć się, czy to. ona tę część zjadła. Długo patrzyła na nich bez zrozumienia, nim wyjaśnili, że zależy im, aby wiedzieć, czy ktoś podzielił go dokładnie na pół i to drugie pół było dla kogoś przeznaczone, czy to bez znaczenia - tyle po prostu ubyło. Katarzyna Bizon długo wykręcała się od jednoznacznej odpowiedzi, w końcu jednak przyznała, że wzięła jeden mały kawałek. Ze szef nie miałby jej tego za złe, gdyby akurat żył. Że bardzo lubiła polewę malinową, choć ta nie była najlepsza... może za długo stała... Ale tylko jeden kawałek. To przysięgała. I że gdyby wiedziała, w jakich jest okolicznościach, to by nic nie tknęła. Ale ona nie wiedziała.

Katarzyna Bizon nie wiedziała też, że polewa malinowa składała się w dziewięćdziesięciu czterech procentach z krwi grupy O Rh+, a reszta była płynem przeciwzakrzepowym. Nie dowiedziała się tego, ani tego, że ta krew w stu procentach należała do Artura Hippmana.

Wikary miał kompletnie ubłocony dół sutanny, gdy wchodził do gmachu Kurii, a chciał wyglądać dobrze. Czekał w gabinecie na przyście przełożonego, starał się podwinąć poły sukni tak, by nie było tego widać. Jednak błoto oblepiło tkaninę na takiej powierzchni, że jego zabiegi były bezskuteczne. Przestał więc i przysunął się jak najbliżej biurka obciągniętego czarną, pikowaną skórą. Położył na nim teczkę, z którą przyszedł, i zaczął obwodzić palcem złocone nity.

– Szczęść Boże! – powiedział, gdy tylko dziekan wszedł do gabinetu.

– Dziś raczej nam nie szczęści – odparł przełożony, przeczesując ręką siwe włosy nad czołem.

Szybko usiadł za biurkiem i wyciągnął z szuflady papiery. Wikary już z daleka zobaczył, że są to listy, które sam przysłał. Źle się czuł, patrząc na nie tutaj i teraz. Miał nadzieję, że to przeczytają, i po cichu rozpatrzą wszystkie zażalenia, które kierował pod adresem księdza Marii Aleksandra, i oczywiście po czasie mu podziękują. Ale nie tak wprost.

– Więc ksiądz Maria Aleksander znikł? I nie możemy wykluczyć, że opuścił łono Kościoła? Tak? Przynajmniej w świetle tego, co ksiądz tu pisze... – powiedział dziekan, mocno marszcząc brwi.

– No tak... nie ma go od wczoraj wieczora... miał być na porannej mszy... –

zaczął niepewnie wikary.

– To się zdarzało już wcześniej? - zapytał dziekan.

Nie potrafił mu odpowiedzieć.

– Mam tu księdza zawiadomienie – powiedział dziekan, zakładając okulary na nos. Chwycił pierwszą kartkę. - Cytuję: W sprawie księdza Marii Aleksandra... Ominę uprzejmości, ksiądz wikary pozwoli - zapytał, nawet na niego nie spojrzawszy. – Przyznaję, że niezgodnie z wewnętrznymi dyrektywami zastępowałem wielokrotnie ks. Marię podczas jego przeciągających się nieobecności, czy to porannych, czy wieczornych - czytał dalej – ale dłużej nie należy utrzymywać obecnego stanu rzeczy, bo nie służy on Kościołowi. Zgadza się? – Dziekan zerknął spod okularów, marszcząc krzaczaste brwi..

Wikary nieśmiało przytaknął. Próbował też coś powiedzieć, ale nie zdążył.

– Czy to miało związek z Anną Hippmann? – zapytał przełożony, zsuwając z nosa okulary. – Nie ma co zaprzeczać, to przecież księdza słowa. – Wziął kolejną kartkę.

– Czytam: W sprawie ks. Marii Aleksandra... bla, bla, bla... utrzymującego nazbyt zażyłe, poufale stosunki z Anną Hippmann... bla, bla, bla... Zrozumiałą jest oczywiście tragedia kobiety, której wiele lat temu zginął syn... w nawiasie, z tego, co mi wiadomo, nieuczęszczający na lekcje religii, ale posługa w czynnościach pogrzebowych jej syna powinna być co najmniej powściągliwa. .. Z troską Andrzej Bąk – wikary. Co ksiądz miał na myśli? - powiedział dziekan, kładąc okulary na biurku i odchylając się na krześle.

Wikary nie potrafił teraz mu powiedzieć. Pochylił głowę, potrafił napisać, ale powiedzieć to już coś kompletnie innego. Parę razy zaczynał, otwierając usta, ale głos grzązał mu w gardle. W końcu nie powiedział niczego, tylko wyjął ze swojej teczki rysunek i położył go na biurku..

– Co to?! – zapytał dziekan.

– To znalazłem w jego pokoju.

Dziekan zmarszczył czoło, niechętnie sięgnął po kartkę, a potem wpatrywał się w nią i coraz szerzej otwierał oczy.

Wikary wiedział, dlaczego znowu zakłada okulary i przysuwa kartkę pod nos. Sam wcześniej bardzo długo wpatrywał się w narysowaną ołówkiem nagą Annę Hippmann. Nie był to zwyczajny akt. Wyraźnie narysowana kobieta stała w naszkicowanej łazience, jedną nogę opierała na desce sedesowej. Lekko się uśmiechała, patrząc w kierunku widza, tak jakby... zapraszająco. Ale najciekawsze było to, co z tym uśmiechem robiła. A mianowicie, jedną ręką ścierała stróżkę krwi spływającą po wewnętrznej stronie uda, a w drugiej trzymała coś podłużnego na

cienkim sznureczku. A już dziwaczny najbardziej był podpis pod rysunkiem wykonany czerwonym flamastrem: Wiesz- Kobiety się jej mniej boją... Widzą ją co miesiąc.

Dziekan długo wpatrywał się w rysunek. Po chwili odłożył go i zapytał:

- Czy to jest ta Anna Hippmann?

Wikary tylko przytaknął, teraz triumfował. Już spokojnie, a nawet z lekką niecierpliwością, czekał na kolejne pytania. Dziekan wyciągnął kolejny z jego listów.

- Napisał tu jeszcze ksiądz wikary o ostatnich kazaniach księdza Marii Aleksandra. Pozwoli ksiądz, że przeczytam?

- Tym razem spojrzął na niego, więc wikary skinął głową w geście aprobaty, a ksiądz dziekan zaczął uważnie czytać:

— Oczywiście wielce moralnym i pełnym chrześcijańskiego zrozumienia jest przywoływanie, w słowie do wiernych, rozważań świętego Augustyna... o krwi jako o łzach duszy - szczególnie w kontekście przebaczenia, ale pogańskie malownicze opowieści wprowadzają tylko niepotrzebny niepokój wśród naszych wiernych... Co właściwie ksiądz miał na myśli? — zapytał, mocno pochylając się w jego kierunku.

- Bo... uważam, że nie trzeba przywoływać starych mitów w kazaniach, tym bardziej, że mamy tyle pięknych chrześcijańskich opowieści...

— Ale co dokładnie?!

— Ksiądz Maria Aleksander znaczną część kazania przeznaczył na opowiadanie o jakiś tam furiach zrodzonych z krwi... żądnych krwi i żywiących się krwią... - odpowiadał wikary, patrząc na mocno już zamysłonego przełożonego — że niby one, te furie znaczy się, zrodzone z krwi, zawsze podążają za tymi, co ją przelewają... Ale ja uważam, że to niepotrzebna symbolika na katolickiej mszy. I tak dużo tego wszystkiego dokoła. Tych czarodziei... — mówił znacznie już pewniejszym głosem.

— Tak... tak... — przerwał mu dziekan.

Przełożony był wyraźnie zadumany i milczał dłuższą chwilę.

— Nic wiem, czy dotarł do księdza przełożonego mój ostatni list? - zapytał wikary, chcąc przerwać ciszę.

— Tak? — otrząsnął się dziekan.

— Pisałem w nim... że ten niepokój, którym drażni parafian, udziela się również samemu księdzu Marii, mówię to z głęboką troską... bo w trakcie podniesienia, po słowach: „Kto spożywa moje ciało i krew moją pije, trwa we mnie, a ja w nim” - przerwał na chwilę i ściszył głos - no... po tym, sam bardzo długo trzymał kielich w

podniesieniu, jakby nie potrafił go przechylić... a wierni cały czas na kolanach... w konsternacji... I... Potem pytali mnie!.. – Dziekan nagle wstał.

– Od tej chwili obowiązuje księzca absolutny zakaz rozmawiania o tym z kimkolwiek. Pod rygorem... – Wikary zobaczył palec przełożonego skierowany w swoim kierunku. Zbladł.

Klara Lang popatrzyła na wielki plakat i nie była pewna, co zobaczyła najpierw: batonik czy dziewczynę, której usta umorusane były czekoladą. Nie wiedziała też, na co bardziej ma ochotę.

To pewnie te zachcianki, pomyślała, bo rzeczywiście nie miała pojęcia, po co wyszła z domu. Coś jej chodziło po głowie, tylko nie wiedziała co. Popatrzyła jeszcze raz na dziewczynę i pomyślała, że jednak kupi ptysie. Dwie wielkie torby. W kolejce do kasy kilka osób z ciekawością zaglądało do jej koszyka i poczuła się niepewnie. Miała wrażenie, że góra słodyczy ją dekonspiruje. Od razu widać, że jest w ciąży albo ktoś ją porzucił. Zaczęła więc prawie bezmyślnie dorzucać do koszyka inne rzeczy aż do momentu, w którym zapatrzyła się na zdjęcie kobiety z opakowania kremu czterdzieści pięć plus. Była piękna, pewna siebie, lekko zamyślona, czyli wyglądała dokładnie tak, jak zapisała w myślach Annę Hippmann – żonę zamordowanego Artura Hippmanna. Tak, to ona nie daje jej spokoju. Zresztą tak samo jak wszystkim. Z założenia, jako żona, była najbardziej podejrzana. Rozmawiali o niej tysiąc razy, sprawdzali na wszystkie możliwe sposoby, przesłuchiwali kilkanaście razy. Do znudzenia. I zawsze to samo, czyli nic. Nie wiedziała, kto mógł zabić jej męża. Nie było jej w mieście, gdy to się stało. Sprawdzili, to była prawda. Odziedziczyła jego pieniądze, ale to niekoniecznie musiał być motyw. Sama miała ich jeszcze więcej. Nikt nie powiedział o niej niczego złego, przeciwnie - wiele osób podkreślało jej religijność. Często była w kościele i udzielała się w życiu parafii. Obserwowali ją przez dłuższy czas, ale chłopaki ziewali z nudów, jeżdżąc za nią ze sklepu do kościoła i do domu. I tak w kółko. Raczej była bardzo samotna. Syn zginął w wypadku samochodowym wiele lat temu. Od tego momentu stała się bardzo wierząca.

Skupili się więc na kochankach i interesach Artura Hippmanna. Ciągnęli wiele wątków, ale żaden nie doprowadził ich do zabójcy.

A może by tak jeszcze raz z nią porozmawiać? Tylko ona i ja. Tak, by nikt nie przeszkadzał. Na jej terenie. Nie mieszkała wcale tak daleko. Kilka kilometrów. Zastanawiając się nad tym, Klara nie zauważyła, że zjadła pół paczki ptysi, stojąc w kolejce do kasy.

– Tak zrobię! – powiedziała głośno do siebie, wsiadając do samochodu i rzucając

torbę na siedzenie pasażera.

Sporo różowych kulek rozsypało się po samochodzie. Myślała, że będzie musiała je pozbierać, ale i tak większość zjadła po drodze do domu Anny Hippmann. Dwa, lekko tylko otrzepując, zgarnęła z podłogi, wysiadając z samochodu.

Samochód Anny stał przed ogrodzonym domem, zaparkowany przy kamiennym podjeździe do garażu. Istniało duże prawdopodobieństwo, że właścicielka jest na miejscu. Klara użyła dzwonka przy furtce i czekała, ale nikt nie otwierał. Nie drgnęła też żadna firanka w oknie. Zadzwoiła jeszcze raz. I też nic.

Może pojechała na wakacje?, pomyślała, patrząc na stertę ulotek walających się po chodniku. Niezły sygnał dla złodziei. Pokręciła głową i zaczęła zbierać reklamy pizzy, myjni samochodowej, projektantów ogrodów i jakieś inne, których już nie czytała. Była jeszcze pochylona, gdy do bramy podbiegł duży pies. W typie ogara. Zaczął jęczeć i skowyczeć. Przeciskał łeb przez metalowe barierki. Nie wiedziała, o co mu chodzi, dopóki nie zorientowała się, że trzyma w ręce słodkiego ptysia. Dała psu ciasteczko, a on połknął je i zaczął jęczeć jeszcze bardziej. Wróciła do samochodu i dała mu ich więcej. Był głodny.

Ciekawe od jak dawna nie ma jej w domu?, zastanowiła się Klara, zerkając na metalową skrzynkę pocztową. Akurat taką skrzynkę potrafiła otworzyć w sekundę. Wystarczył mały drucik. Poszperała po kieszeniach, zawsze coś tam mogła znaleźć, i znalazła mały spinacz. Rozejrzała się. Na ulicy nie było nikogo. Rozgięła spinacz, przysunęła się do skrzynki i podważyła zapadkę zamka. Przestraszyła się, bo prawie wypadła z niej cała upchana zawartość. W większości były to reklamy, trochę rachunków, ale uwagę Klary zwróciła błękitna karteczka. Wyjęła ją. Była ręcznie zapisana drobnymi kształtnymi literami: „Proszę, zadzwoń do mnie na ten numer...” i dopisek jeszcze mniejszymi literami: „Proszę. Kocham Cię. M.”.

A jeśli ona nie żyje?, pomyślała Klara, patrząc na wzrok wygłodniałego psa. Leży tam cała we krwi...

— Nie dramatyzuj! — upomniała siebie głośno, zamykając skrzynkę. — Może zwyczajnie zmarła w czasie snu — poprawiła się. — Przecież nie każda śmierć jest krwawa... Choć są nią każde narodziny — dodała i westchnęła, patrząc na swój brzuch.

Chwilę się zastanawiała, ale w końcu postawiła nogę na murku, drugą na klamce od furtki i przeskoczyła, a pies się ucieszył. Próbowwała go odgonić, ale nie chciał odejść. Obeszła więc z nim cały dom. Był parterowy. W większości pomieszczeń nie było firanek. Właściwie udało jej się wszędzie zajrzeć. I wtedy się wystraszyła.

— Czy mnie pogięło?!

Wróciła do bramy, poczekała, aż przejedzie jakiś samochód, który akurat

zwolnić. Przeskoczyła na chodnik. Wsiadła do samochodu i odjechała najszybciej, jak się dało. Prawie przejechała przechodnia. Gdy była już dostatecznie daleko, wystukała numer w swoim telefonie.

– No, hej! Sprawdź mi taki numer – powiedziała do znajomego oficera technicznego.

– A słyszałem, gratuluję... – usłyszała w odpowiedzi.

– Sprawdzisz?! – wrzasnęła podirytowana.

– Sprawdź... Powtórz... – Powtórzyła. – Ale słyszałem. .. Myślałem, że jesteś lesbijką...

– I co! - tym razem wydarła się do telefonu. Oddałam jajniki kolegom, żeby sobie nimi w kulki pograli!

– Nie krzycz, właśnie robię ci przysługę... Czyj to numer telefonu ?

– Mojej kochanki! – burknęła.

– Dasz kiedyś popatrzeć?! – Rzuciła telefonem na siedzenie i przez chwilę zastanawiała się, czy odebrać, gdy oddzwaniał.

– Nie obrażaj się! Ten telefon należy do niejakiej Marii Aleksander.

Klara zastanawiała się przez chwilę, czy to nazwisko coś jej mówi, ale nic nie mówiło. Tym bardziej, że spodziewała się męskiego wyznania, a ono było od kobiety...

– Ale wiesz, co jest ciekawe? – mówił głos w słuchawce.

– Co? - zapytała bez przekonania.

– Maria Aleksander jest zameldowana w kościele Świętego Ducha... Duża chata...

– i gwizd po drugiej stronie telefonu.

– Dzięki! – odpowiedziała i zatrzymała samochód.

– A wiesz? - usłyszała i zdziwiła się, że znowu ma siłę otworzyć oczy. Zobaczyła bandaż na swoich rękach, które on zaczął odwijać. – Wiesz, że parze miłość i śmierć odpowiada para seks i krew?

Nie patrzyła już na niego. Odwróciła głowę. I przestraszyła się tego, co zobaczyła. Zaczęła mrugać powiekami. Miała nadzieję, że obraz, który ma przed oczami zniknie. Ale on stawał się coraz wyraźniejszy. Chciała krzyknąć, ale nie miała siły.

– Wiesz, po co to wszystko? Zabójstwo w zemście nie powinno przypominać zwykłego morderstwa. To rytuał. Ma swoje formuły. Takie same jak wypowiedzenie wojny.

- Nachylił się nad nią, szarpiąc jej rękę. - To przecież też przelewanie krwi tylko na mniejszą skalę - powiedział, rzucając zakrwawione bandaż w jej twarz. –

Ofiara powinna być uprzedzona o swoim losie, nawet jak sama nie ma możliwości odpokutować.

– Przecież ja nie...

– Zamknij się! – warknął, a po chwili zaczął się śmiać.

Zobaczyła, że po jej rękach znowu ściekają czerwone stróżki krwi, i zamknęła oczy.

- Przeraza cię ten widok? - zapytał po chwili, nachylając się tak, że prawie czuła na twarzy jego oddech. - Nie martw się, mam dobry odplamiacz na plamy po... winie.

- Zaśmiał się, a echo odbijało się po kamiennych ścianach.

Klara Lang poklepała się po brzuchu.

- W tej instytucji za takimi jak ja nie przepadają, ale cóż... – powiedziała i weszła do kościoła Świętego Ducha. Od samego progu zobaczyła po prawej stronie wielki obraz Matki Boskiej z odkrytą piersią. Karmiła dziecko.

No nie, moje takie nie będą, nie ma cudów, pomyślała. Małe wypryski.

W kościele było niewiele osób. Modliły się, a przynajmniej sprawiały takie wrażenie, nie chciała więc podchodzić i pytać, czy znają Marię Aleksander. Nie wiedziała, co ma zrobić. W domu parafialnym wszystko było pozamykane. Już chciała wyjść na zewnątrz i poczekać, aż któryś z tych, co się modlą, wyjdzie, ale zobaczyła małego chłopca, który kręcił się przy ołtarzu, a potem zniknął gdzieś za drzwiami. Tam pójdzie, tam musi być ktoś, kto powie jej, kim jest Maria. Sama była jej ciekawa. I to niezdrowo. Przeszła więc przez cały kościół i weszła na schodki prowadzące w kierunku drzwi, za którymi zniknął chłopiec. Gdy była już na podeście, zawahała się, bo poczuła na sobie wzrok wszystkich siedzących w kościele. Miała nawet zamiar przyklęknąć albo coś w tym stylu, ale uznała, że nie będzie się wygłupiać. Szybkim krokiem przeszła za ołtarz i otworzyła drzwi. Tam stanęła jak wryta, widząc, jak chłopiec pomaga ściągać starszemu księdzu jakąś narzutkę.

– Tędy się nie wchodzi! - usłyszała i zauważyła, że chłopiec patrzy na nią z ciekawością.

– Tak, wiem, ale skoro weszłam... Dzień dobry.

– Szczęść Boże! - odpowiedział jej ksiądz, ściągając kolejną haftowaną narzutkę.

– No... szczęść. Przepraszam, że przeszkadzam, ale ja szukam pani Marii Aleksander... – powiedziała i usłyszała jak chłopiec parsknął śmiechem.

– Żarty sobie pani stroi?! – wycodził przez zęby ksiądz i zaczął drapać wielką brodawkę na brodzie.

– Nie... – odpowiedziała zbita z tropu rozbawioną miną chłopca.

– Ksiądz Maria Aleksander jest chwilowo... nieobecny.

– Ksiądz?! – zapytała z niedowierzaniem. – To w Polsce kobiety... – chciała zapytać, bo nie wierzyła w to, co słyszy.

Ksiądz, który stał przed nią z coraz groźniejszą miną, chciał już coś powiedzieć, gdy weszła starsza przygarbiona kobieta z mopem i od razu zaczęła zmywać podłogę.

– Ksiądz Maria Aleksander wyjechał – powiedział dziwnie cicho.

– Wyjechał? – powtórzyła, nie będąc pewna, czy dobrze usłyszała.

Chłopiec odwrócił się plecami i miała wrażenie, że rechocze. Kobieta z mopem przestała zmywać i spojrzała w jej stronę.

– Proszę pani, jeśli ma pani jakieś pytania, to godziny przyjęć w parafii są w piątki!

– Ale ja chciałam tylko zapytać...

– Teraz proszę wyjść! - powiedział wikary, patrząc na nią wyczekująco.

Wyszła i chwilę stała, analizując to, co usłyszała. Już miała iść, gdy drzwi się otworzyły i wyszła z nich przygarbiona kobieta, tylko już bez mopa.

– Pytała pani o księdza Marię?

Klara Lang przytaknęła.

– Chodzi pani o ten cud? - powiedziała kobieta szeptem

Znowu przytaknęła, nie mając zupełnie pojęcia czemu. Jaki cud?! Kobieta tajemniczo rozejrzała się wokół siebie, potem kiwnęła do niej, żeby się nachyliła, i już miała coś powiedzieć, gdy otworzyły się drzwi i stanął w nich ksiądz.

– Pani Maciagowa! W zakrystii nieposprzątane!

Kobieta skuliła się i szybko weszła tam, skąd przyszła.

A ksiądz bez słowa zatrzasnął drzwi. Klara usłyszała przekręcanie klucza w zamku. Przeszła przez kościół odprowadzana wzrokiem modlących się ludzi. Wyszła na zewnątrz i usiadła na schodach. Siedziała tak, nie mogąc pozbierać myśli, gdy zobaczyła chłopca, którego widziała wcześniej z księdzem. Biegł po chodniku, kopiąc przed sobą jakiś kamyk.

– Zaczekaj! – krzyknęła w jego kierunku.

Zatrzymał się. Podeszła do niego.

– Ale żeś pojechała – zaśmiał się chłopiec. – Myślałaś, że to dziewczyna?

– A co miałam nie myśleć! Sama zastanawiałam się nad neutralnym płciowo imieniem, ale to nie przyszło mi do głowy - rzekła, a chłopak się zaśmiał. - Słuchaj, gdzie mogę zastać tego księdza?

- Nie wiem. Nikt nie wie. A może nie chce powiedzieć. .. Nie wiem... To od

tamtego czasu...

– Jakiego czasu?

- No, od tej mszy.

- Jakiej mszy?

- Wiesz, on był bardzo fajny, nie to co ten! Ale ostatnio zrobił się jakiś dziwny.

- Jaki dziwny? - zapytała.

- No nie wiem... - Chłopiec podrapał się po głowie.

- Inny jakiś...

- A o co chodzi z tym cudem? – zapytała, przypomniała sobie szept kobiety.

- Ja tam nie wiem. Ale w trakcie podniesienia... nie wiem... Zanieśliśmy jak zwykle fiolki z winem i wszystko było normalnie. Tylko potem, jak on nalewał je do kielicha mszalnego, zrobił się jakiś dziwny na twarzy. Potem było podniesienie i gdy miał wypić jak zwykle, trzymał ten kielich tak długo, że wszyscy w kościele zaczęli szeptać. Potem wypił, nie wypił, nie wiem, może tylko dotknął ustami i powiedział cicho, ale i tak wszyscy słyszeli, bo miał mikrofon przed sobą, że... to krew. - Chłopiec zamyslił się, a ona poczuła, że ją mdli, więc zaczęła głęboko oddychać.

- I co w tym dziwnego? – zapytała, bo chłopiec przez dłuższą chwilę się nie odzywał. – Przecież oni zamieniają wino w krew za każdym razem?

– Niby tak... – chłopiec ociągał się z odpowiedzią – ale jemu potem ten kielich wypadł z rąk i wszystko się wylało na ołtarz, to znaczy na obrus. Maciągowa, ta od sprzątania, była akurat na tej mszy, potem wzięła ten obrus i mówi wszystkim, że to nie plamy po winie, bo ona się na tym zna, tylko po krwi... Że to cud... Zresztą schowała ten obrus i teraz ciągle się tylko namawia z jakimiś kobietami... i one chyba się do niego modlą nawet...

– A co z księdzem Marią?

– Nie wiem. Chyba po tym wszystkim wyjechał. Nie wiem... Zresztą mamy o tym nie gadać. Na tą Maciągową to wikary teraz nawrzeszczał, że do pani wyszła. O, mama przyjechała! - krzyknął chłopiec, widząc podjeżdżające do nich czerwone auto. - Do widzenia pani.

– Szczęść Boże – odpowiedziała mu.

Zmusiła się, żeby poczekać, aż chłopiec odjedzie, a sama nachyliła się nad pierwszym krzakiem i zwymiotowała.

Wikary poczuł, że uciska go koloratka, gdy zobaczył na wyświetlaczu swojego telefonu nieodebrane połączenie od dziekana z kurii. Nie słyszał dzwonka, bo wdał się w niepotrzebną dyskusję z jakimiś paniami, które chciały udekorować kościół

przed sobotnią uroczystością ślubną. Nie pozwolił na ten odpust, który zamierzały urządzić. Obwiązać wszystko białymi kokardkami. I nie szkodzi, że ksiądz Maria pozwolił, on się na to nie godzi!

Ksiądz Maria Aleksander robił dużo dziwnych rzeczy. Wikary aż się wzdrygnął na samą myśl. Po wizycie u dziekana znowu poszedł do pokoju, szukał już znacznie dokładniej i znalazł zeszyt, w którym było stanowczo za dużo nieodpowiednich zapisków, świadczących o co najmniej niezdrowych fascynacjach. Były tam jakieś złote myśli, jakieś cytaty, że niby z Hamleta, co mu się spełnia czarna magia nocy i mógłby chęptać gorącą krew... wampir jakiś! I jeszcze chińskie mądrości, że niby oddech i krew igrają w nas niczym wiatr i deszcz we wszechświecie... Co za bzdury! A że to wszystko bardzo niezdrowe fascynacje, to jemu wystarczył wycinek z gazety o jakimś mordercy Haighu, co drenował i pił krew swoich ofiar. Wikary zrobił z tego wszystkiego notatki i postanowił, że w odpowiednim czasie wyśle je do kurii, nawet jeśli ksiądz Maria wróci. A może nawet teraz?

Poczuł się stanowczy i nieprzejeđnany, usiadł na krzeselku w korytarzu i zbierał się do wystukania numeru dziekana. Już prawie nacisnął zieloną słuchawkę, gdy usłyszał modlitwy dobiegające z małej kapliczki przy salce parafialnej. Kółko różańcowe?, zaczął się zastanawiać, słysząc szeleszczące kobiece głosy. Ale teraz?! Spojrzał na zegarek — było przed południem. Przecież nawet jego miało teraz nie być. Wrócił z kościoła tylko po to, by spokojnie porozmawiać. Zdziwił się i poszedł w kierunku dobiegających głosów. Słyszał coraz wyraźniej chór kobiet, z których jedna czytała jakąś litanie, a reszta powtarzała słowa: „Wybaw nas”. Doszedł do kapliczki. Drzwi były zamknięte. Przystawił ucho.

- Krwi Chrystusa, która poisz i oczyszczasz dusze...— usłyszał kobiecy głos.
- Wybaw nas — odpowiedział chór.
- Krwi Chrystusa, zwyciężająca złe duchy...
- Wybaw nas.
- Krwi Chrystusa, mocy wyznawców...
- Wybaw nas.
- Krwi Chrystusa, rodząca dziewice...
- Wybaw nas.

Co to za zaraza jakaś?, pomyślał wikary i podrapał się po brodawce. Był prawie pewien, że prowadząca jest Maciagowa. Ale dlaczego czyta Litanie do Przenajświętszej Krwi Pana Jezusa?! Po chwili domyślił się i zatrząsł się z wściekłości.

Usłyszał swój telefon. Dzwonił dziekan. Odsunął się od drzwi i odebrał.

– Księżę wikary – dotarł do niego głos dziekana – czy ksiądz Maria Aleksander pojawił się w kościele?

– Nie – odpowiedział potulnie.

– A czy ksiądz nie może zdobyć jakiś informacji, gdzie ewentualnie może on przebywać?

– No nie wiem...

– Nie może ksiądz sprawdzić w jego pokoju?

– No nie wiem...

– Przecież ksiądz już tam był! - Wikary skulił się jeszcze bardziej i rozejrzał się dokoła, czy aby ktoś nie podgląda. – Zresztą nieważne, proszę sprawdzić. A czy kontaktował się ksiądz z Anną Hippmann?

– Nie – odpowiedział zdziwiony.

– Przecież ksiądz sam sugerował, że to ona mogła być przyczyną zniknięcia księdza.

– No... ta...Ale to były tylko...

– To wasza parafianka, proszę więc się do niej udać. Jeszcze dziś. I zadzwonić do mnie. Potem zastanowimy się, co robić dalej!

– A... dobrze – opowiedział skonsternowany wikary.

– Szczęść Boże – usłyszał jeszcze, nim dziekan odłożył słuchawkę.

Zupełnie nie wiedział, co ma myśleć, gdy za drzwiami kaplicy rozspiewał się chór kobiet:

- Baranku Boży, który gładzisz grzechy świata... Począł i razem ze słowem „amen” otworzył drzwi do kaplicy. Zobaczył Maciągową klęczącą w pierwszym rzędzie przed małym ołtarzem, na którym leżał poplamiony obrus. Za nią klęczało z osiem kobiet.

- Pani Maciągowa? Co tu się dzieje?! – krzyknął w kierunku kobiety.

- Nic - odpowiedziała mu, wstając i próbując swoim ciałem zasłonić ołtarzyk. – Litanię odmawiamy.

Wikary zdecydowanym krokiem obszedł Maciągową i bez słowa ściągnął obrus. Wszystkie kobiety wstały i zaczęły nerwowo szeptać między sobą. Maciągowa zmrużyła oczy i tylko pokiwała znacząco w ich kierunku. Wikary dziwił się, że nie oponuje, do momentu, w którym zobaczył, że trzyma tylko niewielki kawałek materiału; jeden jego bok był obszyty, a drugi przecięty nożyczkami.

- Gdzie reszta?! – zapytał groźnie. – Pytam jeszcze raz! – powiedział i podszedł do Maciągowej.

- Ta pani, co tu była i też wierzy w cud... – powiedziała kobieta, odsuwając się od niego – wzięła do ekspertyzy!

I potwierdzi... że to krew! Bo ja się na plamach znam! Nie to co ksiądz wikary.

Klara Lang już wiedziała, że krew, która znalazła się na obrusie w kościele Świętego Ducha, należała do Anny Hippmann, lecz nie podzieliła się tą wiedzą z nikim. Oczywiście wiedział to technik, którego musiała ubłagać przebadanie próbki, ale jego nie obchodziło, co bada. Potwierdził zgodność z jedną z próbek badanych wcześniej.

I tyle.

Wiedziała też, że powinna to komuś zgłosić, ale postanowiła, że najpierw sama jeszcze raz sprawdzi, o co może w tym wszystkim chodzić, a przynajmniej jeszcze raz odwiedzi dom Anny Hippmann. Dlatego teraz, odczekawszy godzinę w samochodzie, znowu przeskakiwała przez ogrodzenie posesji, tym razem prawie łamiąc nogę. Samochód Anny Hippmann ciągle stał w tym samym miejscu. Panował już lekki półmrok, ale nie zapaliło się żadne światło oprócz tego, które sama musiała uruchomić, przechodząc obok furtki. Odczekała chwilę w krzakach. Nic się nie działo. Zaczęła się skradać na tyły domu. Wtedy znowu zobaczyła błyskające światło przy furtce. Ktoś tam stał. Przytuliła się do ściany i czekała. Czarna postać kręciła się nerwowo, w końcu zadzwoniła. Światło nie gasło, bo postać chodziła w tę i z powrotem wzdłuż bramy wjazdowej, rzucając dziwny cień. Klara przesunęła się kawałek, by lepiej się przyjrzeć. Nie wierzyła!

— No, matrix rewolucja! — powiedziała sama do siebie, patrząc na mężczyznę w sutannie, którą podwiewał wiatr.

Ksiądz zadzwonił jeszcze raz, ale bez rezultatu. Pomyślała, że poczeka chwilę przyklejona do ściany, nim on odejdzie. Ale on stał i po dłuższej chwili zwyczajnie nacisnął klamkę, a furtka się otworzyła. Zakłęła w duchu, ciągle czując ściętno naciągnięte podczas zeskakiwania z ogrodzenia. Im bardziej się zbliżał do wejścia, tym była pewniejsza, że to ten sam, z którym ostatnio rozmawiała. A gdy stanął pod drzwiami i zaczął skubać brodawkę, była już pewna.

Co on tu robi?, zaczęło się jej kołatać po głowie. Tym bardziej, że już nie zapukał do drzwi tylko zaczął zaglądać w okna. Tak jak ona wcześniej. Patrzyła na niego i w tym samym momencie, tak samo jak on, prawie podskoczyła, gdy niespodziewanie w jednym z okien zapaliło się światło. Uciekła w kierunku ogrodu i przykleiła się do ściany drewnianej altanki, o mały włos przewracając grabie. Stąd miała dobry widok na księdza, który stał pod drzwiami i w końcu zapukał, przyglądając włosy na głowie.

— Szczęść Boże - powiedział, gdy otworzyły się drzwi i stanął w nich młody chłopak z długą grzywką przysłaniającą oczy.

– A szczęście... i czego ksiądz tak szuka... tu dookoła?

- zapytał wesołym głosem i wyszedł gościowi naprzeciw, przymykając za sobą drzwi.

– a... ja chciałbym porozmawiać z Anną Hippmann.

- Nazwisko powiedział dosyć głośno, w kierunku szpary w drzwiach, jakby chciał, by wyszła i potwierdziła, że go zna.

– Mamy nie ma w domu. – odpowiedział chłopak.

– Mamy? – zapytał ksiądz dokładnie w momencie, gdy gdzieś z garażu rozległ się głuchy huk czegoś, co się przewróciło, a może poturlało.

– To kot. – Powiedział chłopak, wzruszając ramionami.

– Kot? – znowu zapytał wikary.

Tym razem z garażu dobiegł dziwny jęk, a potem stłumiony krzyk. Nie był głośny, ale tak zawodzący, że Klarze przeszły ciarki po plecach.

– Nie, to kotka... – powiedział chłopak z wyraźną kpina w głosie, przysuwając się do księdza. - Ma ruję. One dziwnie się wtedy zachowują.

– Aha... – przytaknął ksiądz i zrobił krok do tyłu.

– Odprowadzę księdza. Przekazać coś mamie? – zapytał młody człowiek, ale ksiądz stał tylko, nerwowo drapiąc się po brodawce. – A może ksiądz chce sam jej coś powiedzieć? - dopytywał chłopak z uśmiechem i znowu się przybliżył.

Wtedy Klara zobaczyła jakiś przedmiot, który chłopak trzymał schowany za plecami. Znowu rozległ się jęk dobiegający z garażu. Tym razem mniej piskliwy, grubszy. Zobaczyła, że chłopak wysuwa rękę, jakby chciał użyć czegoś, co zaciskał w pięści. Nie czekała. Chwyciła grabie.

– Uwważaj! – zdążyła krzyknąć, biorąc zamach.

Ale chłopak uchylił się. Lekko tylko przejechała mu grabiami po karku. Zaatakowała jeszcze raz, tym razem dostał, syknął z bólu, ale udało mu się chwycić grabie jedną ręką. Był silny. Pchnął ją do tyłu i na sekundę straciła równowagę, potykając się o jakiś krawężnik. To wystarczyło, by wyciągnął przedmiot, który trzymał w dłoni i zbliżył się do niej. Przeszył ją prąd. Poczowała tylko, jak się trzęsie, trzepocze i zwała na ziemię. Zobaczyła jeszcze śmiejącą się twarz chłopaka i czarne poły sutanny, falujące w ucieczce.

Patrzyła, jak podnosi kryształowy kieliszek. Już nie miała siły się otrząsać.

– Twoje zdrowie! – powiedział i zaśmiał się. Przechylił, wypił łyk i odstawił, lekko się krzywiąc. – Wolę zimną krew. Gorąca zbyt uderza do głowy. Ale cóż, trzeba się spieszyć, tamten klecha uciekł. Za piętnaście minut mogą tu być... Wtedy trzeba będzie się skończyć... – powiedział ciszej do siebie.

Wstał. Patrzyła, jak podchodzi do niego, stając nogą w czerwonej kałuży. Odwrócił się do niej.

– Nie jestem winny krwi tego sprawiedliwego - powiedział i zaśmiał się, tupiąc butem w czerwonej brei. - Wiesz kto to powiedział?

Ani drgnęła. Patrzyła na nieprzytomnego Marię Aleksandra. Był blady i nie dawał żadnych oznak życia. Wytrzymaj, prosiła w duchu. Wytrzymaj!

– To musisz wiedzieć! – powiedział chłopak i znowu poszedł do stolika, wziął skalpel.

– Zostaw go. Jak musisz, to mnie zabij. – poprosiła go znowu.

– Nie muszę, ale chcę. Sam przyszedł. Po co węszył... Przecież go uprzedziłem... by się miał na bacności... Po co cię szukał? Ukradł mój rysunek!

Patrzyła na swojego syna i nie wierzyła samej sobie. Gdy go zobaczyła, cieszyła się, że żyje. Teraz chciała, żeby znowu nie żył. Tym razem naprawdę. Nie miała pojęcia, dlaczego mąż ją oszukał, dlaczego wymyślił jakiś wypadek, dlaczego zamknął go w szpitalu psychiatrycznym. Wstydził się?! W jego rodzinie były przypadki chorób psychicznych. Ale przecież by go nie obwinią!

– Ojciec też ukradł mi mój rysunek! Pytał, dlaczego tak cię narysowałem. Powiedziałem mu... – wycodził przez zaciśnięte zęby, przesuwając palcem po krawędzi skalpela – że krew jest osobliwym sokiem... i... A on na to, że jestem chory... – dodał po chwili, znowu podchodząc do nieprzytomnego księdza.

Może mnie chronić?, pomyślała. Już się nie dowie. Teraz jej syn zabije Marię, zabije ją i jeszcze tę dziewczynę, którą tu przyciągnął prawie nieprzytomną. Nie miała pojęcia, skąd ona się wzięła. Nie zobaczyła jej twarzy. Przypiął ją kajdankami do kaloryfera tak, że widziała tylko jej plecy.

- Wiesz – powiedział, nachylając się nad księdzem Marią i rozcinając precyzyjnie kolejną jego żyłę na przegubie ręki – Arabowie wierzyli, że jedna z dusz, zwana nefs, uchodzi z ciała wraz krwią... Więc jego właśnie uchodzi.... I dodał, z zadowoleniem patrząc na świeżą strugę, kilka kropek pociekło po jego dłoni. Zlizał je... - Teraz ona. Nie patrz tak, ty na deser... – zaśmiał się, podchodząc do dziewczyny, która zaczęła krzyczeć.

- Nie krzycz, nie bój się, twoja ujdzie gwałtownie...

Klara Lang nie straciła przytomności, choć poczuła, że doszła do siebie dopiero, gdy zaczęła wrzeszczeć z całych sił. Gdy ją wciągał, zobaczyła Annę Hippmann śmiertelnie bladą, z pokrwawionymi rękami przykutymi do jakiejś rury. Wtedy nie miała jeszcze siły krzyczeć. Ani wtedy, gdy w kącie zobaczyła leżącego mężczyznę. Jemu zakrzepnięta krew ściekała po skroniach. A teraz ten wariat

szedł do niej. Zaczęła wierzgać. Próbowwała go kopać. Ale usiadł jej na nogach i z całej siły uderzył pięścią w twarz. Poczła, jak jej głowa odbija się od ściany. Ledwo trzymała ją w pionie. Nachylił się. Przeczekała. I jak tylko mogła, głową przywaliła w jego głowę. Myślała, że ją rozbiła, ale on tylko się uśmiechnął. Jeszcze raz wyciągnął pięść. Ale nim znowu poczuła ścianę, zobaczyła nad głową chłopaka wielką brodawkę na brodzie księdza. Wikary stał nad nim z czymś w ręku. Sekundę później poczuła zwalające się na nią ciało. Chłopak się nie ruszał.

- Szybko! Tam, na stoliku są kluczyki! - wrzasnęła do wikarego, który stał osłupiały z jakąś pięćdziesięciocentymetrową figurką w ręce.

- Szybko! - powtórzyła z krzykiem, zwalając z siebie ciało chłopaka, który zaczął już mamrotać.

Ksiądz drżącą dłonią wziął kluczyki i nieporadnie, kilka razy nie trafiając do dziurki, otworzył kajdanki. W drugiej ręce cały czas trzymał figurkę jakiejś postaci. Uwolniona, podeszła najpierw do leżącego mężczyzny. Sprawdziła puls.

- Żyje! — zawołała. — Dzwoniłeś po pogotowie?!

- Nie, tylko po policję!

- To dzwoni! - zdążyła krzyknąć, zanim księdzu wypadł telefon, rozlatując się na trzy części

- Pomóżcie mi — jęknęła Anna Hippmann.

Klara podeszła do kobiety i zaczęła ostrożnie odwiązywać od rury jej poranione ręce. Gdy tylko ją uwolniła, poczuła na sobie prawie bezwładne ciało. Objęła ją, patrząc, jak ksiądz trzęsącymi rękami składa telefon, a syn Anny Hippmann zwleka się z podłogi i chwiejnym krokiem ucieka w kierunku drzwi. Chciała ruszyć za nim, ale usłyszała dźwięk policyjnych kogutów.

- Ucieknie! - krzyknął wikary, stojąc w miejscu.

- Ale nie za daleko! - powiedziała Klara, ciągle podtrzymując w ramionach osłabioną Annę Hippmann.

- Ale on może sobie coś zrobić — wyszeptwała kobieta.

- Gdy człowiek zmasany ludzką krwią ucieka aż do grobu... — powiedział wikary, rozglądając się wokół siebie - .to niech go nie wstrzymują!

Klara Lang spojrzała na niego i pokiwała głową.

- A to kto? - zagadnęła Klara, wskazując na figurkę, którą wikary cały czas trzymał w dłoni.

- A... to? - zapytał, patrząc na znikające we mgle karetki pogotowia.

- Yhm - przytaknęła.

- Chyba święty Juda. Patron spraw beznadziejnych. Stał w ogrodzie i... był poręczny.

- Może i mnie by się przydał - stwierdziła, głaszcząc się po brzuchu. — Dzięki, że ksiądz wrócił... Nie wierzyłam...

- Ja też nie... — powiedział wikary, szarpiąc nerwowo brodawkę.

Klara Lang zamysliła się, trzymając rękę na brzuchu, a potem spojrzała na wikarego.

- Jak ksiądz ma na imię?

- Hilary — odpowiedział zdziwiony.

- A, to nie... — Pokręciła głową. — Ale... myślę, że to jest początek pięknej przyjaźni — dodała z uśmiechem.

Jacek Skowroński

EFEKT DOMINA

Ustkę odwiedza w sezonie tak wielu wczasowiczów, że przyjezdny musiałby paradować w kostiumie arlekina, żeby zwrócić na siebie uwagę. Mnie akurat nie zależało na zwracaniu niczyjej uwagi.

Leniwie kroczyłem wąskimi uliczkami, mijając grupki zmierzających na plażę urlopowiczów. Beztroska gawieź, ubrana z radosnym lekceważeniem trendów światowej mody, płynęła w kierunku morza niczym stado migrujących lemingów. Wielkie, wypasione mewy srebrne spacerowały dostojnie po skwerkach w pobliżu smażalni ryb. Dieta urozmaicona frytkami, ciastkami i chipsami sprawiała, że nie chciało im się wylatywać na morskie połowy. Gdy dostawały jakiś kęs, dumały najpierw przez chwilę, czy opłaci się zrobić parę kroków, a następnie z wyraźną wyniosłością przyjmowały należny sobie haracz.

Mimo pełni sezonu, co i rusz napotykałem informacje o wolnych miejscach noclegowych. Powoli oddalałem się od centrum, więc ceny były coraz niższe, ale nie to mnie najbardziej interesowało. Pragnąłem znaleźć kącik, w którym goście nie mają szansy na głębsze kontakty towarzyskie. Taką mam naturę, że gdy naprawdę chcę odpocząć nie szukam towarzystwa. Obojętnie mijałem wille z okazałymi tarasami, leżakami, parasolami i grillem w ogrodzie.

Już z daleka spodobała mi się niewielka chałupka z czerwonej cegły z frontem obrośniętym bluszczem. Mocno zapuszczony ogród niezbyt nadawał się do wieczornych imprezek, nie zauważyłem też żadnych sprzętów rekreacyjnych. Niestety akurat tu nie było wywieszki o noclegach. Zapaliłem papierosa, zastanawiając się, czy warto zagadnąć gospodarzy o pokój, gdy do furtki podeszła jakaś kobieta w wieku nieco powyżej średniego.

— Pan do kogo? — Postawiła na ziemi siatkę z zakupami.

— Do nikogo... — Wzruszyłem ramionami, ale nie odchodziłem. — Szukam kwatery.

— Pan sam? — W jej tonie wyczułem nutę ni to zdziwienia, ni wahania.

— Sam.

— Pokój by się może znalazł..

- Na długo?

— Dwa tygodnie, może miesiąc. Zależy, czy w firmie będą mnie potrzebowali.

Dyskretnym spojrzeniem musnęła moją prawą dłoń. Brak obrączki o niczym nie świadczył, lecz kobieta stała się nagle podejrzaną gościnną.

— Pan wejdzie, rozejrzy się, herbaty zaparzę.

Dużym, dwustronnym kluczem otworzyła furtkę, gdy weszliśmy, machinalnie sięgnęła do zamka, jakby chciała zamknąć ją z powrotem. Zreflektowawszy się w ostatniej chwili, machnęła ręką i poprowadziła mnie w stronę domu.

— Miał pan szczęście, że akurat szłam z zakupami. Prowadzę smażalnię w porcie i zaraz wracam do roboty, wie pan, po południu zacznie się ruch. Pan uważa na krzaki, ogród trochę zarósł, dawno nie było tu mężczyzny...

Jej ostatnia uwaga lekko mnie zastanowiła, ale stłumiłem brzydkie podejrzenia i podążyłem w ślad za właścicielką posesji.

Dłuższą chwilę manipulowała przy drzwiach, wreszcie uchyliła je i zawołała:

— Ania, mamy gościa!

Usłyszałem skrzypienie zawiasów, czy może sprężyn łóżka na górze, a potem ciche kroki. Po schodach zeszła młoda kobieta. Nie miała szans na karierę w filmie, była ciut za wysoka, odrobinę za chuda, jej krótko obcięte jasnobrązowe włosy chyba nie bardzo chciały układać się zgodnie z ruchami grzebienia, a błękitne oczy przesuwwały się obojętnie po otoczeniu, nadając twarzy jakiś nieobecny wyraz. Uśmiechnąłem się sztucznie i wyciągnąłem rękę na powitanie.

— Dzień dobry, jestem Łukasz.

Zrobiła dziwny ruch, jakby nie wiedziała, którą dłoń ma mi podać. Wreszcie pozwoliła ucisnąć sobie nieruchome palce i natychmiast je cofnęła.

— Ania, zrób herbaty i przewietrz pokój na dole. Pan Łukasz zostanie u nas... — Poczekała, aż tamta zniknie w kuchni i powiedziała cicho: — To moja córka. Nie mówi. Jest trochę... - szukała przez moment właściwego słowa — no, trudno jej przebywać z ludźmi, krępuje się. Ale jak kogoś pozna...

Poczułem się mocno niezręcznie. Dość miałem własnych problemów, realnych i wydumanych, by przejmować się cudzymi. Zwłaszcza w czasie urlopu.

Kobieta zaprowadziła mnie do niewielkiej, czystej kuchni i posadziła za stołem. Kombinowałem, jak by się tu zgrabnie się wycofać, ale na razie nic nie przychodziło mi do głowy.

- Nie boi się pani przyjąć obcego? — rzuciłem niby żartem, zdejmując okulary przeciwsłoneczne.

- E... — rzekła i przez moment zatrzymała spojrzenie na mej twarzy - znam się na ludziach. Kiedyś, jak mąż jeszcze był z nami, przyjmowaliśmy więcej letników, ale sama nie mam czasu. Wie pan, w październiku zamykamy smażalnię, więc przez te parę miesięcy trzeba zarobić na cały rok. Córka pomaga mi trochę, ale za

ładą nie stanie. Mam pracownicę na pół etatu, przychodzi po południu, kiedy największy ruch. Teraz w sezonie cały dzień pilnuję interesu, nie mam czasu zajmować się gośćmi.

- Ja nie jestem kłopotliwy - powiedziałem, zdecydowawszy się nagle. - Miałem ostatnio trochę problemów rodzinnych. .. Pani rozumie, chcę odpocząć w spokoju.

Wróciła Anna, przekazała coś matce w języku migowym i zniknęła na górze. Poszliśmy zobaczyć mój pokój, choć właściwie niewiele było do oglądania; rozkładana wersalka, komoda i szafa, pod oknem stolik z krzesłem. Niczego więcej nie potrzebowałem. Dla zasady spytałem o cenę i zapłaciłem za tydzień pobytu.

Zrywałem się skoro świt i szedłem na plażę. Moja kwatery znajdowała się dość daleko od centrum Ustki, nad morze był kawałek drogi, ale już drugiego dnia znalazłem wygodny skrót. Trzeba było przedrzeć się wąską, zarosniętą dróżką wzdłuż parkanu ośrodka wczasowego, minąć stary nasyp kolejowy i przejść jakieś pół kilometra lasem. Wychodziło się na wydmy i plażę obmywaną morskimi falami. W oddali majaczył ledwie widoczny zarys portu, po pustej plaży szwendały się mewy szukające śniadania wśród wyrzuconych przez fale owoców morza.

Zrzucałem ubranie i nago biegłem do wody. Była cholernie zimna, ale płynąłem przed siebie aż do całkowitego wyczerpania, odpoczywałem, unosząc się na plecach, i resztkami sił wracałem do brzegu. Stworzyłem sobie własną odmianę rosyjskiej ruletki - kilka razy miałem całkowitą pewność, że nie zdołam pokonać powrotnej drogi, ale ciało może znieść więcej, niż nam się zwykle wydaje. Było w tym jakieś masochistyczne igranie z żywiołem. Świadomie podejmowałem wyzwanie, trochę jak alpinista, który nigdy nie wie, czy wróci z wyprawy, jednak nikt nie nazwie go samobójcą. Zresztą wkrótce zacząłem oszukiwać; znalazłem daleko od brzegu płytsze miejsce, na którym mogłem stanąć z głową nad wodą, a kiedy nadciągała większa fala, wystarczyło podskoczyć. Po kąpieli zakładałem ciuchy na mokre ciało i szedłem przed siebie. Około ósmej zaczynali pojawiać się pierwsi plażowicze, a ja wracałem na śniadanie. Mojej gospodyni nie było już o tej porze, jej milcząca córka prawie się nie pokazywała. Wiedziałem, że jest w domu, słyszałem niekiedy ostrożne kroki na górze. Pichciłem coś prostego w kuchni i znów uciekałem nad morze. Wybierałem jakiś zaciszny zakątek na wydmach, wrzynających się miejscami głęboko w plażę, pozwalający zniknąć z zasięgu ludzkich spojrzeń i głosów.

Gdy żółądek dawał sygnał, że zbliża się pora posiłku, szedłem brzegiem do portu. Smażalnia prowadzona przez moją gospodynię — panią Leokadię — była jedną z wielu podobnych do siebie knajpek ze stołami ustawionymi pod wielkimi parasolami. Aromat świeżo przyrządzonej ryby mieszał się ze słodkimi zapachami

deserów wabiących stada os. Nie musiałem wchodzić do środka, właścicielka, widząc mnie przy stoliku, natychmiast szykowała odpowiednią porcję i przynosiła ją osobiście. Czasem widziałem jej córkę krzątającą się w środku, pani Leokadia mówiła coś do niej, wskazując głową w moim kierunku. Po paru dniach Anna uległa perswazjom i sama podała mój posiłek. Uśmiechnęła się pierwszy raz, gdy jakaś natrętna osa próbowała ukraść mi coś z talerza. Mimo iż prawie dorównywała mi wzrostem, poruszała się bez charakterystycznej dla zbyt wysokich dziewczyn sztywności, a jej nieco chłopięca figura pozbawiona była wyzywających atrybutów kobiecości. Z cichą Anną łączyło się coś bliżej nieokreślonego – subtelna aura tajemniczości i rodzaj dystansu do otoczenia, które zdawało się niewiele ją obchodzić. Zawsze lubiłem, gdy dziewczyna była trochę inna niż wszystkie, budziła fascynację jakąś niebanalną cechą charakteru czy urody. Jej milczenie stwarzało naturalną barierę, nie musiałem silić się na zwyczajowe komplementy i durne rozmowy o pogodzie. Nienawidzę rozmów o pogodzie.

Każdy dzień był niemal kopią poprzedniego, a ja nie szukałem na siłę urozmaicenia. Nie używałem zegarka, odpuściłem sobie telewizję i gazety. Dostosowałem się do naturalnego rytmu przyrody, kładłem się o zmroku i budziłem o świcie.

Tamtego dnia rano wstał pochmurny. Położyłem trochę brzegiem morza i wcześniej niż zwykle pojawiłem się w porcie. Zjadłem smażoną flandry i powoli sączyłem zimne piwo, siedząc samotnie pod wielkim parasolem.

Betonowym nabrzeżem wolno jechała granatowa bryka z przyciemnianymi szybami, wreszcie zatrzymała się nieopodal. Do samochodu podszedł starszy, zarośnięty facet, szyba opuściła się do połowy, mężczyzna pochylił się, włożył rękę do środka. Coś wziął albo zostawił, powiedział parę słów i odszedł. Z bryki wysiadł niski, młody człowiek w ciemnych okularach i, rozejrzawszy się dookoła, pomaszerował w dół deptaka. Wszedłem do lokalu, żeby oddać butelkę. Moja gospodyni stała wpatrzona w granatowy wóz, jej pobladła twarz zastygła niczym gipsowa maska.

— Pani Leokadio... — Odwróciła głowę, ale patrzyła na mnie jak na obcego. Wskazałem głową samochód. - Kto to jest?

— Kto...? — Spróbowała się uśmiechnąć, ale wyszło tak, jak gdyby chciała zaprezentować mi nową protezę. — Nikt. Przyjeżdżają tu czasem...

Jakimś dziwnym gestem zasłoniła usta i zniknęła w pakamerze. Chwilę później dobiegł stamtąd podniesiony głos:

— Do domu, szybko! Nie tędy, niech cię nie widzą.

Po paru sekundach trzasnęły drzwi na zapleczu. Właścicielka wróciła za ladę i spojrzała na mnie pytająco.

– Poproszę jeszcze jedno piwo.

Znów usiadłem pod parasolem i zapaliłem papierosa. Konus w ciemnych okularach pojawił się po jakiejś godzinie. Mimo nikczemnej postury coś w jego ruchach budziło respekt. To był typ, któremu ustępuje się z drogi. Tak na wszelki wypadek. Wchodził do lokali, ale nie od frontu, zniknął gdzieś z tyłu i pojawiał się znów po minucie lub dwu. Zauważyłem, że nie wszystkie cieszą się jego zainteresowaniem, niektóre mijał obojętnie. Ale naszego nie ominął.

Gdy zobaczyłem, że moja gospodyni wysuwa się zza lady i zamyka za sobą drzwi od pakamery, wszedłem do środka i, udając, że studiuje wiszące na ścianie menu, starałem się podsłuchać odgłosy z zaplecza. Nie musiałem się specjalnie wysilać, bo gość nie próbował zniżyć głosu:

– Nu kak, wsio w pariadkie? Kak doczka, a...?

Nastąpiła dłuższa chwila ciszy.

– Możem biez dienieg. Mnie nrawitsia takije, kotoryje nie gawariat sliszkom mnogo. Nu kak budiet?..

Wyszedłem na zewnątrz. I tak zbyt wiele usłyszałem.

Wieczorem czekałem w kuchni, aż pani Leokadia wróci z pracy.

- Widziałem tego ruska w porcie. I słyszałem, co mówił - zagaiłem. Popatrzyła na mnie przez sekundę i uciekła wzrokiem. – Płacie mu?

– No, płacimy...

– Czemu, przecież on się prawie nie kryje. Policja zgarnęłaby ich wszystkich raz dwa.

– Nie wszystkich. To nie są żadni ruscy, to nasi. Tego Siergieja wynajęli tylko, bo sami nie chcą się pokazywać. Nic im nie robią.

– Jak to nie?! Przecież mogą ich śledzić, wyłapią drani jak pluskwy. Co tu się dzieje, tylu ludzi grzecznie płaci i żaden nie zgłosił?

– Zgłosił... Mój mąż.

Domyślałem się, co za chwilę usłyszę. Gospodyni ciężko usiadła na krześle.

– Gdy zaczęli nas nachodzić, poszedł na policję. Aresztowali paru. Mąż wyszedł któregoś dnia z domu i nie wrócił. Uważany za zaginionego. Tak powiedzieli. Potem pojawił się ten mały i znów się zaczęło.

Milcząca Anna przyjęła do wiadomości moją obecność. Gdy wstawałem, jej matka jeszcze spała, ale ona chyba już nie. Raz czy dwa zdawało mi się, że wychodząc z domu, dostrzegam zarys głowy za firanką w jej pokoju i powodowany jakimś nagłym impulsem pomachałem ręką, jakbym zapraszał ją na wspólną

przechadzkę. Nie czekałem, bo i tak wiedziałem, że nie pójdzie.

Któregoś dnia wróciłem jak zwykle na śniadanie i wszedłem do kuchni. Na stole stał dzbanek z parującą herbatą i kanapki. Pokręciłem się niezdecydowanie, wyjąłem talerz i schowałem na powrót. Poszedłem do swojego pokoju. Po paru minutach rozległo się pukanie, w progu pojawiła się Anna. Zrobiła gest wkładania sobie czegoś do ust, pokazała ręką w stronę kuchni i już jej nie było.

Przez chwilę słuchałem oddalających się kroków, zastanawiając się, co z tym fantem zrobić. Rozstrzygnął żołądek. Nie posunęła się do tego, by towarzyszyć mi w trakcie posiłku. Całe szczęście – nie nadawałem się do roli terapeuty przełamującego cudze kompleksy. Własne w zupełności mi wystarczały.

Wychodząc, znów natknąłem się na tę milczącą zjawę. Trzymała zrolowany koc. Podała mi go w taki sposób, że upadłby na ziemię, gdybym go nie chwycił, i swoim zwyczajem zniknęła w głębi domu. Patrzyłem w rozterce na ciemnozielony, włochaty materiał. Skąd, u licha, wiedziała, że akurat wybieram się na plażę, przecież mogłem iść gdziekolwiek? Chyba mnie nie śledziła?

Następnego ranka wyszedłem z domu o zwykłej porze, ale maszerowałem szybciej, prawie biegłem. Zrosniętą ścieżką dotarłem do starego nasypu, za którym zaczynał się las. Skradłem w bok i schowałem się za niewielką skarpą. Miałem stamtąd doskonały widok na drogę prowadzącą nad morze. Zapaliłem papierosa.

Minął dobry kwadrans, zanim się pojawiła. Szła wolno, zamyślona, nie rozglądała się wcale. Przeszła przez tory i zniknęła między drzewami. Odczekałem dłuższą chwilę i poszedłem za nią. Pomyślałem przelotnie, że zainteresowanie ze strony milczącej Anny może stworzyć pewne problemy. Na pewno nie byłem dobrym materiałem na kochasia, co odejdzie w siną dal. Ani jej, ani mnie nie była potrzebna przygoda bez przyszłości. Nie ten czas, nie to miejsce, nie ta dziewczyna. Będę musiał zmienić kwatere.

Wszedłem na wydmy i przeszukałem wzrokiem plażę. Anna siedziała na piasku w zagłębieniu pośród kęp wysokiej trawy, zobaczyłem ją tylko dlatego, iż patrzyłem z góry. Wyczuła jakoś moją obecność, obejrzała się nagle. Myślałem, że zerwie się do ucieczki, ale nawet nie drgnęła, wsunęła ręce w piasek i spoglądała dalej w błękitne fale.

– Wiesz, muszę wyjechać... – umilkłem, bo właściwie nie to chciałem powiedzieć.

Nie zareagowała w żaden sposób. Zebrałem się w sobie, przywołałem na twarz krzywy uśmiech i wypaliłem:

– Przychodzę tu codziennie, zdaje się, że miałem widownię. – Zacząłem zdejmować koszulę. – Idziesz się kąpać? Twoja matka mówiła, że trenowałaś

pływanie, pościgamy się?

Ledwie dostrzegalnie pokręciła głową.

– Nie masz kostiumu? Ja też nie mam.

Poczułem się jak rozdeptane gówno, jednak wolałem, żeby mną gardziła niż roiła sobie coś na mój temat. Ale ona ciągle nie reagowała.

W jakimś irracjonalnym odruchu złości zrzuciłem resztę ciuchów i pobiegłem do morza. Znałem już dobrze ukształtowanie dna w tym rejonie, odpływałem spory kawał w stronę płytszego miejsca, w którym można stanąć po szyję w wodzie i odpocząć. Fale były większe niż zwykle, wypływałem im naprzeciw i wpadałem w doliny. Wreszcie brakło mi sił, chciałem wymacać dno, jednak dna nie było. Zachłysnąłem się i w panice, krztusząc się, młóciłem ramionami. Prąd pociągnął mnie w zagłębienie między kolejnymi falami, straciłem zupełnie orientację. Próbowałem walczyć, ale ciągnęło mnie w dół, jakbym miał przyczepione do nóg ołowiane ciężary. Z odchyłoną do tyłu głową łapałem powietrze zmieszane z morską pianą, nie miałem pojęcia, z której strony jest brzeg. Tonałem. Meduzy i wodorosty czepiały się kończyn, potęgując panikę. Chyba jeszcze krzyczałem, jednak już wiedziałem, że to koniec. Poddałem się.

Coś złapało mnie mocno za włosy i pociągnęło na powierzchnię. Zacerpnałem powietrza. Jakieś ramię obejmowało mnie za szyję tak, że ledwie mogłem oddychać. Ale jednak mogłem. Widziałem nad sobą czyste niebo, woda co chwilę zalewała mi twarz, bałem się poruszyć, żeby nie wciągnęła mnie z powrotem. Po jakimś bardzo długim czasie, gdy traciłem już powoli świadomość, poczułem pod nogami dno, a obejmujący mnie chwyt osłabł. Odwróciłem się i stanąłem chwiejnie. Jak przez mokrą szybę dostrzegłem brnącą do brzegu postać z wodorostami we włosach.

Anna powoli wyszła z wody i ciężko oddychając, padła na piasek. Cienka sukienka przylepiła się jej do skóry, wilgotny materiał stał się prawie przezroczysty, kosmyki mokrych włosów spadały na twarz. Wyglądała jak żałosna szmaciana lalka wyrzucona przez morze. Nie mogłem wprost uwierzyć, że w tym szczupłym ciele drzemie siła zdolna wydrzeć topielca zachłannym falom. Kilka mew przeleciało nad nią z krzykiem, dziwiąc się niezwykłemu widowisku.

Podszedłem i upadłem obok. Leżeliśmy tak kilka długich minut, słońce i wiatr szybko suszyły skórę. W oddali majaczyły małe ludzkie sylwetki. Rosły powoli, zbliżając się w naszym kierunku. Traciłem Annę i pokazałem w tamtą stronę. Wzruszyła ramionami i zamknęła oczy. Położyłem się płasko na plecach i dłońmi zacząłem nagarniać ciepły piasek na siebie i na nią. Początkowo nie reagowała, nagle przyłączyła się do mnie. Po paru chwilach widać już było tylko

nasze głowy.

Cztery kobiety w średnim wieku nadeszły brzegiem, przyglądając się nam podejrzliwie. Miałem ochotę poderwać się z krzykiem i pogonić w ich kierunku, jednak nie poruszyłem się. Kobiety ominęły nas szerokim łukiem, brodząc po kolana w wodzie i co chwilę oglądając się. Ukląkłem i zanurzyłem palce we włosach Anny, zamknęła prędko powieki, jakby w obawie, że paprochy posypią się do jej oczu. Zacząłem odgarniać piasek, z którego powoli wyłaniały się kształty podobne do plażowej rzeźby. Moje dłonie zrobiły się dziwnie niezręczne, drgnęła, jakby chciała wstać, ale jej nie pozwoliłem.

Poranne spacerowiczki znowu były małąkami punkcikami. Wydawało się, że zawracają, jednak nie przejmowałem się nimi. Anna zresztą też.

Nie wyprowadziłem się tego dnia. Ani następnego.

Przychodziła do mojego pokoju, ale dopiero w środku nocy, gdy matka już spała. Wsuwała się po prostu pod kołdrę i zostawała do świtu. Za dnia prawie się nie widywaliśmy, nie chodziła ze mną na plażę, nie przybiegała, gdy siadałem pod parasolem smażalni w oczekiwaniu na posiłek. Odnosiłem wrażenie, iż za wszelką cenę pragnie ukryć przed matką nasz beznadziejny związek. I nawet mi to pasowało.

Choć miałem nieprzyjemne uczucie, że w niezbyt czysty sposób ją wykorzystuję, to jednak w całej sytuacji było coś zagadkowego. Zastanawiałem się często, co też ona sobie roi. Czy myśli, że czas stanie w miejscu i nie będę musiał wracać do swojego prawdziwego życia? Może pragnie tylko znaleźć w męskich ramionach potwierdzenie własnej kobiecości, przekonać się, że może wzbudzić uczucie mimo ułomności? Ukrywa wszystko przed matką ponieważ to tylko taka kobieca gierka, epizod bez następstw? A może po prostu lubi mężczyzn – nikomu nic do tego. Zresztą, czy zrozumienie kobiecej psychiki jest w ogóle możliwe? Odarta z nimbu tajemniczości nie byłaby już tak fascynująca.

W gruncie rzeczy problem był czysto akademicki - za miesiąc będziemy dla siebie tak obcy, jakbyśmy nigdy się nie spotkali. Faktycznie, epizod bez następstw.

Promień słońca liznał mnie po twarzy niczym snajper celownikiem laserowym. Wstałem cicho, żeby nie budzić Anny i poszedłem do łazienki. Ogoliłem się i wróciłem do pokoju. Łóżko było puste, jak zwykle wróciła do siebie, żeby pojawić się znów w środku nocy. Ubrałem się, zapaliłem papierosa i już miałem wychodzić, gdy przyszło mi do głowy, że wyciągnę ją na spacer brzegiem morza. Nie mówiła, ale umiała słuchać. Niewiele kobiet umie. Opowiem jej trochę o sobie. Oczywiście, nie wszystko.

Wszedłem cicho po schodach i powoli zbliżyłem się do lekko uchylonych drzwi.

Jeśli śpi, nie będę jej budził. Ostrożnie zajrzałem do środka.

Siedziała tyłem do mnie przy małym stoliku pod oknem. Nie zapukałem, ponieważ zdążyłem już dostosować się do jej milczenia – porozumiewaliśmy się gestami i dotykiem, to wystarczało. Muzyka z radia głuszyła kroki, dotknąłem jej ramienia.

Drgnęła przestraszona i odwróciła się, upuszczając na podłogę trzymaną w ręce gazetę. Podniosłem ją i zamarłem. Z szarej płachty spoglądała na mnie twarz mężczyzny, krótka, sucha notatka informowała, że jest to bandyta poszukiwany za wielokrotne morderstwa. Portrety pamięciowe dają się zwykle dopasować do setek osób, ale ten był doskonale wykonany, nie pozostawiał cienia wątpliwości. To była moja twarz.

Spiker w radiu powitał słuchaczy informacją o pogodzie i przeszedł do wiadomości. Przypomniłem sobie, jak któregoś wieczoru nie mogłem zasnąć, wyjąłem więc gazetę z plecaka i bezmyślnie przeleciałem parę artykułów, żeby zająć czymś umysł. Musiałem zostawić ją na wierzchu. Jakoś wtedy zwróciłem uwagę, że Anna przygląda mi się przez okno. Wtedy też pierwszy raz zrobiła mi śniadanie.

Tylko dlaczego, po cholere jej to wszystko?! Czemu natychmiast nie pobiegła na policję, czemu nie powiedziała nic matce?! W żaden sposób nie mogłem uwierzyć, że brakuje jej mocnych wrażeń, podnieca ją sypianie z mordercą. Chyba że jej choroba łączyła się z jakimiś głębszymi zaburzeniami umysłowymi – może w jej urojonym świecie jestem jakimś księciem z bajki, który przybył na białym rumaku żeby zabrać ją do swego królestwa? Wiedziałem jedno: instynkt mnie nie zawiódł, powinienem był wyprowadzić się natychmiast, gdy dostrzegłem pierwsze oznaki podejrzanego zainteresowania z jej strony.

Nie przychodziło mi do głowy żadne rozsądne wytłumaczenie, tymczasem ona przyglądała mi się dziwnie badawczo. Nie bała się, choć przecież powinna. Nagle otworzyła szufladę, sięgnęła głęboko i wyjęła pistolet. Prawdziwego ciężkiego gnata, który zupełnie nie pasował do jej szczupłej dłoni. Wycelowała prosto w moją pierś.

Spoglądałem w głąb czarnej oksydowanej lufy jak kobra na puszczającą fakira i czekałem na huk wystrzału. Nie miałem czasu na strach, zdążyłem tylko pomyśleć, że zginę w tak głupi sposób.

Anna kiwnęła głową i pomachała pistoletem, a widząc, że nie rozumiem, o co jej chodzi, ujęła broń za lufę i spróbowała wcisnąć mi do ręki. Cofnąłem się odruchowo i usiadłem na łóżku.

Czego ona, u diabła, chce?! Mam ją zastrzelić?! Nie potrafi sama popełnić

samobójstwa, więc przygruchała sobie zawodowego mordercę, sądząc, iż zabicie zwyczajnej dziewczyny będzie dla niego miłą odmianą?

Patrzyła na mnie jakoś błagalnie. W jej oczach pojawiły się łzy i wolno spłynęły po policzkach. Znów sięgnęła do szuflady i wyjęła zwykłą tekturową teczkę. W środku były fotografie. Przedstawały starszego, wysokiego mężczyznę o rysach tak do niej podobnych, iż natychmiast odgadłem, że to jej ojciec. Inne, nieostre i źle skadrowane, ukazywały konusa, którego widziałem, gdy zbierał haracze. Musiały być robione z ukrycia, pewnie aparatem w telefonie.

Przypomniałem sobie słowa pani Leokadii i natychmiast domyśliłem się reszty. Ojciec Anny przerwał znowu milczenie, ale był sam, nic miał dowodów. Policja zrobiła tyle, na ile zezwala prawo, czyli niewiele. Zgarnęli kogoś, może nawet wsadzili jakieś płotki, ale przyroda nie znosi próżni. W powstałej niszy natychmiast usadowili się następni, a najpewniej ci sami. Przystąpili do działania, tylko ostrożniej – sprowadzili Siergieja, który zajął się bezpośrednim kontaktem z „klientami”. Ojciec Anny zorientował się, co jest grane, zdobył nawet pistolet, ale nie miał najmniejszych szans. Postanowili załatwić go dla przykładu, żeby inni nie próbowali psuć im interesu. Nie zrobili publicznej egzekucji – po prostu zniknął, zapewne spoczął na dnie morza, owinięty ciężkim łańcuchem – przesłanie było wystarczająco jasne. Taki sposób załatwienia sprawy był bodaj bardziej przerażający niż kula w łeb, bo uświadamiał, iż oporni nie znajdują nawet miejsca na cmentarzu. Po prostu zostaną usunięci. Nie wiadomo kiedy, bez najmniejszego śladu i dowodu czyjejś ingerencji.

Spojrzałem na Annę i w jej smutnych oczach zobaczyłem resztę. Miała broń ojca i postanowiła wymierzyć sprawiedliwość. Pewnie już nawet spróbowała, wycelowała z ukrycia do któregoś drania, ale nie potrafiła nacisnąć spustu. Nie umiała zabić z zimną krwią. Mało kto umie.

Wtedy pojawiłem się ja. Zamieszkałem pod jej dachem, przyzwyczała się do mojej obecności, obserwowała ukradkiem, może nawet polubiła mnie trochę. I nagle przekonała się, że jestem jednym z nich. Któż bardziej nadawał się do roli kata niż pospolity bandzior o sumieniu węża? Tylko dlaczego miałbym dla niej zabijać? Zapłaci mi? Nie, nie pieniędzmi, nie stać jej. Przypomniałem sobie tamten poranek na plaży.

Nagle upuściła pistolet, podbiegła do łóżka i schowała mokrą od łez twarz w moich ramionach. Dużo ryzykowała. Cholernie dużo. Nie mogłem tego pojąć i nawet nie próbowałem. Ale zdałem egzamin. Nie zabiłem jej, mimo iż właściwie powinienem, rozpoznała mnie przecież. Czują, że teraz może mi zaufać. I że znalazła człowieka, który jej pomoże.

Myliła się.

Stłumiony dźwięk budzika w pokoju pani Leokadii przywrócił mnie do rzeczywistości. Usłyszałem kroki na korytarzu, potem skrzypienie drzwi do łazienki. Pogładziłem Annę po włosach i szybko wyszedłem, niemal uciekłem z jej pokoju.

W kilka minut spakowałem plecak. Zaczekałem, aż gospodyni opuści dom. Gdy Anna odkręciła prysznic w łazience, zabrałem z jej pokoju szarą teczkę i pistolet. Wyszedłem cicho jak złodziej.

Szybko znalazłem nową kwatery, zapłaciłem za tydzień i zostawiłem swoje rzeczy. Tak jak poprzednio, nie musiałem pokazywać dokumentów – fiskus znów obejdzie się smakiem.

Po południu poszedłem promenadą wzdłuż plaży, żeby gdzieś przycupnąć i zjeść posiłek z dala od przybytku pani Leokadii. Znalazłem ustronny zakątek na tyłach ciągu spacerowego i zamówiłem wędzonego na gorąco halibuta. Przygotowałem się na dłuższe posiedzenie. Akurat przypadał dzień płacenia haraczy. Byłem w połowie obiadu, kiedy w wąskiej bocznej uliczce pojawiła się znajoma granatowa bryka. Zaparkowała nieopodal, widać tym razem nie planowali demonstracji siły. Ze środka wysiadł Siergiej. Mimo upału miał na sobie obszerną skórzaną kurtkę. Ze swojego miejsca mogłem obserwować, jak wchodzi od zaplecza do pełnych o tej porze lokali. Wmieszałem się w tłumek turystów i niespiesznie poszedłem w tamtym kierunku.

Prędko zauważyłem, że mały ciągnie za sobą ogon. Dwóch osiłków w dresach szło kilkanaście metrów za nim, przystawali, gdy znikał za jakimiś drzwiami, i rozmawiali swobodnie, trzymając ręce w kieszeniach. Nie przyjechali samochodem razem z konusem pewnie dlatego, by trudniej ich było dostrzec. Wyglądali na niezbyt przejętych rolą ale nie wątpiłem, iż potrafią połamać kości albo władować kulkę w bebechy każdemu, kto spróbuje przeszkodzić Siergiejowi w robocie. Stałem przed wystawą z bursztynowymi bibelotami.

Zobaczyłem, że konus przywołuje swoją ochronę. Sądziłem, że wręczy im urobek, ale on tylko powiedział parę słów i machnął ręką. Nie dyskutowali, odwrócili się obojętnie i wsiąkli w jakiejś bocznej uliczce. Ruszyłem powoli, dyskretnie obserwując sylwetkę małego drania. Zostały mu do obskoczenia smaźalnie w porcie, wśród nich przybytek pani Leokadii. Można było dostać się tam od tyłu, przechodząc wąskim przejściem między niskimi budynkami, i konus najwyraźniej zamierzał tak postąpić. Pozwoliłem mu zniknąć w bramie, odczekałem chwilę i poszedłem w jego ślady. Przesunąłem się wzdłuż betonowego ogrodzenia, minąłem rząd garaży i znalazłem się na niewielkim, ciągnącym się

kilkadziesiąt metrów, zapleczu małej gastronomii. Stały tam stosy skrzynek i opakowań, blaszane budy pełniące rolę magazynków oraz kilka samochodów dostawczych. Pachniało dymem i rybami z pobliskiej wędzarni, ale poza mewami szukającymi darmowej wyżerki nie dostrzegłem żywego ducha. Konus musiał być w którymś z przybytków, przyciłem się za rzędem skrzynek i przez szpary obserwowałem otoczenie.

Po paru minutach wyszedł z pierwszego lokalu i, nie rozglądając się, podszedł do następnego. To była knajpka mojej gospodyni. Stał pod drzwiami i przyłożył do nich ucho. Czemu odesłał ochronę, co on kombinuje?!

Wreszcie złapał za klamkę i bez pukania wlaź na zaplecze, zamykając za sobą drzwi. Wyjąłem pistolet i w paru skokach pokonałem przestrzeń do wejścia. Ze środka dochodziły odgłosy jakby szurania i jakieś ciche słowa, których nie rozumiałem, ale rozpoznałem głos małego ruska. Nagle rozległ się stłumiony ni to jęk, ni to pisk i przeciągłe, bolesne stęknienie:

— Błać... uch... ty szto...

Z palcem na spuście wpadłem do środka.

Mały rusek chwiał się niczym pijany, by wreszcie runąć na plecy, z brzucha sterczała mu rękojeść noża do patroszenia ryb. Rzęząc, zaciskał na niej palce, wyglądało, jakby chciał wepchnąć nóż jeszcze głębiej. Anna wlepiła w niego przerażone spojrzenie. Jej matka z ustami otwartymi do krzyku opierała się plecami o drzwi do lokalu. Zdrętwiała chłonęła obraz, którego znaczenie jeszcze do niej nie dotarło. Ale do mnie dotarło. Anna właśnie wydała wyrok na siebie i na nią!

W lokalu za ścianą słyhać było muzykę. Schowałem broń, klęknąłem, wytarłem trzonek noża koszulą konusa. Zacząłem przeszukiwać zmarłego.

— O Boże, dziecko, co ty zrobiłaś?! Zabiją nas! — Pani Leokadia nic mogła oderwać wzroku od upiornego widowiska. Nie rozumiała, co robię, docierało do niej tylko jedno: - Zabiją, zabiją jak...

— To nie ona! Jakiś bandzior napadł go i pchnął nożem. Rozumie pani?! — krzyknąłem, pragnąc skupić jej uwagę.

- Siergiej miał pieniądze pochowane w różnych miejscach. Uważając, by nie pobrudzić się krwią, napychałem sobie kieszenie. - Powie pani, że usłyszeliście krzyki na zapleczu. Sterroryzował was i obrabował tego gościa.

— Co pan mówi, kim pan jest? — Zaczynała pojmovać powoli, co się dzieje. — Oni pana...

— Ania wie, kim jestem. — Skończyłem wreszcie nieprzyjemną robotę. — Gliny nie będą się was czepiać. Mafia też nie, bo nie macie z tym nic wspólnego. Policja

zacznie węszyć wokół nich, więc skończy się płacenie. Przynajmniej póki smród się nie rozwieje.

Nie patrzyłem w oczy swojej milczącej kochanki. Powinienem jej wiele wyjaśnić, ale nie było już czasu.

– Pani Leokadio, muszę uciekać, niech pani nie wzywa policji jeszcze przez godzinę. I nie mówcie, że u was mieszkałem! – powiedziałem i wyszedłem na dwór.

Rozejrzałem się szybko i pognałem w stronę wąskiego przesmyku między domami. Za sobą usłyszałem tupot nóg. Anna biegła moim śladem z wyrazem skrajnej determinacji na twarzy. Stałem jak wryty, zderzyliśmy się mocno, niemal wywracając się na ziemię. Chwyciłem ją za ramiona i potrząsałem.

– Zostań tu! Rozumiesz?!

Pokręciła energicznie głową i złapała mnie za koszulę.

– Razem nie uciekniemy daleko! Musisz tu być, żeby potwierdzić przebieg wypadków, inaczej domyślą się, jak było naprawdę. To nasza jedyna szansa! I twoja, i moja.

Patrzyła szeroko otwartymi oczyma. Nie puszczała mojego ubrania.

– Wróć po ciebie, kiedy wszystko się skończy! Wyjedziemy w bezpieczne miejsce.

Cofnęła się o krok i opuściła ramiona. Chyba mi uwierzyła, a przynajmniej chciała uwierzyć. Odwróciłem się i pobiegłem drogą, którą tu dotarłem.

Po chwili zwolniłem, wszedłem na jakieś podwórko, minąłem stare garaże i znalazłem się na ulicy. Kroczyłem spokojnie chodnikiem, ocierając się o beztroskich wczasowiczów zajętych topiącymi się lodami i planowaniem najlepszych sposobów roztrwonienia gotówki przeznaczonej na urlopowe atrakcje.

Powoli zbliżałem się do miejsca, w którym bandyci zaparkowali samochód. Stał sobie jakby nigdy nic w cieniu niskiego budynku z cegły, zza lekko opuszczonej szyby od strony kierowcy ulatywały strużki tytoniowego dymu. Zwolniłem jeszcze bardziej, starając się zajrzeć do środka przez przyciemniane okna. Oprócz faceta za kierownicą nikogo więcej nie dostrzegłem.

Pociągnąłem za klamkę i zwyczajnie władowałem się na miejsce z przodu.

– Co jest, kurwa?! – W zaistniałych okolicznościach pytanie było zupełnie naturalną reakcją. A także ruch ręki znikającej pod marynarką.

– Siergiej nie żyje... – Zacząłem opróżniać kieszenie z urobku konusa. Pieniądze lądowały na podłodze u moich stóp. - Koniec pieśni, jedziemy do starego.

_ Kto... - Widok szmalu wywołał zamierzony efekt, typ odruchowo zerknął w lusterko i doprecyzował pytanie:

– Kto ty, kurwa, jesteś?

– Stary nie lubi, jak się go okrada. - Część banknotów była poplamiona krwią, musiał to zauważyć. - Wynajął mnie, żebym sprawdził, ile szmalu przed nim kitracie. Podejrzewał, że Siergiej ma lepkie łapki. I nie pomylił się.

– Nic nie wziętem! - Ciągłe nie wyjmował ręki spod marynarki. – Ty go...

– Nie musiałem, ta chuda niemowa z portu władowała mu kosę w bebechy. Ta sama, której ojciec kombinował z glinami. Spieprzyliście robotę, trzeba było od razu załatwić ją i matkę.

– Przecież miało wyglądać na... – zamilkł nagle, jakby zorientował się, że za dużo gada. – Nie znam cię.

– Tak miało być. – Zmrużyłem oczy, spojrzałem we wsteczne lusterko i zacząłem głośno myśleć: – Nie jest dobrze... Te dziwki mogą wiele powiedzieć. Gliny będą się babrać w gównie, aż coś znajdą. Trzeba zabrać stamtąd Siergieja, nie ma ciała, nie ma sprawy!

– Niech stary powie... – Sięgnął w stronę uchwytu na telefon.

– Gówno ci powie, zostaw to! Każe wracać, a potem okręci cię łańcuchem i wrzuci do morza. I mnie przy okazji. Sam będzie czyściutki jak wygotowane gacie. Nie, trzeba mu przywieźć ruska! A jak niemowie porżnie się kosą tyłek, to już matka dopilnuje, żeby więcej nie robiła kłopotów.

– Stary to kupi! – Oblizał wargi i uśmiechnął się obleśnie. Mój sposób rozwiązywania problemów wyraźnie przypadł mu do gustu. - Mów mi Mały.

Mały to on akurat nie był. Przez chwilę czekał, żebym zrewanżował się swoją ksywą. Nie doczekał się. Pokiwał głową, przyjmując do wiadomości moją powściągliwość i spytał:

– Zdamy przed glinami?

Wyjąłem zdjęcia, które Anna zrobiła Siergiejowi.

– Mieszkałem u nich dwa tygodnie, stary podejrzewał, że coś kombinują. I znów miał rację. Ale wszystko pod kontrolą młoda uważa mnie prawie za narzeczonego. Otworzyłem schowek i zacząłem w nim upychać walające mi się pod nogami pieniądze. - Kazałem im przez godzinę nie wzywać policji i powiedzieć, że jakiś obcy napadł Siergieja.

– Ja pobawię się z małą. – Przekręcił kluczyk w stacyjce.

– Szkoda, że niemowa, lubię, jak baba jęczy, ale trudno się mówi. Jej ojciec był jak kastrowany pies, kiedy mu po kawałeczku obcinałem palce. Słaby był. Jak go poprosiłem grzecznie, żeby potem to zeżarł, to mu pikawa stanęła.

Wyszczrzyłem zęby.

Mój nowy kumpel doskonale znał teren, po kilku minutach znaleźliśmy się na

tyłach pawilonu pani Leokadii. Niezbyt podobało mi się, że zajeżdżamy tak dobrze rozpoznawalną bryką, na szczęście była pora dużego ruchu w lokalach, toteż nikt nie powinien szwendać się po zapleczu. Zresztą miejscowi dobrze wiedzieli, czym grozi nadmierna ciekawość.

Drzwi nie były zaryglowane, zajrzałem i skinąłem Małemu, żeby otworzył bagażnik. Rusek leżał tak, jak poprzednio, kobiety przykryły go tylko jakąś szmatą. Przesunąłem skobel w drzwiach wiodących do lokalu. We dwóch złapaliśmy Siergieja. Zwłoki nic zeszywniały jeszcze, były ciężkie i nieporęczne jak wór ziemniaków.

– idę po niemowę, zrób jej trochę miejsca – powiedziałem, lustrując otoczenie. Jedynym świadkiem operacji były mewy. - Zabierzemy ją na przejażdżkę, tu nie ma warunków do zabawy.

Szeroki uśmiech rozlał się po facjacie Małego. Nie musiał nic mówić – nadawaliśmy na jednej fali.

Wróciłem do pakamery, wyjąłem pistolet i uchylilem lekko drzwi do lokalu. Gwarny tłumek wczasowiczów komentujących tutejsze atrakcje tworzył swojski nastrój, potęgowany aromatem smażonej ryby i wysokimi nutami disco polo z podsufitowych głośników. Pani Leokadia stała przy kasie, plecami do mnie, jej pomocnica biegła między stolikami. Anny nie było. Pewnie matka wysłała ją do domu.

Chciałem ją o to zapytać, lecz w tym momencie zauważyłem jadący wolno nabrzeżem policyjny radiowóz. Możliwe, że gliniarze chcieli jedynie coś przekąsić, ale nie zamierzałem tego sprawdzać.

Cofnąłem się prędko, zasunąłem skobel i wypadłem na zewnątrz.

– Gliny, spieprzamy! – krzyknąłem pochylonemu nad bagażnikiem Małemu.

Miał dobry refleks, trzasnął klapą i po paru sekundach wystartował jak rajdowiec.

– Spokojnie, nie gonia nas – powiedziałem, wyglądając przez tylną szybę. – Dzwon do starego!

– Po co? Co się dzieje?!

– Powiedz, że gliny urządziły zasadzkę! Była strzelanina, Siergiej nie żyje, mogą niedługo zjawić się u niego.

– Co ty kombinujesz?! Stary nie lubi...

– Gównu mnie obchodzi, co lubi stary. – Schowałem pistolet za pasek spodni. – Mały, zacznij myśleć, mamy duży problem! Nie zdążyliśmy uciszyć kobiet. Powiedzą glinom o Siergieju, o haraczach i twoim samochodzie. Ile potrwa, zanim zaczną dobierać się staremu do dupy? A on nie jest głupi, raz dwa pozbędzie się

dowodów, które właśnie uprzejmie do niego jada. Czyli ciebie, mnie i bryki z zawartością bagażnika. Założysz się? Tylko nie wiem, o co.

– Mów dalej... – Zwolnił, zerknął na telefon, potem na wystający mi zza paska pistolet. Zdaje się, że naprawdę nadawaliśmy na jednej fali. - To zaczyna być ciekawe. - Musnął dłonią wybrzuszenie pod marynarką.

– Jaką stary ma ochronę?

– Nie wiesz?

– Skąd mam wiedzieć, nie byłem u niego. Wynajął mnie przez pośrednika.

– Czterech chłopaków cały czas na miejscu i paru pod telefonem.

– Ktoś jeszcze?

– Gospościa może być w domu, nie wiem. Żona z córką bawi się gdzieś w tropikach. Niezła laska, ale chyba im się nie układa. Różnica wieku...

– A tych dwóch, co pilnowali Siergieja?

– Zwykłe bolki do wynajęcia, nawet nie wiedzą, dla kogo robią.

– Dobra. Wyjaśnij staremu, że gliny załatwiły ruska, musieli dostać cynk. Niech natychmiast zwolni ludzi, bo psy mogą być u niego w każdej chwili, lepiej żeby zastali go samego z drinkiem w rękę, ewentualnie z panienką w łóżku. Tylko nie mów, że jesteśmy razem, bo zacznie coś podejrzewać. - Zastanowiłem się przez moment. - Znasz go kupi to?

– Powinien. Co potem?

– Ma w chacie forse? – Mały spojrzał na mnie, jakbym go spytał, czy lubi obcinać ludziom palce. – No tak, głupie pytanie. Sejf?

Skinął tylko głową.

– Powiedz mu, że samochód może być trefny, na wszelki wypadek zostawisz go u znajomego w garażu i przyjedziesz taryfą. O mnie nie mów.

- I...

– Prosimy go uprzejmie o pieniądze.

– Taaak... - Wyjął fajki z bocznej kieszeni marynarki, poczęstował mnie, pstryknął zapalniczką. Puścił eleganckie kółko dymu i sięgnął po telefon. – Będziemy bardzo, bardzo uprzejmi.

Zawsze zazdrościłem ludziom umiejącym robić kółka z dymu.

Szef Małego na wieść o śmierci Siergieja zaczął szczekać w słuchawkę, nie rozumiałem słów, ale po odpowiedziach mojego towarzysza łatwo było się zorientować, o co pytał.

– Na pewno, dostał w łeb... Nie, to gliny, widziałem radiowozy, obstawili teren... Pewnie chcieli go namierzyć przy robocie... Nie, nie szukali samochodu i tak by ich doprowadził.. Zorientował się i zaczął strzelać... Widziałem wszystko, bo kazał mi

przyjść do portu po utarg, właśnie wtedy go... - Mały miał łeb na karku. Musiał improwizować, gdyż parę pytań zmierzało w niebezpiecznym kierunku. - Tak, forszę miał przy sobie... Mnie?! Zauważyłbym! - przez dłuższą chwilę słuchał i kiwał głową. — Dobra, zostawię go u kumpla w garażu.

Zakończył połączenie i oznajmił pogodnie:

- Jestem trup. Rozpuścił ludzi i kazał mi przyjechać taryfą. Potem umówi mnie z jednym z chłopaków, żebyśmy utopili bryczkę w jeziorze. Obiecał premię za dobrze wykonaną robotę... Kumasze?

— Kulka w łeb i karmisz węgorze?

— Sam bym tak zrobił.

— Najważniejsze, że kazał ci przyjechać. Właściwie nie powinien, dziwne...

— Mam utarg z Łeby. — Zapalił następnego papierosa i wypuścił kunsztowne kółko. — Popatrz, jak ta pazerność gubi ludzi...

Mały zaparkował między rachitycznymi drzewkami na poboczu polnej drogi. Poszedł sam, żeby nie budzić podejrzeń bosa. Miałem czekać na telefon — dwa sygnały będą oznaczać, że droga wolna. Następnie wykonamy plan starego, tyle że nieco zmodyfikowany. Trefną brykę z dwoma ciałami utopimy w jeziorze i będziemy wolni niczym latawce. Nie ma to jak czyściutko wykonana robota — żadnych śladów, żadnych podejrzeń. I do tego zastrzyk gotówki pozwalający w spokoju szukać nowego zajęcia.

Dzwonek telefonu, potem drugi. Przekręciłem kluczyk i ruszyłem. Opis Małego sprawił, że nie mogłem przeoczyć właściwej posesji. Przejechałem wolno wzdłuż kamiennego ogrodzenia, zwieńczonego ostrymi prętami, i skręciłem w szeroko otwartą bramę. Zatrzymałem samochód blisko drzwi frontowych. Wsiadłem cicho, nie zamykając drzwiczek, po paru krokach stanąłem w cieniu pod ścianą domu.

Wyjąłem pistolet. Przez minutę nie wykonałem najmniejszego ruchu. Po prostu obserwowałem otoczenie i nasłuchiwałem. Najwyraźniej wszystko grało. Prawie wszystko. W środku czekał Mały i wiedziałem, iż tylko jeden z nas opuści to miejsce żywy. Największy problem sprawiał fakt, że on też o tym wiedział.

Zdjąłem buty, pokonałem kilka niskich stopni, nacisnąłem klamkę i pchnąłem drzwi. Wiele zależało od tego, czy zaskrzypią — czasem o życiu lub śmierci decydują drobiazgi i odrobina fartu. Drzwi zaskrzypiały.

Zbiegłem ze schodków, pochyliłem się poniżej linii parapetów i szybkim krokiem okrążyłem willę. Zamierzałem zajrzeć do salonu przez okno i, jeśli dopisze mi szczęście, strzelić przez szybę. Z nerwami napiętymi jak wisielcza lina wychyliłem się zza rogu. Mały stał bokiem do mnie na małej drabince, jego ręka

tkwiła w uchylonym oknie. Znał rozkład domu i miał czas, żeby przygotować mi ciepłe powitanie. Nie wiem kto był bardziej zaskoczony niespodziewanym spotkaniem. Chyba jednak on.

Strzeliłem, nie celując. Dziwne, jak czas zwalnia w takich momentach. Zanim spadł z drabinki, zdążyłem pomyśleć, że drugi strzał jest niepotrzebny, zdziwiłem się przelotnie, iż dziura w czole jest taka mała i uświadomiłem sobie, że mam niewiele czasu, bo huk był bardzo głośny, ktoś mógł usłyszeć. Wszystko trwało jakieś trzy uderzenia serca. A Mały nie wiedział nawet, dlaczego umarł. Szkoda, choć niewątpliwie było mu wszystko jedno. Mnie nie było. Odwróciłem się i pobiegłem do frontowego wejścia.

Salon był pusty, nic nie wskazywało, by cokolwiek gwałtownego tu zaszło. Wdrapałem się na piętro. Minałem otwartą sypialnię, kolejne drzwi były obite skórą. Zapewne gabinet gospodarza.

Stary okazał się małym grubasem. Nawet po śmierci wyglądał wrednie, leżał na plecach z kończynami rozrzuconymi bezładnie niczym rzucona na podłogę marionetka. Skrzywioną gębę pekińczyka zwróconą miał w stronę otwartego sejfu. Zaglądał do środka jednym okiem, drugie zamieniło się w krwawą dziurę. Obok leżała wypchana torba. Widać Mały chciał być gotowy do szybkiej ewakuacji, zanim się zajmie moją skromną osobą. Zastanowiłem się jeszcze, czy niczego nie dotykałem w chałupie, chwyciłem bagaż i wyszedłem na zewnątrz. Została mi ostatnia rzecz do zrobienia.

Gdy wrzucaliśmy Siergieja do bagażnika, zauważyłem kanister na benzynę. Na szczęście okazał się pełny. Polałem obficie zwłoki, resztą zmoczyłem wnętrze samochodu. Zdjęcia zabrane Annie wsunąłem do gazety z moim portretem pamięciowym, skręciłem w niezgrabny rulon i podpaliłem. Gdy wrzuciłem pochodnię do bagażnika, benzyna zapłonęła z głuchym trzaskiem przypominającym uderzenie siekierą w pień drzewa.

Stewardesa przeszła wzdłuż rzędu foteli, sprawdzając zapięcie pasów. Samolot ruszył majestatycznie niczym statek odbijający od brzegu. Pomyślałem o przyszłości – miałem kilka nietypowych pomysłów. Cóż, zabijanie nie jest łatwe, ale można się przyzwyczać. Szczególnie, gdy usuwa się drani. Ciekawe, co by powiedzieli kumple z biura, gdyby wiedzieli, do czego doprowadził ten ich głupawy kawał ze spreparowaniem gazety z moją podobizną jako płatnego mordercy. To miał być tylko taki niewinny żarcik, ale zadziałał efekt mina.

Skłamałbym, twierdząc, że nie miałem wyboru. Miałem tylko nadzieję, że dokonałem właściwego.

Agnieszka Krawczyk

MEMENTO

Dokładnie o godzinie 23.17 dyżurny Komendy Miejskiej w Krakowie otrzymał meldunek. Na chodniku, przed elegancką kamienicą przy ulicy Zwierzynieckiej, niedaleko Wawelu, leżał z roztrzaskaną głową mężczyzna, który najprawdopodobniej wyskoczył z okna na jednym z wyższych pięter. Wysłana na miejsce ekipa śledcza nie miała problemu z ustaleniem tożsamości denata – jego nazwisko bez chwili wahania podał nocny portier, pracujący w hallu budynku.

– To pan poseł Stwiertnia – powiedział roztrzęsionym głosem, gdy dwaj śledczy zakończyli oględziny zwłok i weszli do przeszklonego lobby luksusowego domu.

– Jest pan pewien? – zapytał oficer, podając ogień portierowi, który całkiem niezgodnie z regulaminem wyciągnął z kieszeni papierosa i przez chwilę miętosił go nerwowo w ręce.

– Najzupełniej – zapewnił mężczyzna. – Twarz ma zmasakrowaną, ale ja przecież znam wszystkich moich lokatorów! Pan poseł przyjechał jak zwykle koło 22, odebrał pocztę, chwilkę ze mną porozmawiał i poszedł na górę.

Nawet ubrany był tak samo – dozorca zrobił ręką ruch w kierunku karetki, do której właśnie ładowano ciało, w szary garnitur i krawat; zapamiętałem, bo przedwczoraj występował w nim w telewizji.

Śledczy poprosili o klucze do mieszkania parlamentarzysty i wjechali windą na górę. Obszerny apartament na ostatnim piętrze urządzone z dobrym gustem, świadczącym znajomości najnowszych trendów wzorniczych; znać tu było rękę drogiego fachowca. Oficerowie wyszli na taras i zbliżywszy się do barierki, spojrzeli w dół. Bez wątpienia Stwiertnia skoczył właśnie z tego miejsca.

- Ciekawe, ilu ludzi się ucieszy, że wykitował... - powiedział jeden z policjantów.

- Imię ich: legion - sentencjonalnie rzucił drugi, wzruszając ramionami.

Wrócili do mieszkania. W sypialni na łóżku leżała na wpół rozpakowana walizka, natomiast w kuchni panował sterylny porządek, najwyraźniej właściciel nie zdążył jeszcze z niej skorzystać. Niespodzianka czekała na oficerów w gabinecie, gdzie na obszernym biurku rozrzucono w nieładzie dokumenty i zdjęcia.

Policjanci przejrzeni je pobieżnie, ale to wystarczyło, żeby zorientować się, z czym mają do czynienia.

– O żesz kurwa mać! – zaklął jeden z nich. – Brakowało nam tylko pieprzonego

skandalu obyczajowego z politykiem w roli głównej...

– Co chcesz... – rzucił drugi flegmatycznie, przyglądając się fotografii, na której pan poseł ubrany w różową podomkę, okładał pejcem młodzieńca w lateksowym ubranku. - Takie czasy. Ja też bym wolał dżentelmena włamywacza.

- Trzeba to przekazać wyżej, za malutcy jesteście do takiej sprawy.

- Słusznie. Niech koledzy z agencji na trzy litery też się wykażą.

– Najbardziej to się, kurwa, martwię, że zaraz się tu zlecą pismaki z wszystkich możliwych brukowców. Nie zdziwiłbym się, gdyby ten portier, co tak niby kocha swoich lokatorów, już telefonował do „Faktu”.

Policjant niepotrzebnie obawiał się nadmiernego zainteresowania ze strony prasy.

W następnych dniach zdarzyło się bowiem coś, co zdecydowanie przyćmiło samobójczą śmierć posła Stwiertni. Światło dzienne ujrzały dokumenty kompromitujące najbliższe otoczenie premiera, w którym funkcjonowała grupa lobbystów powiązana z mafią paliwową, sprawnie forsująca korzystne dla siebie ustawy. Rada ministrów podała się do dymisji, rozpoczął się kryzys gabinetowy, a prezydent rozwiązał parlament i rozpisal nowe wybory.

Dochodzenie wykazało, że korupcją całkowicie przeżarta jest sejmowa komisja Sprawiedliwy Kraj, a jej przewodniczący, deputowany Karasek, to łapówkarz na wielką skalę. Powszechne oburzenie społeczeństwa wywołało telewizyjne wystąpienie posła, który oświadczył szczerze: „Zrobiłem to dla pieniędzy!”. Media były zgodne, że przewodniczący raczej się z tego „nie wyKaraska”. Kampania wyborcza przebiegła pod znakiem oskarżeń o malwersacje i w efekcie większość mandatów w parlamencie zdobyła nieznana szerzej partia kobiet Pro Femina, której wcześniej nie dawano żadnych szans.

Stanowisko premiera objęła charyzmatyczna liderka ugrupowania, Paulina Popis, obdarzona wręcz niewiarygodną zdolnością oddziaływania na ludzi. Jako szefowa rządu postanowiła całkowicie zmienić styl sprawowania władzy i postawić na kobiety. Gdy działacze opozycji zaczęli przebąkiwać coś o parytecie, zaśmiała im się w twarz.

Ministrem obrony narodowej została czterdziestoletnia prawniczka, Bożena Wołowiec, która - zgodnie z polityką partii Pro Femina – obsadziła urząd zaufanymi współpracownikami. Szefową gabinetu politycznego nowej pani minister mianowano Anetę Jaskólską – na studiach prawniczych zaślęta jako „zołza”, ponieważ uchodziła za osobę zimną i bezwzględną. „Karierowiczka” mówiły o niej koleżanki, ale ona niewiele sobie z tego robiła. Gdy otrzymała

propozycję pracy dla Wołowiec, nie wahała się długo, to była wyjątkowa okazja, szansa, której nie mogła stracić. Szybko jednak okazało się, że ministerstwo obrony narodowej to niezwykle trudny resort.

Choć nowa minister była cwana i wyszczekana, musiała ciągle walczyć z towarzystwem „generalików”, jak nazywała starych pracowników ministerstwa. Usunęła wszystkich, których mogła zwolnić bez szkody dla funkcjonowania resortu. Jednak w MON ciągle było stanowczo za mało kobiet, co podkreślała Paulina Popis na każdym spotkaniu rządu. Na szczęście dawny minister miał rzeczniczkę, a dyrektorem ministerstwa też była kobieta, więc można je było zatrzymać „ku chwale ojczyzny”.

Bożenie Wołowiec potrzebna była asystentka - osoba, która ogarniałaby całość resortu. Do konkursu na to stanowisko zgłosiło się pięć osób. Aneta od razu wybrała idealną kandydatkę, dziewczynę po szkole oficerskiej i szkoleniu w Pentagonie, lecz niestety przesłuchać musiała całą piątkę. Było to nudne, bezowocne, ale tego wymagała procedura.

Rozmowa kwalifikacyjna zaczynała się za pięć minut, o czym przypomniała sekretarka, wsuwając nieśmiało głowę do gabinetu. Aneta odłożyła papiery i z westchnieniem przeszła do sali konferencyjnej. Czekala tam na nią cała komisja: dyrektorka ministerstwa Alina Wójcik, rzeczniczka Joanna Solska i protokolantka.

- Zaczynamy? – spytała Wójcik.

Nie czekając na odpowiedź Jaskólskiej, sięgnęła po protokół. Młoda prawniczka zmarszczyła brwi. Nie lubiła Wójcik przede wszystkim za to, że nie znała swego miejsca w szeregu. Pracowała w ministerstwie od Bóg wie ilu lat, przetrwała kilku ministrów i była praktycznie niezatapialna. Rządziła się jak we własnym folwarku, wielokrotnie wchodząc z Anetą w spory kompetencyjne. Jaskólska obiecywała sobie, że zrobi wszystko, by się jej pozbyć. Ale niestety nie było to możliwe. Dyrektorka pracowała świetnie i bez jej twardej ręki ministerstwo już dawno ległoby w gruzach. Prawniczka opanowała więc złość, odebrała Wójcik dokumenty i kazała wezwać pierwszą kandydatkę.

– Monika Breger – odczytała protokolantka.

Sekretarka wprowadziła do sali dziewczynę, w wieku około dwudziestu pięciu lat, wyglądającą dosyć niepozornie. Miała niezdrową cerę, rzadkie włosy i sporą nadwagę. Jej spłoszony i niepewny wzrok od razu powiedział Anecie, że młoda kobieta po prostu się do tej roboty nie nadaje.

- Skończyła pani nauki polityczne - zagaiła Wójcik zerkając w CV kandydatki. - Proszę nam zatem powiedzieć jakie są główne cele naszego partnerstwa strategicznego w NATO.

- Ja... — wyjąkała dziewczyna — lepiej orientuję się w tematyce krajowej... Przygotowałam się raczej z obecnej polityki ministerstwa...

Jaskólska westchnęła. Jak się okazało w „obecnej polityce ministerstwa” dziewczyna też się nie bardzo orientowała. Dla Anety przepytanie jej to zmarnowany kwadrans. Przerzuciła papiery kandydatki: dobre opinie, wcześniejsza praca w instytucjach samorządowych, ukończony KSAP. Jak takie ciele w ogóle mogło skończyć tę szkołę? Miała dobre referencje, a nawet list polecający od jednego z wiceministrów.

- Dobrze. Dziękujemy pani — to powiedziała rzeczniczka Solska, która zadała jakieś pytanie polityki informacyjnej i też nie doczekała się satysfakcjonującej odpowiedzi. — Zostanie pani powiadomiona o wyniku w ciągu tygodnia — dodała jeszcze, ale dziewczyna nie ruszyła się z miejsca.

- Bardzo pani dziękujemy — z naciskiem rzuciła Wójcik, odkładając papiery Breger na kupkę.

- Przepraszam — powiedziała tymczasem kandydatka, prostując się na krześle — ale czy ja mogłabym zadać paniom pytanie? To nie potrwa długo, a wiem, że jest przyjęte na rozmowach kwalifikacyjnych.

Wszystkie trzy wymieniły zdziwione spojrzenia, ale Jaskólska skinęła przyzwalająco głową.

Dziewczyna spojrzała im w oczy i Aneta ze zdumieniem zaobserwowała dziwną zmianę. Wzrok Moniki Breger stracił nieobecny wyraz, patrzyła teraz bystro, mierząc je przenikliwym spojrzeniem. Młodej prawniczce zrobiło się nieprzyjemnie.

— Na moje pytanie nie oczekuję odpowiedzi. Znam je. Chciałam tylko panie ostrzec. Pani Solska — Monika zwróciła oczy w kierunku rzeczniczki — proszę mi łaskawie powiedzieć, co oznacza numer bankowy kończący się na 9845 i jaki jest pani związek ze złożonym tam depozytem? Pani Wójcik, chciałabym wiedzieć, co w pani domu, w skrytce pod biurkiem, robi teczka o kryptonimie „12/3 Odermatt”?

Aneta popatrzyła na obie i zauważyła, że zarówno dyrektor Wójcik, jak i Solska wyglądają na wstrząśnięte.

— Wreszcie, pani Jaskólska — Breger przeniosła swój świdrujący wzrok na szefową gabinetu politycznego — jestem ciekawa, co ma pani do powiedzenia na temat Izabeli Batek...

Monika wstała. Jaskólska, która po ostatnich słowach dziewczyny poczuła dreszcze na plecach, chciała zerwać się od stołu, ale nie mogła.

— Do widzenia paniom — powiedziała Breger od drzwi.

— Mają panie tydzień na załatwienie swoich spraw, inaczej zrobimy to za was.

Materiały zostaną przekazane do największych gazet i do telewizji. Pani Wójcik zapewne będzie chciała zawiadomić odpowiednie służby. Bardzo słusznie. Proszę im powiedzieć, że odwiedziła was Memento.

Drzwi za Moniką zamknęły się z lekkim trzaskiem. Alina Wójcik zerwała się od biurka.

– Trzeba ją zatrzymać! Wezwać ochronę! – krzyknęła.

Szybko okazało się, że Breger weszła do toalety na tym samym piętrze.

- Pójdziemy po nią – powiedziała już spokojnym głosem dyrektorka ministerstwa. – Idziesz? – zwróciła się do laskólskiej, która oparła się ciężko o biurko.

- Tak.

Wyszły z sekretariatu i błyskawicznie przemierzyły korytarz. Wójcik cały czas trzymała rękę w kieszeni swego obszernego żakietu i Aneta odniosła niejasne wrażenie, że schowała tam broń.

– Jazda – powiedziała Solska i wpadły do łazienki.

Moniki Breger tam nie było. W pomieszczeniu z umywalkami stała tylko jakaś bardzo wysoka kobieta w średnim wieku, paląca papierosa przy oknie.

– Tu nie wolno palić – rzuciła do niej Wójcik, przechodząc.

– Zwiąta – powiedziała przez zęby rzeczniczka.

– Widziała pani może dziewczynę, tęgą blondynkę, wchodzącą do tej toalety? – Jaskólska zwróciła się do kobiety z papierosem, która, ignorując uwagę Aliny, dalej spokojnie paliła pod oknem.

– Nie, nikogo tu nie było. Robią panie jakąś akcję wywiadowczą? – zakpiła jeszcze.

Zgasiała papierosa i wrzuciła niedopałek do umywalki.

– Nie pani interes – powiedziała Wójcik, patrząc z niesmakiem na zabrudzony zlew, a kobieta wzruszyła ramionami i wyszła z łazienki.

– Sprawdźmy kabiny – zaproponowała prawniczka i otworzyła pierwsze drzwi.

Monikę Breger znalazły w ostatniej toalecie. Nieprzytomna dziewczyna siedziała oparta plecami o ścianę koło sedesu. Wójcik próbowała ją ocucić, szarpiąc za rękę i uderzając w policzki. Ponieważ młoda kobieta nie ocknęła się, Solska pobiegła wezwać pogotowie i policję. Obie służby pojawiły się po mniej więcej 10 minutach. Jak stwierdził lekarz, Monika znajdowała się pod wpływem silnych środków odurzających, natychmiast zabrano ją do szpitala.

Zdenerwowana Jaskólska od razu zrozumiała, że popełniły ogromny błąd. Tak jak się spodziewała, dziwnej kobiety w czerni nie było już w budynku.

Niezaczepona przez nikogo spokojnie wyszła przez główną bramę i zniknęła w tłumie na ulicy.

Policja zażądała materiałów z monitoringu. Z zapisu wynikało, że Monika Breger weszła do ministerstwa kwadrans przed pierwszą. Była spokojna i opanowana. Na parterze nie zapytała nawet o numer pokoju, w którym miała odbyć się rozmowa – wyminęła strażnika zupełnie obojętnie.

– Przyszła jak po swoje – warknęła Solska, zapalając papierosa.

Normalnie Aneta zaprotestowałaby przeciw łamaniu zasad, ale to nie była sytuacja zwyczajna. Sama miała ochotę nalać sobie lufę z butelki trzymane w biurku.

– O, patrzcie! Tu wychodzi z sekretariatu i idzie do kibla!

– Wójcik zreferowała oczywistą sytuację, którą widziały na ekranie.

W kilkadziesiąt sekund później zobaczyły swoje plecy, pospiesznie oddalające się korytarzem w kierunku damskiej toalety. Drzwi otworzyły się i zamknęły, a po dłuższej chwili wyszła z nich ta wysoka kobieta z papierosem. Przechodząc pod kamerą, wyzywająco spojrzała w obiektyw, a Jaskólska dałaby sobie rękę uciąć, że miała ochotę pokazać środkowy palec.

– Jesteśmy debilki - podsumowała. - Jak mogliśmy ją puścić? Trzeba było od razu wszcząć alarm!

- Uspokój się - mruknęła Wójcik, klepiąc ją po ramieniu. - Jak ona powiedziała? Memento? Myślę, że nie pozostaje nam nic innego, jak zadzwonić do majora Kruszki. Tylko on może nam pomóc.

Jaskólska nigdy nie słyszała o Kruszce, ale przezornie milczała, by nie pokazać, że sytuacja wymknęła, jej się spod kontroli.

- Mam nadzieję, że go znajdziesz – powiedziała Solska.

- Bo inaczej... - nie dokończyła, ale Aneta wiedziała, o co chodzi.

Nie miała pojęcia, o jakie konto pytała rzeczniczkę Monika ani czego dotyczyły dokumenty z domu Aliny, doskonale natomiast wiedziała, kim jest Iza Batek. Jeszcze raz przeszedł ją dreszcz. To było jakieś trzy lata temu, kończyła studia doktoranckie, kiedy dostała propozycję pracy w znanej kancelarii; nie mogła odrzucić takiej oferty. Zadania zawodowe były tak absorbujące, że zaniedbała pisanie doktoratu. Myślała nawet, żeby zupełnie zrezygnować, ale ówczesny szef wyraźnie dał jej do zrozumienia, że prawnik z tytułem naukowym ma perspektywy w jego firmie, zaś taki, który legitymuje się jedynie magisterką – na pewno nie. Obowiązków w kancelarii ciągle przybywało i Aneta nie miała nawet czasu na zbieranie materiałów. Wtedy – jak z nieba – spadła jej Iza Batek, ongiś najzdolniejsza studentka na roku. Iza miała problemy finansowe i nie pogardziła

propozycją dawnej koleżanki - w kilka miesięcy napisała za nią doktorat, który Jaskólska obroniła już o własnych siłach. O ich umowie nikt nie wiedział, wszystko odbyło się w największej tajemnicy. Iza zainkasowała swoje pieniądze i rozplynęła się w powietrzu; ponoć wyjechała za granicę.

Aneta uświadomiła sobie, że ujawnienie tego fałszerstwa może kosztować ją nie tylko karierę polityczną, ale i zawodową. Adwokat z kupionym doktoratem... Zostanie wykluczona z palestry, a w dodatku grozi jej sprawa karna. Nie denerwuj się – próbowała uspokoić samą siebie. Jeszcze nic się nie stało. Po minach Solskiej i Wójcik widać, że mają na sumieniu gorsze sprawy. Im też zależy, żeby nic się nie wydało.

Postanowiła się opanować i podejść do sprawy racjonalnie.

– Kim jest ten Kruszek? – zapytała i w ciągu następnej pół godziny dowiedziała się takich rzeczy, że zupełnie bez skrępowania sięgnęła do szuflady biurka i wyciągnęła flaszkę. – Częstujcie się – powiedziała, nalewając Solskiej i Wójcik.

Pani dyrektor wzięła kieliszek, obejrzała go pod światło i kontynuowała wypowiedź:

– Kruszek... Kiedyś pracował w wywiadzie, teraz jest szefem jednostki specjalnej W.

– A cóż to znowu jest? – zdziwiła się prawniczka, która pierwszy raz słyszała o takiej służbie.

– Specjalna jednostka wywiadu wewnętrznego, służąca do inwigilowania najważniejszych osób w państwie: ministrów, marszałków sejmu i senatu oraz prominentnych posłów...

– Chyba żartujesz? – Aneta roześmiała się nerwowo.

– Nie istnieje coś takiego. To zupełnie niemożliwe! Pierwsze słyszę... Przecież jesteśmy demokratycznym państwem prawa – wyrecytowała w zdenerwowaniu i z rozpędem.

Alina prychnęła wódką tak, że opryskała gdańską szafę ozdobę gabinetu.

– Pro Irmina to parda znana z naiwności politycznej, ale o tobie miałam lepsze zdanie. To oczywiste, że musi istnieć coś takiego. Nie dostrzegasz ich działań? Nie pamiętasz afery z posłem Stwiertnią? - Oczywiście pamiętała, bo samobójstwo skompromitowanego parlamentarzysty rozpoczęło kryzys polityczny, który wyniósł Pro Feminę do władzy.

– Myślisz, że kto rozpętał tę akcję? – ciągnęła Wójcik.

- Kruszek i jego ludzie. Oni zawsze mają w zanadrzu kilka podobnych rewelacji.

– Ale dla kogo? Po co? - Aneta nie rozumiała.

– Niech cię już o to głowa nie boli. Bądź pewna, że to nie jest ich hobby... - Szeffowa ministerstwa wyciągnęła rękę i podniosła słuchawkę telefonu znajdującego się na stole. – Przełącz mnie na 12014 – rzuciła, gdy zgłosiła się wewnętrzna centrala urzędu, z której Jaskólska nigdy nie korzystała i nawet chciała ją zlikwidować jako przeżytek minionej epoki.

– Kruszko? Mówi Alina Wójcik. Musimy się spotkać, bardzo pilnie.

– Posłuchała chwilę i odłożyła słuchawkę.

– Załatwione – powiedziała, nalewając sobie kolejną setkę.

– Spotka się z nami na parkingu Galerii za pół godziny.

Aneta czuła się jak w sensacyjnym filmie, gdy zaparkowały w podziemiach centrum handlowego. Od ciemnego samochodu przy ścianie oderwał się równie ciemny facet. Nie wyróżniał się niczym szczególnym: średniego wzrostu, średniej tuszy i średniej urody. Idealnie wtapiał się w tłum.

– Więcej was matka nie miała? – odezwał się z rozbawieniem, zajmując tylne siedzenie obok Solskiej.

– Przestań, sprawa jest poważna – powiedziała Wójcik.

– W czym rzecz?

– Była dziś u nas Memento... – Kruszko aż gwizdnął przez zęby.

– No to macie niezłe za uszami, pewnie już zsiakałyście się w majtki, co?

– Odsuść sobie. Co wiesz o tej Memento? - spytała szefowa ministerstwa, a w jej głosie wyraźnie brzmiało zdenerwowanie.

Major przecząco pokręcił głową.

– O nie, siostry, na to mnie nie nabierzecie. To wasz problem, radźcie sobie same, to nie koncert życzeń ani przesłuchanie.

Wójcik spojrzała na niego wrogo i syknęła przez zęby:

– Nasz problem? Chyba jednak nie tylko nasz, skoro Memento wspomniała o TAMTEJ sprawie z Berlina.

Mężczyzna skrzywił się i wyciągnął z kieszeni papierosa.

– Ze też się do tego dogrzebali – powiedział prawie z podziwem. – Skurwysyny...

– A jednak – stwierdziła z satysfakcją Alina. – Powiesz nam?

Kruszko zaciągnął się papierosem i spojrzał przez przednią szybę.

– Po pierwsze nie TA Memento, ale Memento w ogóle. To nazwa organizacji, nie osoby.

– Jak ją znaleźć? – nerwowo zapytała Aneta, której ta historia bardzo się nie podobała.

Major wzruszył ramionami.

- Sam chciałbym wiedzieć. Pracuje nad tym kontrwywiad i wszystkie agencje. Memento pojawia się i znika, zawsze w tym samym celu: z ostrzeżeniem. Jeśli to nie skutkuje, zaczyna się piekło, jak w przypadku ostatniej afery korupcyjnej.

- To była robota Memento? – zdziwiła się Jaskólska, a tajniak tylko skinął głową.

- Ile było takich przypadków? - zapytała jeszcze.

- Do tej pory dziewięć. To te, o których wiemy Ostatnia koalicja rządowa rozpadła się przez Memento. Podejrzewamy, że dymisja doradcy prezydenta także ma związek z działalnością tej grupy, podobnie jak ucieczka z kraju biznesmena Jerzego Popławskiego. W samobójstwie posła Stwiertni także maczało palce Memento.

Wójcik popatrzyła na Kruszkę z niepokojem.

- Myślałam, że to wasza akcja.

Major uśmiechnął się złośliwie.

- Przeceniasz mnie, laleczko...

Aneta zaczęła wiercić się nerwowo za kierownicą samochodu.

- Skąd wy to wszystko wiecie?

- Wiemy. Siostró, mottem naszej służby jest scire tacere, złota reguła przetrwania.

Wiedzieć i milczeć, pomyślała, ale powiedziała co innego:

- Wiecie, ale nic nie robicie!

Major roześmiał się ironicznie i popatrzył na nią jak na małą niegrzeczną dziewczynkę, brakowało tylko, aby zaczął grozić jej palcem. Rozdrażniło ją to.

— Nie chcę się wpięprzać między wódkę a zakąskę — powiedziała - ale będę musiała to wszystko zgłosić minister Wołowiec.

Kruszko skrzywił się.

— To jasne, meldowanie przełożonym to nasz podstawowy obowiązek. Informuję cię, aniołku, że twoja pani minister też miała wizytę i, jak mi donoszą premier Popis również. Co wyście zdążyły narozrabiać, to tylko wy wiecie. Ale wygląda na to, że ten rząd już długo nie pociągnie.

Wyraźnie sprawiło mu to satysfakcję, więc Aneta rzuciła mściwie:

— No, zdaje się, że i WY macie coś za uszami, Berlin, tajne konta, dokumenty pod biurkiem — improwizowała.

— Memento działa kompleksowo, nie przepuści nikomu. Może zastosujemy starą zasadę „dzisiaj ty pomożesz mnie, jutro ja tobie”?

Kruszko popatrzył na nią uważnie, jakby przez chwilę coś kalkulował.

— Nic z tego, panienko. I tak za dużo wam powiedziałem, teraz radźcie sobie same.

To mówiąc, wysiadł z samochodu, lekko zatrzasnął drzwi.

– Cudownie, kurwa, nie może być lepiej! – zakląła Wójcik. – Ta dziwka nas załatwi w ciągu tygodnia, a my nie mamy nawet punktu zaczepienia!

Aneta milczała.

Późnym popołudniem spotkała się z Bożeną Wołowic i Pauliną Popis.

Pani premier była zdenerwowana, krążyła po całym pokoju, przeglądając dokumenty. Jaskólska obserwowała ją z zainteresowaniem. Ciekawe, co na nią znalazło Memento? Paulina była mocno po czterdziestce; może kiedyś, w latach osiemdziesiątych, podpisała lojalność, żeby wyjechać na zagraniczne studia? Może donosiła? A może po prostu miała wujka w służbie bezpieczeństwa? W końcu informacja o dziadku w Wehrmachcie przekreśliła pewnemu politykowi nadzieję na prezydenturę, innego załatwiła była asystentka, fałszując podpis na dokumencie.

- Nie muszę mówić, że nasza rozmowa jest ściśle poufna – odezwała się tymczasem Paulina Popis, odrzucając długie włosy na plecy. – Mam tu wszystko, co udało się zgromadzić na temat Memento, czyli niewiele. Monika Breger odzyskała przytomność, nic nie pamięta. Ostatnią rzeczą, którą kojarzy, jest wieczór w studenckim klubie, wypita drinka i urwał jej się film. Klasyka gatunku. Pani premier pogardliwie machnęła ręką.

- Kontrywywiad bada temat od dawna – wtrąciła Bożena Wołowic. – Ta organizacja nie spadła z nieba. Prawdopodobnie sprawą zajmowały się Wojskowe Służby Informacyjne, niestety nie ma na to żadnych dowodów ani dokumentów.

- Oczywiście! - z sarkazmem powiedziała Popis. – Pewnie wszystko było w szafie Lesiaka!

Jest wyraźnie zdenerwowana, pomyślała Aneta, a nerwowy premier, to zły prognostyk dla państwa. Bożena Wołowic, która obserwowała ją chłodnym wzrokiem, popchnęła w stronę Anety dosyć grubą teczkę.

- Musi się pani tym zająć, to trzeba załatwić we własnym gronie, bez pomocy tych piesków. Liczymy na panią. Cenię panią za inteligencję i sprawność działania, a z informacji wywiadu wiem, że ma pani w tym żywotny interes.

- Jaskólską znowu przeszły ciarki. - Dostanie pani wsparcie, oczywiście bardzo dyskretne, oczekuję pierwszego raportu jutro.

Aneta zabrała podane jej akta i wyszła.

Dotarła do domu późnym wieczorem i pomimo zmęczenia nie mogła spać. Rozłożyła dokumenty na stole i zatopiła się w lekturze. Kruszek powiedział prawdę: organizacja o nazwie Memento pojawiła się około 1999 roku, działając zawsze w ten sam sposób: przez zastraszenie i szantaż. Z dokumentów wywiadu

wyłaniał się niepokojący obraz. Można było odnieść wrażenie, że Memento jest wszechobecne, posiada kompromitujące materiały na każdego i zajmuje się destabilizowaniem sytuacji na świecie. Organizacja działała zawsze wedle tego samego schematu – u potencjalnej ofiary pojawiał się wysłannik, nazywany przez służby „kurierem”, była to osoba w żaden sposób niepowiązana z organizacją przypadkowa, o skradzionej tożsamości.

Mimo iż teczka była gruba, w aktach nie znajdowało się nic konkretnego. Ot, strzępki informacji. Widać było, że agencje mocno trudziły się nad zdobyciem dodatkowych danych, ale nie bardzo im to wychodziło.

Aneta westchnęła. Nie miała pojęcia, jak ma sobie poradzić ze sprawą na której – najwyraźniej – połamali sobie zęby policyjni fachowcy. Przecież nie jestem głupia, powiedziała do siebie, kładąc akta na blacie stołu w kuchni, gdzie przysłała nalać sobie wina. Na pewno jest coś, czego mogę się uchwycić. Po trzecim kieliszku wina rioja jeszcze raz nerwowo przerzuciła strony. Kilkakrotnie przewijało się tam nazwisko Jacka Wilczyńskiego, jakiegoś naukowca, najwyraźniej specjalisty od tajnych organizacji. Dokumenty jednak nie podpowiadały, jak do niego dotrzeć.

Skoro jest profesorem – kombinowała Aneta nad kolejnym kieliszkiem wina - musi prowadzić pracę naukową. Odpaliła komputer i zajrzała do Internetu. Niestety ktoś taki jak Jacek Wilczyński nie był znany nawet wyszukiwarce Google. To dziwne i dosyć niespotykane, pomyślała prawniczka i odchyliła się na krzesło. Musiała odnaleźć tego profesora - ktoś, kto potrafił się tak dobrze zakamuflować, wart był uwagi.

Następnego dnia złożyła raport swojej szefowej. Bożena Wołowicz postukała starannie pomalowanym paznokciem w strony raportu i zamyśliła się.

- Wilczyński... Zupełnie nie pamiętam takiego eksperta, a ja mam świetną pamięć do nazwisk. Trzeba to załatwić dyskretnie. Proszę zadzwonić do Kruszki i oczywiście powołać się na mnie, a gdyby mu coś nie pasowało, na Paulinę. I proszę mnie informować na bieżąco.

- Tak zrobię – zgodziła się Aneta.

Wzięła do ręki karteczkę, na której minister nabazgrała numer telefonu majora. Zrobiła to z pamięci, co Jaskólska dobrze zanotowała w myślach.

Nie miała ochoty dzwonić do tego bufona z super tajnej jednostki W. Nie było jednak innego wyjścia. Najpierw spróbowała poszukać profesora na Uniwersytecie Warszawskim. Nic z tego. Nikt nie słyszał o kimś takim. Owszem był jeden Wilczyński, ale Andrzej i do tego matematyk. Czas jednak uciekał, więc Aneta z ociąganiem wybrała numer telefonu Kruszki.

Pan major nie był szczególnie zdziwiony tym, że zadzwoniła. Bardziej

zaskoczyło go to, czego od niego oczekiwała.

– Wilczyński? Nic mi się nie kojarzy.

Aneta nie była pewna, czy powiedział prawdę, czy też kłamał, ale niewiele miała do stracenia.

– Panie majorze – powiedziała stanowczo – nie wiem, czy rozumie pan powagę sytuacji. Dzwonię z upoważnienia „potrójnego P”.

Kruszko roześmiał się beztrósco, a przynajmniej chciał sprawić wrażenie, że był to beztróski śmiech, bo trwał o kilka sekund za długo, by zabrzmieć naprawdę swobodnie.

– Droga pani minister, ja zawsze dostrzegam powagę sytuacji. Rzeczywiście był taki Wilczyński, ale to jakiś wariat, specjalista od spiskowej teorii dziejów. Zupełnie nie wart uwagi.

– To, jeśli pan pozwoli, ja sama ocenię – powiedziała Aneta, gratulując sobie skuteczności. – Proszę mi tylko powiedzieć, jak go znaleźć.

– Znaleźć? – zdziwił się Kruszko. – Mówiłem pani, że to wariat, niech go więc pani szuka w Tworkach.

– Bardzo zabawne – stwierdziła Aneta zimnym głosem.

– Naprawdę. Chciałam panu przypomnieć, z kim pan rozmawia, mam wyraźne polecenia od mojej szefowej i „potrójnego P”. Nie sądzę, żeby ktoś się z panem patyczkował w obliczu tak poważnego kryzysu. Proszę to sobie przemyśleć, zanim mi pan udzieli kolejnej zabawnej odpowiedzi.

Najwyraźniej sobie przemyślał, bo odchrząknął i odpowiedział po chwili zupełnie innym tonem.

- Jak pani na pewno zauważyła, ten raport dotyczący Memento nic jest nowy. Wilczyński naprawdę ma problemy ze sobą. Nic ufałbym mu za bardzo. Jego informacje dotyczące tajnych organizacji są cenne, przyznaję, ale on sam... To nie jest człowiek zrównoważony i moim zdaniem popadł w paranoję.

- Pozwoli pan, że sama będę wyciągać wnioski - warknęła Aneta, której Kruszko działał na nerwy. - Gdzie mogę go znaleźć?

- Od kilku lat nie korzystamy z jego ekspertyz. Nie mamy z nim kontaktu.

- Niech pan nie kłamie, bo wystawia pan złe świadectwo swej służbie.

Nie widziała tego, ale była skłonna uwierzyć, że Kruszko skrzywił się w tej chwili.

- On nie prowadzi pracy naukowej, w każdym razie nie w tradycyjnym rozumieniu. Ostatnio mieszkał gdzieś pod Krakowem. Prześlę pani adres, ale sądzę, że się pani nim mocno rozczaruje.

- Dziękuję bardzo – powiedziała Aneta i od razu się rozłączyła. Naprawdę nie

miała ochoty dłużej z nim rozmawiać.

Do Krakowa dotarła następnego dnia wczesnym popołudniem i zatrzymała się w Hotelu Francuskim niedaleko Plant, gdzie nie zwracała na siebie uwagi. Usłużny recepcjonista wytłumaczył, jak dostać się do Okszy, podkrakowskiej miejscowości, w której - wedle Kruszki - miał mieszkać Jacek Wilczyński.

Była to niewielka wieś. z dala od głównej drogi. Jej centrum stanowiła poczta, sklep spożywczy i kościół. Aneta wiedziała od Kruszki, że profesor mieszka samotnie w chylącym się ku upadkowi dworze.

Dom trudno było znaleźć, bo leżał nieco w bok od centrum miejscowości, usytuowany w ogromnym zaniedbanym ogrodzie. Budynek nie wyglądał imponująco, co Aneta oceniła przez ogrodzenie, bo starą kutą bramę zamknięto na łańcuch i kłódkę. Przy furtce nie było domofonu ani żadnego dzwonka. Najwyraźniej nikt tu nie spodziewał się gości ani nawet żadnej korespondencji, bo skrzynki na listy również nie było. Aneta wsiadła do samochodu i zatrąbiła. Chwilę odczekała i ponownie nacisnęła klakson. Jego dźwięk poderwał wrony z okolicznych drzew, ale nie wywabił nikogo ze środka. Wsiadła z samochodu i ponownie podeszła do ogrodzenia, które mimo że stare, było dobrze utrzymane – bez dziur i ubytków pozwalających się dostać do środka. Od bramy prowadziła dosyć zadbane alejka, widać, że używana, wiodąca aż pod same schody mającego w oddali budynku. Dwór i jego okolica sprawiały ponure wrażenie. Aneta wsiadła do wozu i po raz trzeci zatrąbiła przeciągle. Nic.

Westchnęła ciężko i zawróciła w kierunku wsi.

Na ulicy nie było żywego ducha, jakby wszyscy pochowali się w domach. Aneta sięgnęła do torebki w poszukiwaniu papierosów i stwierdziła, że nie został jej już ani jeden. Zdecydowała się wejść do sklepu, a potem rozejrzeć się trochę po okolicy. Nie zamierzała zakończyć poszukiwań w ten sposób, poddając się.

W sklepie było pusto. Jedyne klient pakował właśnie chleb i plastikowy kubeczek z kefirem do płóciennej siatki. Aneta wzięła ze stojaka papierosy i podała je ekspedientce.

- Dziewięć pięćdziesiąt - powiedziała sprzedawczyni, przyglądając się Jaskólskiej uważnie, bo najwyraźniej rzadko widywano tu obcych.

Aneta zapłaciła.

- Zapomniał pan gazet! - zawołała ekspedientka do mężczyzny, który właśnie wychodził ze sklepu.

Niechętnie zawrócił, a kobieta podała mu całą stertę czasopism. Aneta ze zdumieniem zauważyła, że był to zbiór dzienników z całego tygodnia i kilka magazynów w kolorowych okładkach. Pospieszyła za mężczyzną.

- Pan profesor Jacek Wilczyński? - zagadnęła go przed sklepem, gdy usiłował wepchnąć gazety do swej płóciennej torby.

Skrzywił się i wzruszył ramionami. Aneta przyjrzała mu się uważnie. Był dobrze po pięćdziesiątce, ubrany w wytarty wełniany płaszcz, z ciasno zawiązanym na szyi szalikiem. Chudy i niechlujnie ogolony. Spod czapki wyglądały siwe, miejscami lekko żółtawe włosy.

- Przyjechałam do pana specjalnie z Warszawy – powiedziała, licząc, że go do siebie przekona.

Spojrzał na nią niechętnie.

- A co mnie to obchodzi?

Zatrzymała go, bo wyraźnie zamierzał odejść.

- Pan nie rozumie! Nazywam się Aneta Jaskólska i jestem szefem gabinetu politycznego minister obrony narodowej Bożeny Wołowicz – powiedziała, a Wilczyński ponownie wzruszył ramionami.

- Myśli pani, że to dla mnie istotna informacja? Nie jestem już w wieku poborowym i nie sądzę, by ministerstwo interesowało się mną ze względów, że tak powiem, służbowych.

Aneta uśmiechnęła się niepewnie.

– I tu się pan myli. Interesujemy się panem służbowo.

– To ciekawe.

Wilczyński wyciągnął z kieszeni trencza wymiętoszoną paczkę papierosów i poczęstował dziewczynę. Chwilę palili w milczeniu, a on przyglądał się jej podejrzliwie.

– Był pan kiedyś konsultantem ministerstwa – zaczęła na nowo Aneta. - I teraz chciałam pana prosić o podobną przysługę.

Najwyraźniej popełniła duży błąd, bo Wilczyński gwałtownym gestem wyrzucił papierosa i chwyciwszy swoją torbę z gazetami oddalił się szybkim krokiem.

Aneta pobiegła za nim.

– Proszę zaczekać! Chcę panu wszystko wyjaśnić...

– A co tu jest do wyjaśniania? – rzucił przez zęby. – Nie gadam z wywiadem, kontrwywiadem, ministrami, czy jak wy się tam feministki nazywacie, ani z tą waszą premierą, piękną Pauliną...

Aneta przygryzła wargi.

– Panie profesorze... Sprawa jest poważna! Miałyśmy w ministerstwie wizytę Memento.

Wilczyński odwrócił się gwałtownie i z zaniepokojeniem rozejrzał wokół siebie. Na ulicy nadal nikogo nie było, ale on pokazał Anecie wymownie, by ściszyła głos.

– Kiedy? Jest pani pewna?

Jaskólska pokiwała głową.

– Jestem pewna. To była dziewczyna wysłana przez Memento z ostrzeżeniem.

Profesor chwycił ją pod rękę.

– Ma tu pani samochód? – Aneta przytaknęła. – Niech pani jedź do mnie do domu, na pewno już pani tam była więc wie pani, gdzie to jest.

Po kilku minutach znaleźli się ponownie przed bramą. Wilczyński wyskoczył z auta i dużym żelaznym kluczem otworzył kłódkę. Aneta wjechała do środka. Z bliska dwór przedstawiał jeszcze bardziej opłakany widok. Cztery kolumny podtrzymujące fronton były tak wypaczone, że zdawały się chwiać. Cały budynek sprawiał wrażenie, jakby miał się za chwilę rozlecieć; remontu nie przeprowadzono tu najwyraźniej przez ostatnich sto lat.

Wprowadził ją do środka. Wnętrze na szczęście nie było tak zrujnowane jak elewacja i dach, ale trudno je było nazwać luksusowym. Popękane ściany i zacieki świadczyły o tym, że w murach zaległa się wilgoć; podłogi były stare i od dawna nienaprawiane. Meble stanowiły dziwną zbieraninę zniszczonych antyków i meblarskiej konfekcji z czasów późnego Gierka. Jedynym prawdziwie zadbanym sprzętem była okazała szafa biblioteczna, najwyraźniej mieszcząca cenne zbiory właściciela, bo Aneta dostrzegła przez szybę zapisane gotykiem grzbiety i safianowe oprawy.

Wilczyński zniknął w sąsiednim pomieszczeniu, a po chwili wrócił, niosąc na tacy dwie kawy w ozdobnych, ale wyszczerbionych filiżankach. Jaskólska przyjęła ten poczęstunek z wdzięcznością. Była zmarznięta i rozboleła ją głowa.

– Tu możemy rozmawiać swobodnie – powiedział, wskazując jej miejsce na jednym z wytartych foteli. – Niech mi pani opowie wszystko o wizycie kuriera.

– Kuriera? – zdziwiła się Aneta, a on machnął ręką zniecierpliwiony.

– Mówiła pani, że czytała akta. Memento zawsze wysyła osobę, zazwyczaj niczego nieświadomą, którą nazwałem „kurierem”, bo przenosi informację, o której treści nie ma pojęcia.

Aneta odchyliła się na fotelu i zaczęła opowiadać. Kiedy doszła do momentu, gdy szefowa ministerstwa skontaktowała się z Kruszką, profesor gwizdnął przez zęby i zerwał się ze swego miejsca.

– Właśnie tak myślałem, że w to zamieszany jest ten smutny ubecki kutas Kruszko... – popatrzył na nią nieufnie i bez życzliwości.

– Mnie wydał się raczej wesoły – westchnęła Aneta.

– Nie ma pan pojęcia jak się cieszył, gdy szefowa ministerstwa, Wójcik, poinformowała go o wizycie Memento.

Wilczyński uśmiechnął się.

– Zresztą i on się czegoś boi – powiedziała niespodziewanie dla siebie Aneta, która ciągle wahała się, czy może zaufać temu dziwnemu mężczyźnie o wyglądzie szaleńca.

– Skąd panie wie? – zainteresował się.

– Memento postraszyli Wójcik jakąś sprawą z Berlina... „Odermatt”. Kruszek strasznie się wtedy zdenerwował.

– Jest pani pewna, że padł taki kryptonim? – wykrzyknął profesor.

Zmitygował się zaraz i podszedł do okna, jakby chciał sprawdzić, czy nikt ich nie obserwuje. W parku było cicho i pusto.

Aneta z wysiłkiem skinęła głową i spojrzała na niego z wyczekiwaniem.

– Czy wie pani, co to jest Karotechia? - spytał po chwili milczenia.

Z niczym jej się to nie kojarzyło. Wilczyński najwyraźniej nie oczekiwał odpowiedzi twierdzącej.

- A słyszała pani o Vril? Towarzystwie Thule? Ahnen- erhe? Sonderkommando Hexe?

Aneta przyjęła zaproponowanego papierosa, zaciągnęła się nim i wyprostowała na krześle.

– To jakieś faszystowskie organizacje z okresu II wojny, zajmujące się okultyzmem, prawda?

Profesor skinął głową i, stukając palcem po blacie stolika, powiedział cichym głosem:

- To były stowarzyszenia zgłębiające zagadki przeszłości. Ich członkowie wierzyli, że są spadkobiercami tajemniczej rasy, która posiadała niespotykaną moc. To wszystko cudownie wpisywało się w pomysły Hidera o aryjskim nadczłowieku. Szukali świętego Graala i Arki Przymierza. Na pewno widziała pani ten głupi film o jakimś archeologu...

Aneta uśmiechnęła się. Indiana Jones, któż nie oglądał tego klasyku!

Wilczyński zinterpretował jej uśmiech po swojemu.

– Oczywiście cały ten film to amerykańska bzdura. Arki szukano na wschodzie, nie w Egipcie, ale nie o to chodzi. Te wszystkie organizacje okultystyczne były niczym w porównaniu z Karotechią, stowarzyszeniem magów, którzy wspomagali Hidera swoimi mocami. Zbierali się, podobnie jak niesławny Czarny Zakon SS, w zamku Wawelsberg, gdzie odprawiali swoje rytuały i obrzędy. W roku 1944 Karotechia ogłosiła, że znalazła się w posiadaniu Necronomi- conu, potężnej księgi magicznej, dzięki której można wskrzeszać umarłych, rozmawiać z duchami, przyzywać czarne moce z otchłani. Musi pani zdać sobie sprawę, że było to już w

takim momencie wojny, że Hitlera mogła uratować wyłącznie zaczarowana księga.

Aneta chciała coś powiedzieć, ale zrezygnowała.

– Po wojnie trzydziestu siedmiu członków Karotechii uciekło z Niemiec i ukryło się na Środkowym Wschodzie i w Ameryce Południowej – kontynuował Wilczyński. - W ciągu następnych trzydziestu lat prawie wszystkich wymordował Mossad i inne wywiady, a także tak zwani „łowcy nazistów”. W latach siedemdziesiątych mówiło się o dwóch żyjących członkach Karotechii: Reinhardzie Gaicie i Gün- terze Franku. Zwłaszcza Galt był ciekawą osobą. Generał, w 1945 wyruszył na wyprawę badawczą do Konga Belgijskiego, gdzie zainteresował się rytuałami kanibali. Karotechia odrodziła się dzięki nim, zyskała nowych członków, przekształcając się w Projekt Millenium. I właśnie wtedy, w 1999 roku, po raz pierwszy usłyszeliśmy o Memento, niesamowitej, niszczącej sile, która potrafi zmiatać polityków, obalać rządy.

– Myśli pan, że naziści, że ta cała organizacja, ta Karotechia, ma coś wspólnego z przyszczą dziewczyną która odwiedziła nas w ministerstwie?

– Jestem tego pewien. Karotechia przez lata udoskonaliła swój sposób działania, weszła w posiadanie wiedzy, o której nam się nie śniło. Czerpała ją z różnych źródeł: europejskiego okultyzmu, obrzędów afrykańskich, rytuałów Bliskiego Wschodu. Jej członkowie byli wszędzie i wiedzą wszystko, potrafią kierować ludźmi na odległość, czego miała pani dowód w ministerstwie. Ta dziewczyna, Breger, była pod wpływem silnej hipnozy i narkotyków, ktoś sterował jej poczynaniami, prawdopodobnie ta dziwna kobieta w czerni, którą zauważyła pani w toalecie. Członkowie Memento działają nie tylko u nas, ale na całym świecie, ich celem jest zdestabilizowanie sytuacji politycznej.

Aneta milczała i patrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Przepraszam pana... ale to wszystko brzmi nieprawdopodobnie! Jakaś neofaszystowska sekta działająca na tak ogromną skalę? I nikt nie zauważył jej machinacji, jest całkowicie bezkarna i nie pozostawia śladów?

- Tylko pozornie nie zostawia śladów. – Wyciągnął z torby jedną z kupionych tego dnia gazet i podsunął Anecie pod nos.

- Skandal obyczajowy powodem dymisji prezydenta Niemiec - przeczytała i spojrzała na niego z wyczekiwaniem.

- Tak. Niech pani przejrzy pod tym kątem gazety. Ten wariat, który zabił w poczciwej Norwegii prawie siedemdziesiąt osób sympatyzował z partią prawicową, a proszę sobie przypomnieć, jak rozpoczęła się „arabska wiosna”, czy pani naprawdę wierzy, że tę rewolucję wywołał jakiś sklepikarz, który podpalił się w Tunezji, bo miał dwieście dolarów długu?

Nie odzywała się.

- Tak właśnie działa Memento. To sieć powiązań osnuwająca cały glob. Potrafi, dzięki subtelnym, ale bardzo wyrafinowanym zabiegom, poruszyć całe narody. Jest taki termin „efekt motyla”, tak właśnie działa Memento. Daje impuls, bardzo precyzyjnie wymierzony, który rozbija rządy i niszczy całe kraje.

Aneta patrzyła na niego z niepokojem. Gestykulował, a jego blada twarz błyszczała od potu. Czy ten człowiek był poczytalny? Spisek tajnego stowarzyszenia w XXI wieku?

I nikt tego nie odkrył? Nie, to po prostu niemożliwe... Lecz wizyta Memento była faktem.

— Niech pani to przeanalizuje — gorączkował się Wilczyński, rzucając jej na kolana gazety. — Zawsze zaczyna się od drobnego wydarzenia, pozornie nieważnego, a wywołującego lawinę. Jak było z kryzysem w Grecji? Policja zastrzeliła tego chłopaka, Grigoropulosa, niby nic, prawda? Takie rzeczy zdarzają się ciągle... Ale nie, nagle siedem tysięcy ludzi wychodzi na ulicę i zaczyna się rewolucja.

— Profesor opadł na krzesło i zamilkł, ciężko chwyając powietrze.

Anecie zrobiło się nieswojo. Kruszek mógł mieć rację — ten człowiek z pewnością posiadał ogromną wiedzę o różnych organizacjach spiskowych, ale sam najwyraźniej uległ ich obłędowi.

— Nie wierzy mi pani? — spytał, a właściwie stwierdził, przyglądając się jej uważnie.

Jaskólska potarła czoło dłonią.

— Wie pan... W to trudno uwierzyć...

Wilczyński wzruszył ramionami.

— Nie musi pani w to wierzyć, ważne, żeby przyjęła pani do wiadomości, że tak jest.

Patrzył na nią w milczeniu, a ona coraz mniej była przekonana, że ten człowiek ma po kolei w głowie. Profesor najwyraźniej odgadł, w jakim kierunku biega jej myśli, bo pochylił się i podniósł z podłogi jedną z gazet.

— Wie pani, co wykończy rząd Pauliny Popis?

Aneta, zaskoczona, pokręciła głową. Gospodarz uderzył otwartą dłonią w pierwszą stronę gazety.

— Internauci. Niech pani popatrzy na ten artykuł.

Rzuciła okiem. Popis kontroluje Internet. Aneta skrzywiła się. Tę informację wałkowano przynajmniej od tygodnia, gdy Paulina Popis wystąpiła ostro na konferencji prasowej przeciwko jakiemuś portalikowi internetowemu, w którym

publikowano obraźliwe komiksy i fotomontaże ośmieszające członkinie rządu. Pani premier być może trochę się zagalopowała, mówiąc, że stronę należy zamknąć i zastanowić się, czy tego typu portale nie powinny być rejestrowane jak gazety i czasopisma, by odpowiednie władze mogły kontrolować ich działalność. Była to woda na młyn opozycji, która zaczęła wrzask o naruszaniu wolności słowa i faszystowskich metodach feministek, pozbawionych poczucia humoru. Internauci zorganizowali akcje protestacyjną pod hasłem „Paula nie POPISuj się”, która zdobyła ponad pięćdziesiąt tysięcy fanów na Facebooku. Wydawałoby się, że sprawa niefortunnej wypowiedzi pani premier umrze śmiercią naturalną, ale nie, ciągle ktoś podgrzewał zainteresowanie akcją. Teraz też: gazeta donosiła o manifestacji, która miała się odbyć przed siedzibą rządu. Do miłośników wolności słowa w Internecie dołączyć zamierzali emeryci zaniepokojeni wysokością swych świadczeń, bezrobotni i młodzież pracująca za minimalną krajową.

Oddała gazetę Wilczyńskiemu. Ten pokiwał głową.

— Będzie tak, jak gdzie indziej. Drobne, pozornie nic nieznaczące wydarzenie uruchamia lawinę. Zobacz pani!

Aneta wstała z fotela i pożegnała się. W samochodzie tak zamyśliła się nad słowami profesora, że prawie nie zauważyła nadjeżdżającego z przeciwka samochodu, który pojawił się na wąskiej drodze prowadzącej do dworu od strony wsi. Ominęła go z wysiłkiem i ruszyła w kierunku Krakowa.

Nie miała pewności, czy spotkanie z profesorem dało jej cokolwiek. Na pewno nie przybliżyło ani na jotę do rozwiązania sprawy Memento. I tu Kruszko miał rację - rozczarowała się. Z drugiej strony - czy naprawdę liczyła, że Wilczyński poda jej odpowiedź na tacy?

Zamówiła kolację do pokoju, bo nie chciało się jej schodzić do restauracji. Nalała sobie kieliszek ulubionego wina i włączyła telewizor.

W pierwszej chwili myślała, że stacja informacyjna nadaje jakiś film sensacyjny, pokazujący sceny walk ulicznych. Potem była przekonana, że to jakaś relacja z Grecji czy z Budapesztu. Myliła się. Zrozumiała, gdy mignęły jej Aleje Ujazdowskie. Na ulicy trwały zamieszki, palił się wóz transmisyjny jakiejś telewizji, zamaskowani ludzie rzucali kamieniami w wystawy sklepowe. Aneta siedziała na kanapie z nietkniętym kieliszkiem wina w dłoni, nie mogąc uwierzyć w to, co właśnie widzi. Na miejscu nie było żadnego komentatora, a jedynie na pasku wiadomości przewijały się dane o prawdopodobnej liczbie ofiar walk w mieście.

W tym momencie zadzwonił hotelowy telefon. Recepcja połączyła ją z rozmówcą.

– Ogląda pani telewizję? – usłyszała głos Jacka Wilczyńskiego.

– Tak.

– Mówiłem pani, ale nie chciała pani wierzyć. Chyba mam dla pani pewne informacje. Kiedy była pani u mnie włożyłem do kieszeni pani płaszcza karteczkę. Chciałbym, żeby poszła pani jutro na tę imprezę. Tam się spotkamy o godzinie 17, znajdę panią. A teraz muszę kończyć, bo wydaje mi się, że mam nieproszonych gości w parku.

- Widziałam samochód jadący pod pana dom – powiedziała Aneta, wyraźnie zaniepokojona.

- Proszę się nie martwić, dam sobie radę! – Odłożył słuchawkę.

Zdenerwowana Aneta zerwała się z kanapy i wyciągnęła z szafy płaszcza. Rzeczywiście w lewej kieszeni była karteczka. Nie mogła uwierzyć własnym oczom, gdy ją rozwinęła. „Jarmark Astralny. Targi niezwykłości” przeczytała ze zdumieniem i parsknęła śmiechem.

Tak, na pewno Memento wystawia tam swoje stoisko. Ten facet to czubek, pomyślała, wchodząc pod prysznic. Z drugiej strony, był jej jedyną szansą, zatem zdecydowała się zaryzykować.

Nigdy nie odwiedzała takich imprez, więc kiedy następnego dnia po południu zapłaciła za bilet i przekroczyła progi Nowohuckiego Centrum Kultury, miała wrażenie, że znalazła się na Ulicy Pokątnej znanej z książek o Harrym Potterze. Całą salę gęsto wypełniały stoiska radiestetów, wrózek, zielarzy, chiromantów i tarocistek. Można było kupić naergetyzowaną wodę, amulety chroniące przed urokami, a nawet zasięgnąć porady egzorcysty.

Boże drogi!, pomyślała z niesmakiem, zatrzymując się przy stoisku z „odpromiennikami energii”, jak głosił napis. Chwilę przyglądała się dziwnym urządzeniom, kiedy ktoś lekko dotknął jej ramienia. Odwróciła się. Stał za nią młody mężczyzna o typowym dla jarmarku astralnego wyglądzie: miał długie włosy i ekologiczny strój w barwach ziemi.

- Aneta? - zapytał, a ona skinęła głową.

- Jacek dobrze cię opisał. Jestem Rastro, mam cię zaprowadzić do naszego stoiska.

Super, pomyślała. Miałam rację z tym sklepikiem.

Doszli do sporego boksu na tyłach hali. Najwyraźniej sprzedawano tu jakieś czasopismo, ale nie cieszyło się dużym wzięciem, bo przy ladzie nie zauważyła klientów. Za kontuarem siedziała znudzona dziewczyna zajęta robótką na drutach. Jaskólska zerknęła na czasopismo: „Uluminatio” było odbite na słabej jakości papierze, niezbyt wyraźnym drukiem. Rastro uchylił zasłonkę dzielącą część

handlową od prywatnej. Przy niewielkim stoliku siedział Jacek Wilczyński z innym mężczyzną, ubranym w tej samej, astrologicznej konwencji.

– To jest Aneta – przedstawił ją profesor, a jego towarzysz o pseudonimie Proteus skinął na powitanie głową.

– Będziemy ci mówić po imieniu – powiedział bez wstępów. – Tu sobie nie paniujemy.

– O co chodzi? – spytała, bo cała sytuacja zaczęła ją nieco drażnić. – Po co mnie tu ściągnęliście? Mam sobie kupić wahadełko?

– Nie - powiedział spokojnie Wilczyński. - Sprawa jest dużo poważniejsza.

Spojrzała na nich wyczekująco.

– Kruszek i jego powiązania – rzucił Rastro.

Wilczyński wyciągnął z plecaka jakieś papiery i rozłożył je na stole.

– Kruszek ma tatuaż na ramieniu, twierdzi, że to pamiątka z PRL-owskich służb specjalnych, ale my wiemy, że to nieprawda. To jest wąż owinięty wokół miecza. Symbol Ahnenerbe... - Rastro popchnął w kierunku Anety kartkę przedstawiającą ten znak.

- Zastanawiamy się nad tym od wczoraj. Memento ostrzegł Wójcik przed sprawą z Berlina...

- „Odermatt”? - zapytała Aneta. – To ma coś wspólnego z Memento?

- Tak. - Proteus wyciągnął spod sterty papierów zieloną teczkę. - To sprawa z lat siedemdziesiątych. „Odermatt” był to kryptonim podwójnych agentów działających w STASI.

- Mieli ciekawe zadania – dodał Wilczyński. – Między innymi inwigilowali niemieckich wyższych urzędników państwowych, szukając na nich haków.

- Najczęściej były to drobne sprawy, skandaliki obyczajowe, łapówki, ale na tyle groźne, że można było delikwentów szantażować. Czy nie kojarzy ci się to przypadkiem ze sposobem działania Memento? – dodał Rastro, a Aneta w zamyśleniu kiwnęła głową.

- Ale skądteczka z tymi danymi znalazła się u Wójcik? – nie rozumiała Aneta.

- Proste. Istnieją podejrzenia, że jej pierwszy mąż, generał Malicki, kierował tą sprawą. Do niedawna były to tylko domysły, teraz, dzięki tobie, wiemy, że to prawda. To tajemnica wszystkim znana, że ubecy w momencie transformacji ustrojowej starali się uchronić swoich najlepszych agentów i najważniejsze operacje.

- I takteczka „Odermatt” znalazła się w skrytce u Wójcik – dodał Proteus.

- Malicki zmarł na zawał na początku lat dziewięćdziesiątych, o teczce nikt nie wiedział aż do teraz.

- Ale jaki to ma związek z Kruszką? - niedowierzała Aneta.

- Podejrzewamy, że kiedy Kruszek przebywał na Zachodzie, pracując w służbach specjalnych, przeszedł na stronę STASI.

- Co nie uszło uwagi Memento — uzupełnił Wilczyński. - Taki człowiek był dla nich po prostu bezcenny.

- Kawał złamasa gotowy na wszystko dla pieniędzy i władzy — dodał Proteus. - Bo nie wierzę w jego ideologiczne zaangażowanie.

- Świetnie się tu zakamuflował po transformacji - wyjaśnił Wilczyński. — Przeszedł pozytywnie weryfikację, pracował w wywiadzie. Był niezwykle skuteczny, rozbił kilka antypaństwowych akcji.

- Zasłużył się — mruknął Rastro. - Dowiedzieliśmy się, że udaremnił zamach na premiera Millera.

- Tak — potwierdził Wilczyński. — Z jednej strony chronił władzę, a z drugiej podkładał jej nogę. Popatrz, Aneta!

- Wyciągnął z teczek plik zdjęć. Były to powiększone kolorowe fotografie posta Stwiertni i jego kochanka. - Poznajesz to?

Jaskólska nigdy nie widziała tych zdjęć, ale pamiętała doskonale, że ten polityczny skandal uruchomił lawinę, która doprowadziła do obalenia ówczesnego rządu.

- Efekt motyla — szepnęła, a Wilczyński skinął głową.

Zastanowiła się nad tym, co mówili.

- Skoro Kruszek był podwójnym agentem na usługach Memento, to czemu teraz usiłują go spalić? — spytała z niedowierzaniem.

Profesor wzruszył ramionami.

- Dla mnie oznacza to tylko jedno. Zrobił już dla nich swoje.

- Przestali go potrzebować — roześmiał się Proteus — co osobiście wcale mnie nie martwi!

- Tak, Kruszek to wyjątkowa menda - zgodził się Wilczyński. - I aż miło popatrzeć, jak odwdzięczają mu się jego protektorzy A zrobił dla nich bardzo dużo. Oni jednak nie lubią być wdzięczni. - Podsunął w stronę Anety inną teczkę, w której znajdowało się bardzo wyraźne czarno- białe zdjęcie, przedstawiające oficera w faszystowskim mundurze.

- To Galt - wyjaśnił Proteus. - Sądzymy, że nadal żyje.

- Ile ma lat? Ze sto? - zdziwiła się Aneta.

- Prawie. Członkowie Karotechii potrafią przedłużyć swoje życie ponad znaną nam miarę. Żyje Galt, żyje Frank i zapewne jeszcze kilku innych „ojców założycieli”.

- „Odermatt” wpadli na trop Galt jeszcze w latach siedemdziesiątych, potem nagle zniknął. Podejrzewamy, że w ucieczce pomógł mu pewien podwójny agent – dodał profesor.

- Czaisz bazę, księżniczko? – rzucił Proteus z krzywym uśmiechem. - Układa ci się ciąg zdarzeń? Galt, Kruszko, Memento?

Aneta popatrzyła na zdjęcie, przystojny mężczyzna o charakterystycznych zimnych oczach spoglądał na nią z fotografii spokojnym wzrokiem. Wstała.

- Ja muszę to zgłosić - powiedziała. – Trzeba ich powstrzymać!

- Myślisz, że Memento ci na to pozwoli? – powiedział Rastro. – Nie widzisz, co się dzieje?

Ale Aneta już go nie słuchała. Złapała torebkę i rzuciła się do wyjścia.

Torowała sobie drogę wśród tłumu, aż dotarła do małej kawiarenki, usytuowanej w środku sali targowej. Włączony nad barem telewizor nadawał wiadomości. „Premier rządu Paulina Popis podała się godzinę temu do dymisji, jako powód wskazując sprawy osobiste” przeczytała osłupiała Aneta na czerwonym pasku idącym na dole ekranu.

– Krótka kariera, nieprawdaż? – usłyszała głos obok siebie.

Obejrzała się. Tuż za nią stał starszy mężczyzna w gustownym szarym garniturze. Podpierał się laską i patrzył na nią trudnym do zapomnienia zimnym wzrokiem. Aneta spojrzała nad jego głową. Jacek Wilczyński biegł w ich stronę. Chciała krzyknąć, ale nie zdołała. Poczowała nagle szarpnięcie bólu i zrozumiała, że Galt wbił jej w bok jakiś ostry przedmiot. Spojrzała. Był to dziwny sztylet z motywem węża owiniętego wokół rękojeści. Osunęła się na podłogę, widząc jeszcze, jak dwaj mężczyźni przecinają drogę Wilczyńskiemu. Tracąc przytomność, Aneta usłyszała głos Galt, który pochylił się nad nią jakby z troską i powiedział:

– Scire tacere, młoda damo! Wiedzieć i milczeć, bo w innym przypadku właśnie tak się kończy...

Uśmiechnął się i, utykając na jedną nogę, niespiesznie ruszył do wyjścia. Tuż za nim szli dwaj mężczyźni, ubrani na ciemno, prowadząc Jacka Wilczyńskiego. Profesor szedł automatycznym krokiem, przypominającym ruchy robota.

Wokół leżącej na podłodze Jaskólskiej gromadzili się ludzie. Nikt nie zwracał uwagi na serwis informacyjny, który wciąż nadawała telewizja: „Podczas trwających w mieście zamieszek doszło do napadu rabunkowego na mieszkanie jednej z wyższych urzędniczek Ministerstwa Obrony Narodowej, Aliny Wójcik. Niestety, właścicielka zginęła z ręki włamywaczy. Policja, załamując się dobrem śledztwa, nic podaje, czy coś zostało skradzione.”

Lucyna Olejniczak

SPOKOJNIE, KOCHANIE...

W miarę jak oddalali się od miasta, deszcz wyraźnie przybierał na sile. Z początku rysował na szybach wozu jedynie cienkie, prawie niedostrzegalne kreski, by po dziesięciu minutach spływać prawdziwymi strugami, poprzez które płaski i nudny krajobraz całkowicie się odrealnił. Zapadał wieczór.

– Może to i lepiej, że leje – powiedział siedzący za kierownicą Lucjan Górny, wyjmując ze schowka paczkę goldenów. – Przynajmniej nikt się nie będzie w taką pogodę szwendał po lesie. Wyłączyłaś komórkę, Dorotko?

– Tak – odparła dziewczyna przez zaciśnięte gardło.

– Na pewno? Lepiej sprawdź.

– Przecież mówię, że wyłączyłam - powiedziała ze złością.

– Żeby potem nie było.

Dziewczyna westchnęła teatralnie, sięgnęła do lakierowanej torebki, wyjęła z niej telefon i podsunęła kierowcy pod sam nos.

– Zadowolony? – spytała.

Górny bezmyślnie spojrział na aparat, po czym pokiwał swoją wielką, szpakowatą głową, zupełnie jak samochodowa maskotka. Następnie drżącą ręką wsadził papierosa do ust. W mrocznym wnętrzu mercedesa błysnął blado-niebieski płomyk zapalniczki, rozświetlając na moment zmęczoną, pomarszczoną twarz aktora.

- W porządku - powiedział po kilku głębokich zaciągnięciach. - Nigdy nie wiadomo, kiedy to dziadostwo zacznie popiskiwać. Lepiej dwa razy sprawdzić, niż później żałować, prawda?

Minęli traktor z przyczepą, przez kilkanaście sekund jechali wzdłuż kolejowego nasypu, po czym odbili w prawo i znów znaleźli się pośród płaskich pól.

- Szkoda, że nie byłeś taki przewidujący wczoraj, zanim mnie zaprosiłeś do siebie – powiedziała bardzo cicho Dorota, chowając telefon z powrotem do torebki. – Perfekcjonista na scenie i w życiu. Taki był tytuł tego wywiadu?

Spojrzał na nią badawczo poprzez chmurę tytoniowego dymu.

– O co ci znowu chodzi? Przecież wiesz, że to nie ja go wymyśliłem, tylko ta dziennikarka z gazety.

– Ale tak o sobie powiedziałaś – głos jej się załamał.

– Czytałam to dwa razy, nie wciskaj mi kitu. „Generalnie staram , się być perfekcjonistą nie tylko na scenie, ale – co chyba dużo ważniejsze – również w naszym szarym, codziennym życiu.” Bla, bla, bla. Można się porzygać.

- Powiesz mi, do czego właściwie zmierzasz?

– Domyśl się.

Odchyliła swój fotel nieco do tyłu, aby nie spoglądać we wsteczne lustro, oparła wygodniej głowę i przez kilka minut patrzyła tępo na odgarniające wodę wycieraczki.

Potem przymknęła powieki. Znów stanęły przed nią obrazy sprzed kilku godzin, wyraźne aż do bólu, zbyt jeszcze absurdalne, aby umysł mógł je w jakikolwiek sposób zaakceptować.

- Perfekcjonista od siedmiu boleści - wycedziła, nie otwierając oczu. – Mój ty Boże, co myśmy zrobili...

Wciąż nie mogła uwierzyć, że to wszystko dzieje się naprawdę. Chciało jej się to płakać, to znowu śmiać – długo i histerycznie, na złość siedzącemu za kółkiem artyście. Ciężko było jej się oswoić z myślą, że to nie jest żaden sen ani film, ani nawet idiotyczny program, w którym robi się w konia telewizyjne gwiazdy, tylko najprawdziwsza rzeczywistość.

Koszmarna rzeczywistość.

Kilka godzin temu własnoręcznie zabiła żonę jednego z najbardziej utytułowanych aktorów teatralnych w Polsce, a za kilkanaście minut będzie dla niej – również własnoręcznie – kopać grób w lesie. Takie były fakty. Trup siedział sobie jak gdyby nigdy nic na tylnym siedzeniu samochodu, upozowany na śpiącą pasażerkę. Tylko to jedno Lucjan Górny, laureat tegorocznej bardzo prestiżowej nagrody teatralnej, potrafił zrobić perfekcyjnie. W nikim, nawet gdyby ktoś taki bardzo się starał, nie wzbudziłaby podejrzeń, przypięta starannie pasami, drzemiąca kobieta w ogromnym, czarnym kapeluszu.

Mercedes sunął teraz przed siebie, rozpryskując wodę. Za oknami pojedyncze ciemne drzewa, wyłaniające się nagle w świetle reflektorów, wyglądały jak słupy wysokiego napięcia. Milczenie w samochodzie trwało już zbyt długo. Lucjan Górny zdawał sobie sprawę, że dziewczyna na nowo podejmie swój wątek. Nie pomylił się.

- Miało jej nic być - wyszeptała. – Mówiłeś, że jej nie będzie. Okłamałeś mnie, Lucjan.

- Tłumaczyłem ci już sto razy... – zaczął mężczyzna, lecz tylko westchnął i umilkł. Nie miał sił powtarzać w kółko tych samych argumentów.

- Nawet mnie nie uprzedziłeś, że twoja żona to ciężka wariatka. Nawet tego nie

potrafiłeś dla mnie zrobić...

- Była nieco nerwowa, to prawda. Nadużywała ostatnio alkoholu.

- Nieco nerwowa? O czym ty, do jasnej cholery, mówisz? Mało mnie nie udusiła tym szalem.

- Bo niepotrzebnie ją prowokowałeś.

- Chcesz więc powiedzieć, że to moja wina? — podniosła głos dziewczyna. — Aha, czyli wychodzi jednak na to, że nie działałam w obronie własnej? Zabiłam ją z premedytacją, to chcesz mi powiedzieć?

- Uspokój się, skarbie. Oczywiście, że działałaś w obronie własnej. Nie powinniśmy się teraz kłócić.

- Dostaniemy karę śmierci.

- W Polsce nie ma kary śmierci.

- To pójdziemy do więzienia.

- Nigdzie nie pójdziemy.

- Ty może nie pójdiesz, ale ja tak. To ja ją zabiłam.

Zatrzymał samochód przed opuszczonym szlabanem kolejowego przejazdu, gdzie czekał już rowerzysta w błyszczącej od deszczu pelerynie.

- Nie pójdziemy — powtórzył grobowym głosem, a potem ukrył twarz w dłoniach.

Poznali się na planie kostiumowego filmu, który miał wszystko zmienić w jej życiu. To była pierwsza poważna propozycja, gdzie wprawdzie miała dublować znaną gwiazdę w scenach erotycznych, ale wiele aktorek tak właśnie zaczynało. To było i tak dużo więcej niż taka młoda, nikomu nieznana dziewczyna z małego miasteczka mogłaby sobie wymarzyć. Film miał gwiazdorską obsadę, już to było ekscytujące. A może ktoś ją zauważy i dostanie większą, prawdziwą rolę? Wystarczy, że pozna kogoś znaczącego z branży, kto pozna się na jej urodzie i zdolnościach i ułatwi prawdziwy start. Bardzo na to liczyła.

Z początku czuła się trochę nieswojo pośród takiej masy ludzi i sprzętu; denerwowało ją, że wszyscy, łącznie z ekipą techniczną, traktują ją tak, jak gdyby była tylko jedną ze statystek, czyli właściwie nikim. Nawet kiedy zdjęła ubranie podczas kręcenia pierwszej sceny erotycznej, filmowcy zdawali się wcale nie zauważać jej nagości. Spodziewała się jakichś komentarzy, może nawet nieprzyzwoitych — w końcu miała co pokazać! — ale zarówno operatorzy, jak i cała reszta zespołu tak pochłonięci byli swoją pracą, że jedyne ich uwagi dotyczyły szczegółów technicznych oświetlenia. Na domiar złego odczuwała zimno — lato było wyjątkowo chłodne tego roku — i bolało ją stłuczone kolano, bo w trakcie pierwszej próby potknęła się o rozłożone na podłodze kable i upadła.

Tego dnia, kiedy na planie po raz pierwszy pojawił się Lucjan Górny, traktowany przez wszystkich niczym guru jakiejś sekty, Dorota poczuła się jeszcze gorzej. Co tu dużo mówić, od rana zachowywał się wyjątkowo wrednie. Jego samozadowolenie i arogancja doprowadzały ją do szału. Znała faceta jedynie ze starych, czarno- białych filmów, które telewizja emituje czasami późną nocą, ale których prawie nikt nie ogląda, więc nie mógł być dla niej prawdziwą gwiazdą. W dodatku w ogóle nie podobał jej się jako mężczyzna. Był za stary - dawno już przekroczył sześćdziesiątkę - za niski, miał szarą cerę i często chodził nieogolony. Gdyby nie kostium i sceniczny makijaż, bardziej przypominałby szatniarza z filharmonii aniżeli gwiazdę ekranu. Miała o nim jak najgorsze zdanie i nie zmieniała go, dopóki nic nadeszła ich pierwsza wspólna scena.

Wtedy zmieniło się kilka rzeczy.

Scena nie była jakoś szczególnie skomplikowana: półnagi Górny siedział w fotelu, a całkowicie naga Dorota siedziała na jego kolanach w pozycji na jeźdźca, wykonując przy tym ruchy, które miały świadczyć o wielkim zaangażowaniu w sprawę. Robiła już w swoim krótkim życiu dużo bardziej karkołomne rzeczy. Wszystko poszło gładko i nie trzeba było niczego powtarzać. Górny zagrał bardzo oszczędnie, ze świadomością każdego gestu i ruchu, a przy tym z niezwykłą swobodą i wyrazistością. Po mistrzowsku zbudował przeciwwagę dla jej spazmatycznego miotania się, ograniczając się w pewnej chwili do ledwo zauważalnych ruchów głową. To był prawdziwy popis techniczny, który wzbudził oklaski pracowników planu.

— Była pani wspaniała — powiedział swoim niskim, melodyjnym głosem, kiedy już się ubrali i rozgrzewali gorącą herbatą. — To prawdziwa przyjemność pracować z taką profesjonalistką.

— To prawdziwa przyjemność pracować z takim artystą — odparła bez cienia ironii.

Tak więc stało się. Nie dość, że zaimponował jej jako artysta, to jeszcze pokazał klasę, doceniając głośno jej bądź co bądź skromny przecież udział w powstałych scenach.

Od tej pory często na siebie wpadali, i to nie zawsze przypadkiem. Wprawdzie wciąż jeszcze mnóstwo rzeczy ją u niego drażniło, ale zaczęła również dostrzegać dodatnie strony jego skomplikowanej osobowości. Był nieznośny i czarujący, pełen pychy i bardzo męski, chamski i szarmancki - tak zresztą sam chciałby siebie widzieć. Dzięki jego półzartobliwym zalotom — bo szybko przejął inicjatywę — awansowała w ogólnej hierarchii i zaczęto na nią zwracać coraz większą uwagę. Toteż zgodziła się bez oporów, kiedy korzystając z dwudniowej przerwy w

zdjęciach, zaprosił ją na kolację do swojego domu na peryferiach Warszawy. Na kolację ze śniadaniem, jak szepnął jej do ucha z porozumiewawczym mrugnięciem.

Trzeba przyznać, że tego wieczoru bardzo się postarał. Kiedy taksówka podjechała pod biały piętrowy domek z zielonymi okiennicami i szerokim gankiem, wspartym na wymyślnych kolumnkach, podbiegł z ogromnym czarnym parasolem aż do samych drzwiczek. Deszcz, który zaczął padać tego ranka, coraz bardziej przybierał na sile.

— Nie mogę pozwolić, żeby mój uroczy gość zmókł i złapał tu jakieś przeziębienie. — Wcisnął banknot do ręki taksówkarza, który, prawdopodobnie przyzwyczajony do przywożenia „uroczych gości” artysty, nawet nie zadał sobie trudu z szukaniem reszty. Ze znużoną miną kiwnął głową i odjechał, zawadzając przy skręcaniu o starannie utrzymany klomb z różami.

- Cholera — zmartwił się Górny - muszę to poprawić przed powrotem żony, bo mnie chyba zabije. Ma bzika na punkcie tego ogrodu.

— No właśnie... A kiedy wraca?

- Spokojnie, kochanie. Za jakieś dwa, trzy dni. Zawsze stara się mnie niby zaskoczyć, ale nigdy nie siedzi u swojej siostry krócej, niż te trzy dni. Wbrew pozorom jest bardzo przewidywalna. Wyjechała dziś rano, więc przynajmniej tę noc mamy dla siebie na pewno. W najgorszym przypadku..

- Mrugnął uwodzicielsko i przygarnął ją do siebie czułym gestem.

Domek sprawiał wrażenie większego i bardziej przestronnego niż się to mogło wydawać z zewnątrz. Ogromny hall wyłożony hiszpańskimi płytkami, szerokie schody prowadzące na piętro, gdzie z pewnością mieściły się sypialnie — wszystko to zrobiło na Dorocie duże wrażenie. Nieczęsto miała okazję bywać w takich miejscach. Przez moment poczuła ukłucie zazdrości na myśl o znanej jej tylko ze zdjęć kobiecie, która miała wszystko: bogatego, sławnego męża i piękny dom. I zdała sobie również sprawę, że ta noc niczego nie zmieni. Ze stuprocentową niemal pewnością mogłaby teraz powiedzieć, jak będzie wyglądał jutrzejszy poranek: jak wszystkie inne, kiedy zdarzało jej się spędzić noc z żonatym facetem.

Górny wstawił mokry parasol do stojaka w kształcie pelikana, pamiątki z jakiejś egzotycznej podróży.

- Nad czym tak moja piękna się zamyśliła? Żyje się tylko raz. Odgoń te ponure myśli precz i daj się porwać zmysłom. Na początek zobacz, co dla nas przygotowałem na dzisiejszy wieczór.

Pchnął ją lekko w stronę otwartych szeroko drzwi do jadalni. Na pięknie przybranym stole, między artystycznie rozrzuconymi płatkami róż na białym obrusie, płonęły dwie świece w srebrnych świecznikach. W kubku z lodem

chłodził się szampan, obok leżały na talerzyku świeże truskawki, które wyglądały tak, jakby je dopiero co ktoś zerwał z krzaczka.

Z kuchni dochodziły smakowite zapachy tajemniczego głównego dania.

Dorota westchnęła z zachwytu.

– I wszystko to, kurwa, po to, żeby przelecieć jakąś dziwkę?!

– Co...? co...? Ale... dlaczego ...? – Górny osłupiał na moment, a jego twarz przybrała niebezpieczny, buraczkowy odcień.

– Pytam, czy wszystko to dla jakiejś dziwki? – W drzwiach jadalni stała, chwiejąc się niepewnie na nogach i mnąc z furią jedwabny szal, żona aktora. – Dla tego... tego wycirusa?! Miałam przeczucie, miałam, kurwa, przeczucie, że mój mąż coś kombinuje! Że znowu będzie miał problemy z utrzymaniem tego swojego mizernego ptaszka w gaciach! Za rolę męża, który nie ma nic do ukrycia z pewnością nie dostałbyś pieprzonego Oscara. Nawet nie próbuj kandydować, bo się tylko ośmieszysz. – Machnęła pogardliwie ręką, o mało nie tracąc przy tym równowagi.

Dorota odwróciła się przerażona i jednocześnie nieprzyjemnie zaskoczona. Ta bluzgająca rynsztokowym słownictwem kobieta, z rozmazanym makijażem i rozczochranymi włosami, w niczym nie przypominała piękności z kolorowych stron plotkarskich magazynów. Wprawdzie Dorota słyszała to i owo na temat jej zachowania na przyjęciach, czy nawet na planie filmowym, ale nie brała tego na serio. Zawsze plotkuje się o sławnych ludziach i nie zawsze jest w tym' choćby ziarno prawdy. W tym jednak przypadku pogłoski okazały się prawdziwe.

– A ty, szmato, wynoś się z mojego domu, ale już!

- Ruszyła w stronę Doroty z pijackim zaciętrzewieniem, potykając się po drodze o kosztowny, puszysty dywan.

Górny próbował ją podtrzymać, ale odrzuciła jego ramię z furią.

- Spadaj, dupku! Nie dotykaj mnie łapami, którymi wcześniej obmacywałeś tę dziwkę! – Szampan...?! – Stała nagle jak wryta i aż się zachłysnęła ze złości. – Ja ci dam, kurwa, szampana! - Z rozpędu wpadła na stół i jednym ruchem przewróciła kubek z lodem. Butelka z głuchym łoskotem potoczyła się po obrusie i upadła miękko na dywan. Woda z roztopionego lodu porwała za sobą płatki róż, które spływały teraz ze stołu jak ogromne krople krwi.

- Chwila, chwila, paniusiu... – Dorota odzyskała w końcu głos. - Wycirus? Dziwka? I kto to mówi, podstarzała panienska z amatorskich pornosów?! Zapomniałaś już, jak poznałaś swojego męża? Czyżbyś go złapała na swój nieprzeciętny intelekt? Nie rozśmieszaj mnie...

- Kochanie... - jęknął Górny, nie bardzo wiadomo, do której z kobiet.

Nigdy bardziej nie przypominał starego zmęczonego człowieka, którym był w istocie, niż w tej właśnie chwili. Patrzył bezradnie na dwie rozjuszone kobiety i nawet nie próbował powstrzymać żadnej z nich.

Tymczasem atmosfera w pokoju stawała się coraz bardziej gorąca. Żona Górnego z krzykiem rzuciła się na Dorotę i szarpiąc ją za włosy, przewróciła na dywan. Przez chwilę szamotały się, wściekle sapiąc i jęcząc. Dziewczyna była wprawdzie młodsza, ale dużo drobniejsza i niższa, szybko więc zaczęła tracić przewagę. Górna, której wściekłość dodawała sił, usiadła na swojej przeciwniczce okrakiem i zaczęła okładać ją pięściami. Jedwabny szal, trzymany przez nią cały czas w zaciśniętej dłoni, owinął się nagle wokół szyi Doroty.

— Zabiję! — wysapała, zaciskając z furii końce śliskiego materiału. - Zabiję i zatłukę jak psa!

Dorota poczuła, że zaczyna jej brakować tchu. Kobieta ugniatała jej klatkę piersiową całym swoim ciężarem, utrudniając oddychanie, a zaciskający się jedwabny szal dopełniał dzieła. Jak przez mgłę widziała przerażonego Górnego, który bezradnie miotał się po pokoju, bardziej przypominając sędziego obserwującego zmagania zapaśniczek w kisielu niż kogoś, kto naprawdę chce pomóc. Nachylał się, przykuczał i odskakiwał, wymachując rozpaczliwie rękami. Ostatkiem sił Dorota rozrzuciła ręce i nagle trafiła na jakiś twardy przedmiot. Butelka szampana!

Nie pamięta, co się później wydarzyło. Nagle ucisk zelżał, żona Górnego z wyrazem zdziwienia na twarzy najpierw osunęła się na nią bezwładnie, potem upadła obok, a Dorota poczuła na twarzy lepką wilgoć. W jednej dłoni ścisnęła jeszcze kurczowo butelkę, drugą otarła twarz. Krew. Na twarzy, na piersi, na rękach i na butelce. Odrzuciła ją ze wstrętem. Uniosła się na łokciach i ciężko dysząc rozejrzała po pokoju: Górny ruszał właśnie w jej kierunku | dzikim wrzaskiem, jego żona leżała z rozbitą głową na dywanie, nie dając oznak życia.

— Zabiłeś ją! O Jezu, zabiłeś!

Dorota nie mogła wykrztusić słowa ze ściśniętego jeszcze i obolałego gardła. Rozkaszała się gwałtownie.

— Co zrobiłam?! — wychrypięła po chwili przerażona i spojrzała w kierunku leżącej obok kobiety. — Boże, to niemożliwe! Wstawaj, przestań udawać! — Zaczęła ją szarpać za ramię.

— Wstawaj, błagam cię! Otwórz oczy! Otwieraj, do cholery!

Kobieca głowa z ogromną raną w okolicy skroni przetaczała się bezwładnie z boku na bok. Dorota potrząsała ciałem Górnej z coraz większą zaciekłością.

- Proszę, proszę, obudź się! Proszę... Bardzo panią proszę... — szlochała

rozpaczliwie.

Górny, który już od dłuższego czasu bezskutecznie usiłował oderwać dziewczynę od leżącego na dywanie ciała, nagle uderzył ją w twarz na odlew, z całej siły.

- Zamknij się w końcu! – wrzasnął jej nad uchem, aż skuliła się przestraszona. - Uspokój się na chwilę, płacz nic tu już nie pomoże. Musimy się zastanowić, co dalej, co z nią zrobimy. No nie siedź jak ta kukła, tylko myśl. Myśl do cholery! - głos nagle odmówił mu posłuszeństwa i zapał jak nastolatek przechodzący mutację.

Dorota zacisnęła ręce na podołku i kiwała się bez słowa w przód i w tył z nieobecny wyrazem twarzy. Następny mocny policzek wyrwał ją w końcu z odrętwienia.

– Dlaczego...? – zapłakała tym razem żałośnie. – Dlaczego mnie bijesz?

Objął ją i przytulił do siebie jak dziecko. Wiedział, że dziewczyna musi się wypłakać, inaczej nigdy się nie uspokoi. Niezdarnie gładził ją po włosach, usiłując przy okazji poprawić potarganą w czasie walki fryzurę.

– No, już dobrze, dobrze. Przestań płakać, musisz być teraz silna. Kto mi pomoże usunąć stąd ciało jak nie ty?

– Jak to... usunąć?! – Spojrzała na niego przerażona.

– Musimy zadzwonić na policję!

- Chyba zwariowałaś! Odbiło ci? Jaka policję, chcesz iść siedzieć? - Odepchnął ją brutalnie, podniósł się z dywanu i wepchnął koszulę w spodnie. - Żadnej policji, słyszysz? Nie mogę sobie pozwolić na skandal w tej chwili.

Zdajesz sobie sprawę, jak by się to mogło odbić na mojej karierze? Mowy nie ma!

– Ale przecież ja ją zabiłam i to w obronie własnej.

– Tak, ale stało się to w moim domu i w mojej obecności. Lepiej będzie, jeśli uzna się moją żonę za zaginioną. Za parę dni zgłoszę jej zaginięcie. Powiem, że wyjechała jak zwykle do siostry, wszyscy wiedzą o tych jej wyjazdach, i że do tej pory nie wróciła.

– Jak możesz zgłosić jej zaginięcie, kiedy ona nie żyje? Wystarczy, że tu przyjadą i zobaczą ją na dywanie.

– Za chwilę stracę cierpliwość... Nie będzie jej na tym dywanie, idiotko, bo ją stąd zabierzemy! Pojęła, czy mam to narysować?!

Dziewczyna skuliła się w sobie i znów zaczęła się kiwać. Górny postawił ją na nogi jednym szarpnięciem, rozrywając jej przy tym bluzkę.

– Zabieraj się, kurwa, do roboty! Dość tego mazgajstwa! Marsz do łazienki po

miskę z wodą i po szmatę, trzeba sprać krew z dywanu, zanim to zaschnie na amen i dywan będzie do wyrzucenia. To prawdziwa wełna, kosztował majątek. Kupiliśmy go w Tunezji... — Zamyślił się na chwilę, jakby wspominał tamte wakacje, szybko jednak wrócił do rzeczy: — Potem musimy przenieść ciało do samochodu, a po północy zakopimy je gdzieś w lesie. Dobrze, że ostatnio kupiłem nowy szpadel do pracy w ogródku, bo w poprzednim złamało się stylisko. Zanim stąd wyruszymy — dodał, obrzucając dziewczynę krytycznym spojrzeniem — wyszukaj w jej szafie jakąś porządną bluzkę, bo ta nie nadaje się już do niczego. Nie dość, że cała zakrwawiona, to jeszcze porwana. Potem się ją spali w ogrodzie.

Po godzinie wszystkie ślady zostały usunięte i tylko wilgotna pianin na dywanie przypominała o rozegranej tu wcześniej tragedii; Ciało, ustrojone w szeroki kapelusz dla zakrycia rany na głowie, zostało przeniesione do stojącego w garażu samochodu, mokry obrus zmieniony na inny, butelka szampana, obmyta z krwi i osuszona powędrowała powrotem do lodówki, gdzie miała czekać na inną okazję.

Szkoda wyrzucać, stwierdził Górny, to naprawdę drogi szampan.

Teraz czekali tylko, aż minie północ. Po północy bowiem było mało prawdopodobne, że ktoś zauważy wjeżdżający do lasu samochód.

Dorota lekko uchyliła boczną szybę samochodu. Do środka wpadł wilgotny, chłodny powiew, przynosząc ze sobą zapach butwiejących liści i mokrej ściółki z lasu rozciągającego się po obu stronach drogi. Pojedyncze samochody mijały ich z sykiem opon sunących po mokrej nawierzchni, zostawiając za sobą wilgotną mgiełkę, opalizującą w świetle reflektorów.

— Dokąd w końcu jedziemy? — spytała Dorota zmęczonym głosem po dłuższej chwili milczenia. — Masz jakiś konkretny plan, czy tak sobie jedziemy, byle dalej od domu? Już chyba dawno minęliśmy Warszawę?

- Już niedaleko, naprawdę. Zaraz wjedziemy w las, gdzie jest idealne miejsce do naszych celów. — Poszukał w ciemności jej dłoni i poklepał ją uspakajająco. — Niedaleko stąd jest ogromna skarpa, skąd wybierano kiedyś piach. Jeździłem tu w dzieciństwie do dziadków i bawiliśmy się tam z chłopakami, chociaż to było zabronione, bo groziło zasypaniem. Pełno tam dziur, więc nikt nie zwróci uwagi na jeszcze jedną, zresztą zawsze można pogłębić jedną z tych wykopanych już wcześniej. A w piachu kopie się łatwo, to nie to co mokra ziemia. Uwiniemy się raz- dwa i przed świtem będziemy z powrotem w domu.

— Mówisz to tak lekko, jakbyś znowu miał się bawić z chłopakami w piachu.

— A co, mam płakać jak ty? Tu nie ma co płakać, co się stało, to się nie odstanie. Teraz trzeba zachować przytomność umysłu, żeby nie popełnić żadnego błędu. To wszystko dla ciebie, kochanie, nie chcę, żeby cię zamknęli w więzieniu. Mnie nic

nie grozi, bo to nie ja ją zabiłem. Robię to tylko dla ciebie.

Dorota uśmiechnęła się gorzko.

– Zapominasz o współdziale.

– Przestań kombinować jak koń pod górę. Oczywiście, że musiałbym teraz odpowiadać na równi z tobą, ale nie o sobie myślałem.

Aby ukryć zdenerwowanie, zmierzwił sobie włosy, odwrócił się do niej i zrobił arcyzabawną minę, jedną z tych, które wielokrotnie ćwiczył przed lustrem, kiedy grywał w teatrze role komediowe. W padającym od tablicy rozdzielczej zielonkawym świetle wyglądało to jednak dosyć upiornie, jak gdyby obok długonogiej dziewczyny usiadł zniedołężniały starzec z zakładu psychiatrycznego.

– Przestań się wygłupiać – powiedziała, machinalnie poprawiając mu fryzurę.

Jadący przed nimi tir ciągnął za sobą smugę rozpylonej wody, utrudniając i tak już niełatwą jazdę. Górny zmienił bieg, droga wznosiła się lekko pod górę. Włączył światła mijania i zaczął wyprzedzać zawalidrogę.

– Nie zauważyłeś, że tu jest wzniesienie? – Dorota otrząsnęła się nagle z odrętwienia i spojrzała na niego z przestachem. – Tu nie wolno wyprzedzać.

- Kochanie... - Górny przemawiał teraz do niej jak do mało rozgarniętego dziecka. - To ja jestem kierowcą i wiem, co robię, nie musisz mnie pouczać. Widzisz przecież, że przed nami jest ciemno, a to oznacza, że nie ma tam żadnego samochodu i nic w nas nie wjedzie. Jak nie minę tego tira, to całkiem nam zachłapie przednią szybę, co jest dużo bardziej niebezpieczne niż wyprzedzanie pod górę na pustej drodze.

– Mam nadzieję, że wiesz co ro..

Światła tira z naprzeciwka wyrosły przed nimi jak spod ziemi. Wzniesienie kończyło się, zaczynał się lekki spadek. Ale pasażerowie mercedesa nie mieli już żadnych szans, żeby to zauważyć. Tak jak kierowca tira na to, żeby się nagle zatrzymać. Górny, który był właśnie w połowie kilkunastometrowego mijanego kolosa, nie miał gdzie się schować. Odruchowo skreślił kierownicą w lewo, samochód wypadł z drogi i jak wystrzelony z katapulty poszybował w stronę lasu. Wszystko trwało nie dłużej niż kilkanaście sekund. Krzyk pasażerów, zgrzyt hamulców, klakson tira i chrzęst miażdżonej blachy złąły się w jeden straszliwy hałas. Samochód ściał po drodze parę młodych sosen i zakończył swój lot na starym dębie.

Górny z trudem otworzył oczy w całkowitej niemal ciemności. Światło jedyne ocalałego reflektora oświetlało czarne, mokre drzewa przed rozbitą maską samochodu. Przez przednią szybę wdarł się do środka konar ściętego przed chwilą drzewa, o włos mijając głowę kierowcy. Dookoła panowała straszliwa cisza. Nie

czuł żadnego bólu, ale też nie umiałby powiedzieć, gdzie są jego nogi. W pozycji, w jakiej się nagle znalazł, trudno mu było je zlokalizować.

– Dorotko? – wychrypiał jakimś strasznym, nieswoim głosem. - Dorotko, żyjesz?

Odpowiedział mu cichy jęk.

Tymczasem w lesie pojawiły się ruchome światła latarek. Zbliżała się pomoc. Górny zamknął oczy.

Policja, która niemal równocześnie z karetką pogotowia pojawiła się na miejscu wypadku kilka minut po zgłoszeniu, stwierdziła obecność roztrzęsionego, będącego na granicy hysterii kierowcy tira i trojga pasażerów w rozbitym mercedesie. Nieprzytomny mężczyzna w ciężkim stanie i dwie kobiety, z których jedna prawdopodobnie zginęła na miejscu. Druga miała nadspodziewanie niewielkie obrażenia jak na tak poważny wypadek. Zespół operacyjny, powiadomiony drogą radiową, czekał już na pacjenta.

Górny przez parę dni to tracił, to na chwilę odzyskiwał przytomność. Widział nachylające się nad nim poważne twarze, słyszał strzępy rozmów, z których wynikało, że Dorota też przeżyła. Ktoś mu o tym mówił, ale nie wiedział kto. Pewnie ta miła lekarka, której obecność sygnalizował zawsze przyjemny zapach dobrych perfum. Górny lubił zadbane, pachnące kobiety. Teraz znów poczuł ten zapach. Otworzył oczy i jeszcze szybciej je zamknął. Światło sprawiło mu taki ból, że aż jęknął zaskoczony.

– To minie... – usłyszał ciepły głos - proszę się tym nie przejmować. Najważniejsze, że wrócił pan do nas.

Spróbował poruszyć nogami, ale nie był w stanie. Nic nie czuł, jakby zupełnie nie miał ciała od pasa w dół.

– Jezu... Co z moimi nogami?! - wyszeptał zmienionym, chrapliwym głosem i otworzył oczy mimo bólu.

Lekarka rzuciła spłoszone spojrzenie w kierunku drzwi. Ktoś w nich stał, ale Górny nie był teraz ciekaw kto, chciał wiedzieć, co z jego nogami, do cholery!

- Najważniejsze, że pan żyje. Miał pan złamany kręgosłup, stąd to chwilowe porażenie. Ale nic jeszcze nie jest przesądzone, musimy czekać na efekty operacji, teraz jeszcze za wcześnie na ostateczną diagnozę. Jeszcze wszystko wróci do normy, zobaczy pan.

Lekarka trzymała go za rękę i uśmiechała się pocieszająco.

- Mam dla pana dobrą wiadomość. Pani Dorota też wyszła cało z tego wypadku i nie mogła się doczekać, kiedy pan odzyska przytomność, żeby się z panem zobaczyć.

- Dorotka? Boże, co za ulga... — Górny uśmiechnął się z wdzięcznością do lekarki.
- Widzi pan? Cuda się zdarzają. Wiedziała, że się pan ucieszy. Jest przekonana, że to ten szeroki kapelusz uratował jej życie. Podobno to prezent od pana. Gratuluje.
- Kapelusz?!... - Górny z przerażeniem odchylił głowę do tyłu, przewyciężając ból naruszonych kręgów szyjnych.

W drzwiach stała Dorota Górny, żona aktora, z zabandażowaną głową i szerokim uśmiechem na twarzy.

- Tak skarbie, żyję. Jak widzisz jestem cała i zdrowa, a pewnie myślałeś, że już po mnie. Szkoda tylko tej dziewczyny, jak jej tam? Też Dorota? Cóż za dziwny zbieg okoliczności...

Górny próbował coś powiedzieć, ale z jego gardła wydostał się tylko jakiś niezrozumiały skrzek. Żona z uczuciem pogłaskała go po twarzy.

- Spokojnie, kochanie. Nic się nie martw, teraz to ja zajmę się tobą...

ZATRUTE PŁORA

ANTOLOGIA KRYMINAŁU



Replika